

NOWA KSIĄŻKA AUTORKI
BESTSELLEROWEJ **Pani Einstein**



Pokojówka miliardera

Marie
Benedict

Wielka fortuna
rodziny Carnegie,
skrywane tajemnice
i prawdziwa miłość.

HORYZONT.
znak



Marie Benedict

Pokojówka miliardera

Przekład:
Natalia Mętrak-Ruda

Znak Horyzont
KRAKÓW 2018

Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Epilog

Od autorki

Podziękowania

Prolog

23 grudnia 1868 r.

Nowy Jork, stan Nowy Jork

Lagodna melodia kolędy dobiegała z ulicy i wypełniała biuro. Muzyka nie miała wpływu na jego nastrój ani zachowanie. Siedząc wygodnie za biurkiem z czarnego, orzechowego drewna w luksusowo urządzonej apartamencie w St. Nicholas Hotel, Andrew Carnegie pisał niczym w szale.

Przerwał, szukając właściwego słowa. Rozejrzał się po gabinecie oświetlonym najnowszym modelem lampy gazowej i odniósł wrażenie, że widzi go po raz pierwszy. Ściany pokryte były żółtą, brokatową tapetą, a okna okalały ciemnozielone aksamitne zasłony, związane ciężkimi, złotymi linami, za którymi roztaczał się widok na Broadway. Wiedział, że to najwspanialszy apartament w całej Ameryce, może nawet wspanialszy niż jakikolwiek apartament w Europie. Jednak to, co tak bardzo go cieszyło podczas wcześniejszych wizyt w Nowym Jorku, dzisiaj go odpychało. Zdawało mu się, że złote liny zaciskają mu się na szyi, czuł się jak zamknięty w ekskluzywnym więzieniu.

Próbował przekonać matkę, że powinni zatrzymać się gdzie indziej, w mniej ostentacyjnym miejscu. Pragnął znaleźć się gdzieś, gdzie nie nękałoby go wspomnienie Clary, chociaż nie powiedział tego głośno. Źle się czuł w St. Nicholas bez niej. Większą część roku spędzał, szukając jej, na próżno jednak. Ani

detektywi, ani jego znakomici ochroniarze czy najlepsi w branży łowcy nagród nie natrafili na żaden jej ślad.

Niestety, matka go nie słuchała. „Andra – mówiła ze swoim niepodrabialnym akcentem – oznaki bogactwa są świętym prawem Carnegiech, a przysięgam na Boga, że wywalczyliśmy sobie nasze miejsce”. Zgodził się, pozbawiony siły, by walczyć. Kiedy jednak kilka godzin wcześniej dotarli do St. Nicholas Hotel, Andrew wyjątkowo wygonił matkę z sąsiadujących pokoi i zignorował jej błagalne prośby, by udali się na świąteczną kolację do Vanderblitów, choć zaproszenie na spotkanie nowojorskiej socjety było trudno zdobyć. Chciał być sam ze swoimi myślami. Myślami o Clarze.

Clara. Wyszeptał jej imię, pozwalając, by spłynęło mu po języku jak dobry likier. W ciszy swojego gabinetu mógł się oddać wspomnieniu ich pierwszego spotkania. Clara weszła za jego matką do salonu Fairfield, ich domu w Pittsburghu, krocząc tak lekko, że ledwie docierał do niego dźwięk jej butów dotykających podłogi i szelest spódnicy. Jej powściągliwe zachowanie i spuszczone wzrok nie przyciągały jego uwagi, póki matka nie wydała jakiegoś rozkazu. Dopiero wtedy, gdy Clara uniosła głowę i popatrzyła na niego, zauważył jej obecność. W tej ulotnej chwili, nim znów opuściła wzrok, dostrzegł przez mgnienie błyskotliwą inteligencję ukrytą pod statecznym sposobem bycia wymaganym od służącej.

Kolejne, bardziej intymne wspomnienia wypełniły mu myśli, a wraz z nimi tęsknota tak gorąca, że poczuł niemal fizyczny ból. Nagle jednak jego zadumę przerwał wybuch śmiechu i brzęk kryształowych kieliszków dobiegające z wielkiej sali balowej piętro niżej. Zastanawiał się, kto świętował w tym połączonym pokoju. Czy to jeden z jego kolegów magnatów stalowych przyjechał w odwiedziny, czy może któraś rodzina z listy dziesięciu tysięcy najbogatszych nowojorczyków postanowiła opuścić bezpieczny świat kolacji w kamienicach z piaskowca, żeby zajrzeć do pełnych przepychu nowojorskich sal? Czy powinien zejść na dół i sprawdzić?

„Stop” – zdyscyplinował sam siebie. „Właśnie takiego myślenia, pełnego chciwości i dążącego do poprawiania swojego statusu nienawidziła Clara”. Obiecał

jej, że znajdzie dla siebie inną drogę niż droga tych materialistycznych przemysłowców i socjety, i zamierzał dotrzymać słowa, nawet teraz, kiedy odeszła. Powrócił do swojego planu uczczenia jej, który próbował zrealizować nieskończoną ilość razy, sporządzając kolejne szkice dokumentu. Przyciskając stalówkę wiecznego pióra tak mocno, że poplamiał papier atramentem, napisał:

Trzydzieści trzy lata i dochód 50 000 dolarów rocznie! Za dwa lata o tej samej porze zapewnić sobie co najmniej 50 000 per annum. Więcej nie zarabiać – nie powiększać fortuny, ale co roku wydawać nadwyżkę na cele dobroczynne. Na zawsze odsunąć od siebie biznes, chyba że dla dobra innych.

Zamieszkać w Oksfordzie, zdobyć wykształcenie i poznawać ludzi nauki – zajmie to trzy lata ciężkiej pracy. Zwracać szczególną uwagę na umiejętność publicznego przemawiania. Potem przenieść się do Londynu i kupić pakiet kontrolny jakiejś gazety czy kroniki oraz poświęcić się zarządzaniu nią przez angażowanie się w sprawy publiczne, zwłaszcza związane z edukacją i poprawą sytuacji ubogich klas.

Człowiek musi mieć idola (gromadzenie bogactwa to jeden z najgorszych rodzajów idolatrii), a trudno o idola bardziej poniżającego niż pieniądze. W cokolwiek się zaangażuję, zrobię to bez reszty: dlatego muszę starannie wybrać takie życie, które okaże się w swym charakterze najbardziej wzniosłe. Poświęcenie się w dalszym życiu trosce o interesy i jak najszybszemu zarabianiu pieniędzy poniży mnie tak, że nie będzie już nadziei. Zrezygnuję z biznesu w wieku lat trzydziestu pięciu, jednak przez nadchodzące dwa lata zamierzam spędzać popołudnia na kształceniu i systematycznej lekturze.

Andrew uniósł pióro i przeczytał zapisane słowa. Były toporne i niedoskonałe, czuł jednak zadowolenie. Chociaż Bóg zdecydował, że Clara nie będzie należeć do niego, zamierzał wywijać jej przekonania niczym mieczem. Nie mógł już

dłużej czcić idoli w postaci statusu społecznego i bogactwa – nie dla nich samych. Reputacja i pieniądze miały teraz służyć wyższemu celowi: poprawie losu innych, zwłaszcza budowaniu drabin, po których będą się mogli wspinać przybywający do jego przybranej ojczyzny. Mimo ogarniającej go rozpacz Andrew pozwolił sobie na najdelikatniejszy z uśmiechów, na małą satysfakcję. List spodobałby się jego Clarze.

Rozdział 1

4 listopada 1863 r.

Filadelfia, Pensylwania

Nie powinnam tu być. Cecelia albo Eliza mogłyby zajmować moje miejsce na tym cuchnącym statku. Miały prawo – a Eliza, jako najstarsza, nawet obowiązek – wyruszyć w podróż i zacząć od nowa na innej ziemi. Mama i tata przygotowali jednak całą litanię wymówek: Eliza miała dwadzieścia jeden lat i była bliska zamążpójścia, które miało pozwolić rodzinie dalej dzierżawić naszą farmę – jak wyjaśnił ojciec – a zaszczyt ten ominął mnie z winy mojego przemądrzalstwa. Cecelia natomiast, mając piętnaście lat, była za młoda, a zresztą również zbyt słaba na samotną podróż. I tak, przekonana do racji rodziców, wsiadłam na pokład statku Envoy. Czterdzieści dwa dni później pożałowałam arogancji wobec swoich sióstr i przechwałek w chwili, gdy poznałam decyzję rodziców. Wiedziałam już, że bycie uznaną za *síofra*[1] w swojej rodzinie – podrzutka zdolnego do przeobrażenia się w cokolwiek, czego wymagać będzie od niego Ameryka – nie jest żadną nagrodą. Rozpaczliwie tęskniłam za siostrami.

Światło wniknęło do kabiny najniższej klasy przez właz, oslepiając mnie na chwilę. Odruchowo zamknęłam oczy. Nawet kiedy osłabło, wciąż ich nie otwierałam, ciesząc się resztką słonecznego ciepła. Chciałam, żeby znikające promienie mnie oczyściły. By usunęły kwaśną woń długiej podróży przez Atlantyk i osuszyły powracające łzy pożegnania.

Steward uderzył w dzwon, sygnalizując, że nadeszła pora wyjścia na ląd. Otworzyłam oczy i niepewnie rozejrzałam się po kabinie. Matki ze ślamazarnymi noworodkami w ramionach wstały, a starsze dzieci o pustych oczach chwyciły się ich spódnic, przestraszone biciem dzwonu. Ojcowie i starcy starali się wygładzić swoje brudne, pogniecione ubrania, by zachować choćby resztki godności. Tylko kilku młodych mężczyzn, *fir òga*[2] było wystarczająco silnych i chętnych, by od razu ustawić się w kolejce.

Podróż była trudna, zmęczyła nawet *fir òga*. Niemal trzy tygodnie wcześniej, już po burzliwej przeprawie, burza zaskoczyła *Envoy* i zmusiła pasażerów trzeciej klasy, którzy nie leżeli w łózkach, by udali się do ładowni pełnej wody. Gdy załoga i moi towarzysze podróży zaczęli pompować wodę w mroku bezksiężycowej nocy, statek zakołysał się z boku na bok, a wtedy pewna dziewczyna z Dublina – mniej więcej szesnastoletnia i podróżująca samotnie, jak ja – wpadła na jeden z drewnianych pali podtrzymujących sufit. Z jękiem upadła na mokrą wciąż podłogę i nie odzyskała już przytomności. Kiedy następnego poranka umarła, kapitan przysłał do najniższej klasy pierwszego oficera i marynarza. Zawinęli ją w prześcieradło, przywiązali do nóg kamienie i wyrzucili za burtę, nie wypowiadając nawet słowa modlitwy. Ta strata i zachowanie załogi były dla mnie – dla nas wszystkich – wielkim ciężarem, gdyż zdawały się zapowiedzią tego, co może nas czekać na nowej ziemi.

Na drewnianym pokładzie ponad naszymi głowami usłyszeliśmy kroki, a potem łomot i odgłos przesuwanych bagaży. Moi współpasażerowie rzucili się, by zebrać nędzne pakunki: plecaki, wiklinowe kosze, narzędzia, ukochane obrazki i Biblie, a czasem nawet zniszczone kufry. Wiedziałam jednak, że nie ma co się spieszyć. Musieliśmy czekać, aż pozostałe klasy opuszczą statek. Zawsze czekaliśmy: na suche ciastka, cuchnącą wodę czy skwaśniałą owsiankę, które stanowiły nasze posiłki; na sen, którego nie przerywałyby ataki kaszlu i dziecięcego płaczu; na powietrze niezanieczyszczone smrodem wymiotów i pełnych nocników; na burze i na otwarcie włazów, dzięki czemu mogliśmy spędzić kilka rozkosznych chwil na świeżym powietrzu; na intymność, której nie doświadczaliśmy nigdy.

Miałam dość czekania. Nie mieliśmy jednak wyboru, musieliśmy stanąć w kolejce – nieruchomo, jeśli nie liczyć bujania statku, który wpływał do portu. Zerknęłam na młodą matkę obok mnie, której zniszczona brązowa sukienka nosiła na sobie ślady ciągłej choroby dziecka. Miała jakieś siedemnaście lat, była więc o jakieś dwa lata młodsza ode mnie, jej oczy jednak zdawały się starsze. Lekkie zmarszczki ustąpiły już bruzdom. Podczas strasznej, samotnej podróży znosiła niepokój i cierpienie nie tylko własne, lecz także dziecka. Wstydziłam się swojego narzekania na niewygody i tęsknotę za domem.

– *Ádh mór*^[3] – powiedziałam, nie mogąc zaoferować ani jej, ani dziecku niczego prócz życzenia szczęścia. Nie musiałyśmy się tu martwić, że nauczyciel zaznaczy, iż mówimy po irlandzku, a nie po angielsku, na naszym *bata scóir*^[4] i nas za to ukarze, jak to było w Irlandii. Zresztą ta biedna młoda matka pewnie nigdy nie została uderzona za mówienie po irlandzku w szkole, gdyż prawdopodobnie nie chodziła do żadnej szkoły.

Moje słowa ją zaskoczyły. Zgodnie z zaleceniem matki trzymałam się od współpasażerów na dystans, a z tą dziewczyną nie rozmawiałam ani razu. Taka postawa pozwoliła mi zachować zdrowie, choć uczyniła mnie niepopularną wśród biednych rodaków, którzy uznawali ją za wyniosłość. Zbyt zmęczona, by się odezwać, pokiwała tylko głową z wdzięcznością.

Właz otworzył się, a kabinę wypełniło chłodne, słone powietrze. Odetchnęłam głęboko i przez długą minutę świeża bryza mi starczała. Powietrze pachniało domem. Chwytałam je łapczywie.

– Ustawcie się w kolejce! – krzyknął do nas steward.

Jego błada, wychudła twarz terroryzowała nas przez czterdzieści dwa dni: odmawiał nam jedzenia, wody i czasu na pokładzie, kiedy uznawał, że nie jesteśmy dość ugrzeczni. Gdyby nie był władny odmówić nam także wstępu do naszego nowego kraju, powiedziałabym mu, że zachowuje się okrutnie. Nie ugryzłabym się w język, choć tego uczyli mnie rodzice.

Utworzyliśmy kolejkę i czekaliśmy. Jakiś cichy sygnał dotarł wreszcie do stewarda, bo kazał nam wspiąć się po schodach na pokład. W jednym rzędzie po raz ostatni opuściliśmy cuchnące kabiny najniższej klasy i wyłoniliśmy się na powierzchnię w stonowanym świetle filadelfijskiego portu.

Trap prowadzący na brzeg zdawał się niestabilny, podobnie jak kamienisty ląd, na którym stanęłam. Miałam wrażenie, jakby to ziemia się bujała, a nie statek. Moje nogi były teraz bardziej przyzwyczajone do ruchu wody niż do nieruchomej ziemi.

Urzednicy w czarnych uniformach poprowadzili nas do budynku z napisem „Lazaretto”. Podczas długich, ciemnych nocy na statku moi towarzysze z lękiem mówili o tym miejscu – stacji kwarantanny. Wcześniej od podróżujących krewnych dowiedzieli się, że najmniejsza oznaka choroby u kogoś z pasażerów może oznaczać tygodnie, a nawet miesiące w Lazaretto – miejscu, do którego ludzie przychodzili i z którego wychodzili równie chorzy. Albo nie wychodzili wcale.

Nie obawiałam się tego, że mogłam się czymś zarazić. Instrukcje matki zapewniły mi bezpieczeństwo. Słyszałam jednak wystarczająco dużo kaszlu, by wiedzieć, że pozostali pasażerowie nie tryskają zdrowiem – a nasze losy były teraz ze sobą związane. Gdyby inspektor znalazł jednego zarażonego pasażera najniższej klasy, jego obowiązkiem było zatrzymanie wszystkich w Lazaretto do czasu, aż nie wyzdrowieją.

Szliśmy po kolei w stronę inspektorów. Skrzywiłam się, kiedy urzednicy badali moich towarzyszy podróży, bo mój ojciec podobnie badał zwierzęta gospodarskie. Przyglądali się ich dziąsłom i powiekom w poszukiwaniu oznak choroby, przeczesywali im włosy w poszukiwaniu wszy czy innych robaków, sprawdzali paznokcie i skórę pod kątem cholery czy żółtej gorączki, a wreszcie grzebali w ich rzeczach. Dowolne uchybienie mogło skazać nas wszystkich na Lazaretto. W myślach błagałam Najświętszą Panią, by maluch kaszlący przez całe noce teraz zdołał się uspokoić.

Kolejka przesunęła się naprzód i nadeszła moja kolej. Zdjęłam wygnieciony czepek i wrzosowo-szary płaszcz, wyciągnęłam ramiona i poddałam się badaniu.

– Dobrze wyglądasz – powiedział mi do ucha brodaty inspektor, rozpuszczając moje ciężkie, ciemnorude włosy.

Jego gest i szept wydały mi się dziwnie intymne i całkiem nie na miejscu. Nie mogłam jednak zaprotestować. Nie wolno mi było zniszczyć wszystkiego, na co pracowali matka i ojciec. To zniweczyłoby wszystkie poświęcenia, dzięki którym zdołali zapłacić za mój bilet.

Pokiwałam głową, jakby w jego uwadze nie było nic dziwnego. Jakby było to zwykłe stwierdzenie. Moje dłonie trzęsły się jednak, kiedy spinałam włosy, a on dalej badał moją skórę. Dopiero kiedy przeniósł uwagę na plecak, mój płytki, szybki oddech się uspokoił.

Z lekkim uśmiechem wskazał mi gestem, że mogę iść. Wyglądało na to, że przeszedł test. Ale co z moimi towarzyszami?

Razem z resztą pasażerów zostałam wepchnięta do dużej, obskurnej poczekalni, która cuchnęła brudnymi ciałami i uryną. Po raz kolejny musieliśmy czekać. Obiecałam sobie, że jeśli uda mi się wyjść z Lazaretto i stanąć na amerykańskiej ziemi, postaram się już nigdy nie czekać.

Po kolejnej długiej godzinie, kiedy do środka spływali kolejni pasażerowie, a niepokój się wzmaczał, zadzwonił dzwon. Starcy, zmęczone matki i małe dzieci popatrzyli na siebie pytająco. Czy powinniśmy wiedzieć, co to znaczy?

Wreszcie drzwi otworzyły się szeroko, a pokój wypełniło światło.

– Witajcie w Ameryce – oznajmił urzędnik w okularach.

Choć nikt się nie odezwał, ulga była wyraźnie wyczuwalna. Po raz ostatni ustawiliśmy się w kolejce i wyszliśmy w amerykańskie słońce.

Odetchnęłam z nadzieją.

Wszędzie wokół słyszałam radosne okrzyki: moi towarzysze rzucali się w ramiona czekającym na nich krewnym. Ja jednak szłam dalej. Nikt na mnie nie czekał.

[1] *Síofra* (irl.) – przedwcześnie dojrzałe dziecko, także: odmieniec, podrzutek. (Jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczki.)

[2] *Fir òga* (irl.) – młodzi mężczyźni.

[3] *Ádh mór* (irl.) – powodzenia.

[4] *Bata scóir* (irl.) – rabosz, kawałek drewna, który irlandzkie dzieci nosiły na szyi; nauczyciele zaznaczali na nim, kiedy słyszeli, że ich uczniowie mówią po irlandzku, a pod koniec dnia liczyli nacięcia i wymierzali dzieciom odpowiednią karę.

Rozdział 2

4 listopada 1863 r.

Filadelfia, Pensylwania

Szłam zdecydowanym krokiem. Nie miałam pojęcia, dokąd idę, ale nie mogłam sobie pozwolić na wahanie, które sugerowałyby moją słabość. Nawet w naszej małej wiosce w hrabstwie Galway, niedaleko Tuam, słyszeliśmy plotki o imigrantach, którzy po przybyciu do Ameryki zostali zaatakowani przez oszustów, pozbawionych skrupułów ludzi, zaangażowanych w najróżniejsze intrygi i szykany. Kiedy mama i tata podjęli decyzję, że to ja wyjadę, zachowywałam się arogancko, teraz jednak zastanawiałam się, jak poradzę sobie na tej dziwnej ziemi.

Jeśli nie liczyć krzyku mew i tętentu koni, w porcie tym rozbrzmiewały inne dźwięki niż w Galway. Rybacy reklamowali swoje towary w języku, który był angielskim, ale brzmiał bełkotliwie, podobnie zresztą jak mowa sprzedawców gazet. Jeśli nie liczyć słonego powietrza i zapachu końskich odchodów, zapachy również były inne niż w domu. Nowi przybysze wokół mnie potykali się, usiłując utrzymać równowagę na ładzie, a powietrze cuchnęło ich ciałami. Nadmorskie powietrze nie było w stanie usunąć odoru ludzi, którzy nie myli się przez długie tygodnie. Nawet żebracy krzywili się, czując smród moich towarzyszy podróży.

Otoczona ludzką masą po raz pierwszy naprawdę zrozumiałam, jak bardzo jestem samotna na tej nowej ziemi.

– Clara Kelley? – Usłyszałam w zgiełku czyjś głos.

Nie sposób było pomylić nazwiska. Tak się nazywałam.

Nasłuchiwałam chwilę, ale nie usłyszałam go drugi raz. Pomyślałam, że ponieważ czułam się bardzo samotna, wyobraziłam je sobie. Musiało tak być. Nikt mnie tu nie oczekiwał.

– Clara Kelley? Szukam panienki Clary Kelley z Galway. – Dobiegło mnie głośniejsze nawoływanie.

Ruszyłam za głosem. Należał do wysokiego, ogolonego mężczyzny w meloniku i płaszczu w pepitkę. Tak eleganckiego człowieka nie widziałam od dawna. Zanim podeszłam bliżej i się przedstawiłam, chwilę patrzyłam na niego. Czy był to jeden z uciekinierów, o których słyszeliśmy od naszych sąsiadów, O'Donnellów? Pewien Irlandczyk podszedł do ich siostrzeńca Anthony'ego w nowojorskim porcie i obiecał mu miły pokój w rozsądnej cenie, po czym zaprowadził go do pełnej szcurów speluny w Lower East Side, w której mieszkało już dziewięciu innych imigrantów, i policzył sobie sześć razy wyższą cenę, niż zapowiadał. Kiedy okazało się, że Anthony nie jest w stanie mu zapłacić, mężczyzna wyrzucił go na ulicę, a jako rekompensatę zabrał chłopakowi jego jedyną własność – kufer z rzeczami. O'Donnellowie i biedni rodzice Anthony'ego nie mieli od niego żadnych wieści od czasu listu z tą historią. A nie był to najgorszy los, jakiego mógł się spodziewać imigrant. Słyszałam, jak O'Donnellowie opowiadali moim rodzicom o dziewczynie z sąsiedniej wioski, samotnie podróżującej do Bostonu, której szmugler zgotował znacznie gorszą pokutę niż konfiskata bagażu.

Ten mężczyzna nie wyglądał groźnie. Moja młodsza siostra, Cecelia, nazwałaby go pewnie szykownym, zwłaszcza że opierał się o elegancki czarny powóz z dwoma nakrapianymi szarymi końmi. Zresztą, skąd szmugler miałby znać moje imię?

Mężczyzna zauważył moje spojrzenie i zapytał:

– Pani nazywa się Clara Kelley, prawda? – Jego amerykański akcent był wyraźny, zrozumiałam jednak od razu.

– Tak, sir.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się mojej twarzy, ubraniu i plecakowi.

– Panna Clara Kelley, która przyплыnęła statkiem Envoy?

– Tak, sir – odparłam, lekko dygając.

– Nie tego się spodziewałem – powiedział, kręcąc głową. – Ale pani Seeley wie, co robi. Nie mnie sądzić.

Już miałam zapytać, dlaczego mnie szukał i kim jest ta pani Seeley, lecz kazał mi wsiąść do powozu.

– Czekałem ponad godzinę. Jeszcze długo po tym, jak pasażerowie drugiej klasy wyszli z Lazaretto. Bóg jeden wie, czemu się panienka tak guzdrała. Teraz jesteśmy spóźnieni w naszej podróży do Pittsburgha. A pani Seeley nie lubi czekać.

W słowach mężczyzny kryło się kilka wprowadzających zamęt stwierdzeń, ale ja usłyszałam tylko słowo „Pittsburgh”. Czy naprawdę oferował mi podróż do Pittsburgha? To przemysłowe miasto leżące o ponad trzysta mil od Filadelfii było ostatecznym celem mojej podróży. W Irlandii słyszeliśmy, że bez trudu można tam znaleźć pracę, a ponadto było to jedyne miejsce w tym ogromnym kraju, gdzie moja rodzina miała jakichś krewnych. Nie bliskich, oczywiście, ale na tyle, bym mogła się do nich odezwać, kiedy już znajdę pracę w zakładzie włókienniczym albo w jednym z tych wielkich domów, w których potrzebują służby.

Zachomikowałam resztę funtów i pensów od mamy i taty, by starczyło mi na podróż do Pittsburgha. Zakładałam, że będę musiała zebrać pieniądze na najtańszy możliwy transport, kombinację podróży koleją i kanałami, jako że pociągi nie pokonywały całej trasy. Teraz jednak całkiem obcy człowiek najwyraźniej proponował mi podróż konnym powozem przez Allegheny, nie pytając o zapłatę. Czy byłabym głupia, gdybym nie przystała na jego ofertę? A może przeciwnie?

Miałam wybór. Mogłam powiedzieć temu mężczyźnie prawdę. Nie byłam Clarą Kelley, której szukał. Clara Kelley to dość popularne nazwisko. Prawdopodobnie ta

Clara Kelley z drugiej klasy, na którą czekał, nie wysiadła ze statku płynącego z Irlandii, skoro do tej pory jej nie spotkał. Cholera i tyfus zabrały wielu pasażerów z różnych klas. Choroba nie wybiera. Być może tylko choroba.

Mogłam też jednak zostać tamtą Clarą Kelley. I być nią, przynajmniej póki nie dojedziemy do Pittsburgha.

Patrzyłam na czarny powóz, usiłując podjąć decyzję. Na pokładzie Envoy obiecałam sobie, że dłużej nie będę czekać, a kiedy nadejdzie pora, wezmę swoją przyszłość we własne ręce.

Mężczyzna otworzył przede mną drzwi powozu:

– Proszę, panienko.

Spojrzałam na niego i powiedziałam:

– Przepraszam za spóźnienie, sir. To się więcej nie powtórzy.

I weszłam po schodkach do środka.

Rozdział 3

4 listopada 1863 r.

Filadelfia, Pensylwania

Powóz nie był pusty. Kiedy mój wzrok przyzwyczał się do półmroku, zauważyłam, że są w nim już dwie inne dziewczyny. Obie w podobnym do mnie wieku i o rudawym kolorze włosów, charakterystycznym dla moich rodaków. Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Moje towarzyszki miały na sobie suknie z wystającymi krynolinami, grubymi jedwabnymi szarfami, dekolcami wykończonymi koronką i długimi, luźnymi rękawami – wytworniejsze od wszystkiego, co kiedykolwiek miałam na sobie. A nawet – co kiedykolwiek widziałam, jeśli nie liczyć dwóch okazji, kiedy usługiwałam jako podkuchenna przy świątecznych obiadach w Castle Martyn, średniowiecznej cytadeli należącej do rodziny Martynów, którzy byli panami wszystkich rolników w naszym regionie.

Kim, na Boga, była ta Clara Kelley, którą się stałam?

W oczach dziewcząt zobaczyłam podobne do mojego zaskoczenie. Nie mogłam dać po sobie niczego poznać, bo ryzykowałabym utratę miejsca w powozie. Co miałam zrobić, żeby zająć miejsce tajemniczej Clary?

Na pewno nie mogłam mówić tak, jak zwykle. Dziewczęta nie wyglądały na takie, których akcenty przypominały ten córki rolnika z zachodniej Irlandii – nawet jeśli sąsiedzi uznawali ją za niezwykle wytworną, gdyż tata nie zaniedbywał jej

edukacji. Podejrzewałam, że ta druga Clara Kelley mówi podobnie do nich. Nie do mnie.

Wysłannik pani Seeley zajrzał do powozu:

– Panno Kelley, muszę zapakować do środka wasz bagaż. Gdzie on jest?

Jak mogłam odpowiedzieć, że torba, którą mam na ramieniu, zawiera cały mój ziemski dobytek? Prawdziwa Clara Kelley z pewnością podróżowałaby z kuframi na tyle wielkimi, by mogły pomieścić suknie z krynolinami, podczas gdy w mojej małej torbie nie było miejsca nawet na żadną z moich ukochanych książek o historii czy tomików wierszy. Zabrałam tylko konieczne rzeczy. Chociaż bardzo starałam się je spakować, zniszczone wydanie *O demokracji w Ameryce* Alexisa de Tocqueville'a – dzieła stanowiącego inspirację dla politycznego zaangażowania taty w sprawę Fenian i służącego mi do poznania Ameryki – za nic nie chciało się zmieścić. Porzucenie książek, dzięki którym mój ojciec wykształcił wszystkie swoje córki (zresztą ku niezadowoleniu sąsiadów), było niemal równie trudne jak rozstanie z rodziną.

– Przepraszam, sir – odparłam. – Powinnam była poinformować pana, że mój bagaż został po drodze zagubiony.

Modliłam się, by udało mi się skopiować angloirlandzki akcent, jakim jak zakładałam, mówiły moje towarzyski. Wzorowałam się na rodzinie Martynów.

Martynowie. Sama myśl o nich sprawiała mi przykrość. Ich działania były przyczyną mojego wyjazdu. Kiedy po raz kolejny wypłynęły plotki na temat związków taty z Fenianami – ruchem niepodległościowym, który zrodził się, gdy Anglicy nie pomogli ofiarom głodu w Irlandii, i uznawał, że Irlandia powinna być niezależnym krajem, że rolnicy powinni mieć zapewnione sprawiedliwe komorne i stałe zatrudnienie, a wszyscy ludzie mają prawo do życia i polepszenia swego losu – angloirlandzcy Martynowie postanowili się zemścić. Stopniowo zagarniali po kawałku ziemię z naszego ośmiohektarowego gospodarstwa. Dzięki jego wielkości udało nam się uprawiać na tyle różnorodne rośliny, że przetrwaliśmy głód, który pochłoniął wielu rolników mających jedynie pół hektara ziemi i uprawiających

tylko ziemniaki. W tej sytuacji nasza rodzina potrzebowała innego źródła pieniędzy i to ja miałam być tym źródłem. Lord Martyn, jego żona i córka równie dobrze mogli sami zaprowadzić mnie na pokład Envoy i popchnąć statek w stronę Ameryki przez niebezpieczne wody Atlantyku.

– Zagubiony? – spytał woźnica.

Nie zrozumiał mojego udawanego akcentu czy może mi nie dowierzał? Tak czy inaczej podważał moje wyjaśnienie, a ja musiałam zachować spokój.

– Tak, sir. Zagubiony w czasie sztormu. – Pożałowałam kłamstwa, gdy tylko je wypowiedziałam.

Dziewczeta, które dotąd przysłuchiwały się tej rozmowie ukradkiem zza swoich wachlarzy, teraz podniosły wzrok prosto na mnie. One również były na pokładzie Envoy i chociaż łódź niemal ciągle musiała pokonywać wysokie fale i przetrwać burzę, która zalała najniższą klasę, żaden sztorm nie zaskoczył starego statku. Czy dziewczeta zdradzą moje kłamstwo?

Woźnica pokręcił z niedowierzaniem głową:

– Sztorm? Te panie nic o nim nie mówiły. Nie słyszałem też o nim ani słowa od żeglarzy.

– Tak, sir. – Pokiwałam głową z przekonaniem. Mimo pytających spojrzeń dziewcząt siedzących w powozie musiałam trzymać się tego kłamstwa i przekonać mężczyznę.

Kręcąc głową – nie byłam pewna, czy z niedowierzaniem, czy frustracją – woźnica zatrzasnął drzwi powozu. Zostałam sama z dwiema dziewczynami, które najwyraźniej postanowiły zachować mój sekret dla siebie. Przynajmniej na razie.

Niezręczną ciszę przerwał trzask bicia i powóz ruszył. Szarpnięcie zaskoczyło nas, więc musiałyśmy doprowadzić się do porządku. Kiedy powóz jechał już spokojnie, tylko lekko szarpiąc, gdy napotykał kamień czy koleinę, niezręczna cisza trwała nadal.

Wyglądałam przez okno, udając, że skupiam się na mijanych widokach. Z początku chodziło mi tylko o to, by uniknąć spojrzeń moich towarzyszek, jednak

w miarę upływu kolejnych minut moje zaskoczenie rosło. Kiedy powóz opuścił port i ruszył dalej siatką filadelfijskich ulic, nie dostrzegałam żadnych budynków z szarego kamienia, obrośniętych winoroślami i mchem. W tym nowym mieście, tak różnym od Galway, nie było zieleni ani historii. Ulice były natomiast proste i szerokie, krzyżowały się pod kątem prostym, a stały przy nich domy z czerwonej cegły, wykończone białymi kolumnami i skrzydłami okiennymi, oznaczone świeżo wymalowanymi tablicami z nazwiskami dostawców i nazwami ich wyrobów. Wszystko było tu uporządkowane i świeże, chociaż nie tak elegancko zaprojektowane jak domy i place w Dublinie czy Londynie, których rysunki widziałam w książkach ojca.

– Panno Kelley?

Oderwałam wzrok od szyby.

– Tak, panno... – Zdałam sobie sprawę, że dziewczęta nie zostały mi przedstawione.

– Nazywam się Coyne, a to jest Quinn. Powiedziała pani woźnicy, że była na pokładzie Envoy?

Teraz zrozumiałam. Chociaż dziewczęta z sobie tylko znanych powodów postanowiły nie zdradzać mojej tajemnicy służącemu pani Seeley, nie zamierzały mi odpuścić. Musiałam zachować pewność siebie, chociaż wszystkie dobrze wiedziałyśmy, że moja historyjka jest, przynajmniej w części, zmyślona.

– Byłam.

– W drugiej klasie?

– Tak. – Miałam nadzieję, że brzmię przekonująco. Musiałam zachować ostrożność: ryzykowałam, że dziewczyny zdradzą to kłamstwo woźnicy i pogrzebią moją szansę.

– Ciekawe. Ani ja, ani panna Quinn nie widziałyśmy pani podczas tej długiej podróży.

– Ja was też nie. Zresztą z mojego punktu widokowego nie widziałam właściwie nikogo ani niczego przez większość podróży. – Nie chcąc stracić

akcentu, mówiłam powoli i wyraźnie. Brzmiałam fałszywie.

– Punktu widokowego?

– Z podłogi kabiny praczek. Zapadłam na tak ciężką chorobę morską, że nikt nie chciał ze mną spać. – Wskazałam na sukienkę. – Wyjaśnia to również mój zaniedbany strój. Moje sukienki nie przetrwały choroby. Zmuszona byłam zakupić tę od marynarza.

Dziewczęta wzdrygnęły się na sam dźwięk słów „choroba morska”. Chociaż być może cierpiały na tę samą przypadłość, rozmawianie o niej było uznawane za niegrzeczne. I umilkły – jak się spodziewałam.

Znów wyjrzałam przez okno, starając się skupić na interesujących widokach, jakie ukazywały się moim oczom. Szept dziewcząt odwracał jednak moją uwagę. Skorzystałam z okazji, by wyłowić z ich cichego mamrotania kilka słów i nazwisk: „Seeley”, „służba” i „pani Carnegie”.

– Czy dobrze słyszałam, że woźnica mówił, iż wybiera się pani do pani Seeley z Pittsburgha? – odezwała się tym razem druga dziewczyna, panna Quinn.

– Tak. Wy również?

– Owszem. Czy wie pani, komu zostanie przydzielona?

Co miała na myśli? Szukając w myślach odpowiedzi, zastanawiałam się nad zasłyszany mi chwilę wcześniej słowami. Chyba pytała mnie o to, komu będę służyć. Czy tę właśnie rolę odgrywała pani Seeley? Czyżby zajmowała się szukaniem służących dla rodzin? Jeśli tak, pytanie dotyczyło tego, jakiej rodzinie będę służyć.

Po niezręcznej chwili ciszy, kiedy paraliżował mnie lęk przed udzieleniem niewłaściwej odpowiedzi, panna Quinn spytała:

– To chyba nie znaczy, że będzie pani służyć u pani Carnegie?

– Tak. Tak, właśnie u niej. – Podchwyciłam jej sugestię.

Dziewczęta popatrzyły po sobie. Nie rozumiałam, o co chodzi.

– Ma pani być nową służącą pani Margaret Carnegie? Rozważano nasze kandydatury do tej roli, ale pani Seeley uznała, że nasze kwalifikacje wystarczają,

byśmy zajęły ważniejsze pozycje, nauczycielek.

Tym razem znaczenia ich słów nie dało się nie domyślić. Najwyraźniej uważały, że nie nadają się do tej roli. Większość dam by się z nimi zgodziła. Wyglądałam jak córka rolnika – którą byłam – a takim dziewczętom rzadko pozwalano objąć lepszą posadę niż pomywaczka, jeśli w ogóle dopuszczano je do służby.

– Tak – odparłam, uspokajając głos.

Skoro dziewczęta chciały rzucić mi wyzwanie, lepiej, żeby zaczęło się to teraz, a nie w obecności pani Seeley. Kimkolwiek była. Wtedy przynajmniej byłabym już w Pittsburghu.

Spokój mojego spojrzenia onieśmielił pannę Quinn, która wbiła oczy w podłogę. Panna Coyne wytrzymała jednak mój wzrok i wreszcie wypowiedziała skrywane dotąd myśli:

– Cóż, nie wygląda pani odpowiednio. A wygląd służącej świadczy nie tylko o jej pozycji, ale też o pozycji jej pani. Każda pokojówka powinna o tym wiedzieć. Gdybyśmy chciały zostać nauczycielkami córek Oliverów i Standishów i pojawiłybyśmy się ubrane tak jak pani, panno Kelley, z pewnością zostałybyśmy natychmiast odrzucone. Nie zważając na chorobę morską. – Zmarszczyła swój mały nosek, jakby sama myśl o mdłościach brzydko jej zapachniała. – Ma pani jednak służyć rodzinie Carnegiech, a z tego, co mi wiadomo, oni dopiero pracują na swoją pozycję. Może nie potrafią jeszcze wybierać służących.

Dziewczęta zachichotały.

Jeśli panna Coyne miała nadzieję, że mnie zniechęci, myliła się. Jej słowa przyniosły odwrotny skutek. Utwierdziły mnie tylko w zasadności odgrywanej roli oraz obudziły upór i determinację, o których nadmiar oskarżali mnie często mama i tata. To właśnie ta determinacja miała pomóc mi w moim nowym życiu w Ameryce i – być może – dać szansę na lepsze życie całej mojej rodzinie, wciąż zagrożonej przez Martynów.

Przypominając sobie nadany mi przez rodziców przydomek *síofra*, zastanowiłam się, jak zareagowałaby ta nowa Clara Kelley. Uśmiechnęłam się słodko i ułożyłam dłonie na kolanach.

– Czyż w *Księdze Przysłów* nie jest napisane, że „strojem jej siła i godność”? Pozwolę, by to mój charakter – którego pani Seeley jest bez wątpienia świadoma – wystawiał mi świadectwo.

Rozdział 4

11 listopada 1863 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Pani Seeley patrzyła na mnie, jakby widziała, co kryje się pod moją zniszczoną sukienką, jakby potrafiła przejrzeć historię, którą zaczęłam jej opowiadać, i tożsamość tej Clary Kelley, którą byłam naprawdę. Moja fałszywa pewność siebie zaczęła się kruszyć, a zastępował ją strach. Wiedziałam, że jeśli się nie wezmę w garść i nie spojrzę prosto w oczy pani Seeley jako ta Clara Kelley, którą udawałam, stracę swoją szansę. Nagroda w jej rękach – upragniona praca, dotąd niewyobrazalna, a teraz na wyciągnięcie ręki – przypadnie na zawsze.

Czy odważę się reklamować przed panią Seeley, jakbym zachwalała świąteczny smakołyk z jarmarku? Co innego miałam jej jednak zaoferować? Nie mogłam stracić tej szansy.

Odetchnęłam głęboko i powiedziałam:

– Przepraszam najgoręcej, pani Seeley, że pojawiam się przed panią w tak żalnym stanie. Choć wyjaśniłam już jego przyczynę, wiem, że trudy podróży nie są wystarczającym usprawiedliwieniem. Zwłaszcza w takim miejscu jak to. – Wskazałam gestem na salon, miejsce wyjątkowo czyste, biorąc pod uwagę mrok miasta otaczającego dom.

Podczas krótkiego spaceru z powozu do domu pani Seeley widziałam brud, jakiego nie spodziewałam się tu nigdy zobaczyć. Z wysokich kominów wznosiły

się w górę czarne chmury. Pełne smoły powietrze brudziło pyłem budynki, na których murach, niczym duchy, odcinały się białe kontury afiszy. Czemu nikt mi nie powiedział, że industrializacja przypomina biblijne piekło?

Opuściłam szybko wzrok i przybrawszy minę pełną skromności i wstydu, czekałam na werdykt.

Pani Seeley nie odpowiedziała, a ja nie ważyłam się unieść głowy. Czy oceniała stan mojej sukienki – brudnej już wcześniej, a teraz dodatkowo osmolonej po kilku godzinach spędzonych w Pittsburghu – na tle relatywnej elegancji mojej wymowy? Czy zastanawiała się, na ile reputacja ekskluzywnego rejestru służących ucierpi, gdy zaryzykuje i przyjmie mnie do siebie? Z urywków zasłyszanej, a właściwie podsłuchanej rozmowy między pannami Quinn i Coyne w ciągu ośmiu dni naszej podróży dowiedziałam się, że miałam rację. Pani Seeley była właścicielką głównej bazy służących w mieście: była to osoba, do której zgłaszały się damy z towarzystwa poszukujące specjalistycznie wyszkolonej służby, a nie jakichś przypadkowych praczek, oczywiście. Pani Seeley szczyliła się służącymi z nieskazitelnymi pisemnymi referencjami. Ta druga Clara Kelley musiała mieć doskonałe referencje, które nijak się miały do mojego obecnego stroju.

Cierpliwość nie była moją cnotą, jednak wykorzystanie tej okazji zależało od mojej zdolności stania się tą osobą, której poszukiwała pani Seeley. Nie przerywając ciszy ani nie zmieniając swojej skruszonej pozy, patrzyłam, jak jej wzrok pada najpierw na moją brudną suknię, a potem na twarz. Popatrzyłyśmy na siebie. Widziałam, że ma wątpliwości – co do mojej historii, skromności, akcentu. Ale chciała mi uwierzyć. Może musiała.

Ona też ryzykowała.

– No dobrze, musimy doprowadzić cię do porządku, tak by wygląd pasował do referencji. Pani Carnegie dokładnie wie, jakich cech poszukuje u swojej służącej, a nawet jeśli masz ich całe mnóstwo, nigdy ich nie dostrzeże przez tę brudną suknię. I przez to, jak cuchniesz.

A więc cuchnęłam? Spędziłam w tych ubraniach tak dużo czasu, że przestałam je czuć. Pani Seeley podejmowała zatem podwójne ryzyko.

– Oczywiście, pani Seeley – odparłam z uprzejmym dygnięciem.

– Muszę dbać o swoją reputację: szukam służących do najlepszych domów. – Przerwała, po raz kolejny przyglądając mi się od stóp do głów, i pokręciła głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, że zamierza przedstawić mnie klientce. – Nie wspominając o tym, że już w ciebie zainwestowałam i zamierzam odzyskać swoje pieniądze. Droga z Filadelfii kosztuje tyle, ile wyniesie twoja pensja za niemal dwa miesiące.

Wzdychając, minęła mnie, by podejść do szafy przy przeciwległej ścianie. Nad jej biurkiem wisiała lista, na której widniały imiona dziewcząt, zapisane większymi literami, niż to było konieczne, a obok nich odpowiednie przewinienie. Kilka razy wyczytałam słowa „leniwa” i „niechlujna”. Wyglądało to na ostrzeżenie dla wszystkich dziewcząt, które przekraczały próg domu pani Seeley. Przysięgam sobie, że nigdy nie znajdę się na tej liście.

Pani Seeley wyjęła z szafy prostą, czarną suknię i podeszła do mnie. Suknia z czesankowej wełny, pozbawiona szarf czy ozdobnych rękawów, jakimi wykończone były stroje panien Quinn i Coyne – być może odpowiednie jedynie dla lepszych posad, takich jak nauczycielki – przypominała praktyczne uniformy służących. Przyłożyła ją do mnie, sprawdzając, czy rozmiar jest dobry, po czym powiedziała, jakby kogoś cytując:

– Porządna i skromna służąca nie nosi rzeczy brudnych ani wytwornych. – Skinęła głową i dodała: – Będzie pasować. Doliczę jej koszt do sumy, którą jesteś mi winna za podróż powozem, i odejmę od pierwszych pensji. Oczywiście pod warunkiem, że pani Carnegie przyjmie cię do siebie, co wcale nie jest pewne.

– Tak, pani Seeley – powiedziałam i znów dygnęłam. Zrobiłabym wiele, byle nie zmieniała zdania.

– Toaletę znajdziesz po prawej stronie, gdy wejdiesz po schodach. Kiedy się umyjesz i przebierzesz, zanieś swoją wstrętną suknię na dół i spal w kominku. –

Uniosła pogrzebacz i wskazała na płomienie. – Na nic więcej się już nie zda.

Rozdział 5

11 listopada 1863 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Kiedy powóz wyjechał z miasta, ponury dzień ustąpił miejsca słońcu. Gdy minęliśmy z panią Seeley rosnące ku niebu wysokie biurowce i fabryki wypływające czarne chmury w powietrze, a czarną wodę do rzeki, zobaczyłam, że pogoda wcale nie jest okropna, ale piękna i jasna. To miejska trucizna przykryła słońce.

Im dalej jechałyśmy, tym bardziej arkadyjska i zielona stawała się sceneria. Nie spodziewałam się farm, domów i falistych wzgórz, podobnych do tych, które znałam z domu. Powóz trząśł się teraz na niewybrukowanych ulicach, ja jednak trzymałam się na swoim miejscu w możliwie eleganckiej pozycji, zdeterminowana, by żaden grymas nie pojawił się już na kamiennej twarzy pani Seeley.

Powóz zatrzymał się naprzeciw enklawy miniaturowych zamków. A właściwie nie miniaturowych, lecz po prostu ludzkich. Zamków, które zaprojektowano nie po to, by odeprzeć średniowieczne oblężenia, ale po to, by mogli wieść w nich życie ludzie uprzywilejowani.

Kiedy wysiadłyśmy z powozu w miejscu nazywanym przez panią Seeley Homewood, zdałam sobie sprawę, że gorsety, do których przyzwyczaiałam się w domu, były na tyle luźne, że mogłyśmy w nich pracować w domu i w gospodarstwie. Te, których wymagano ode mnie teraz, były bardzo wąskie, tak że

kołysałam się, idąc. Pomyślałam, że specyficzne krygowanie się, charakterystyczne dla sposobu poruszania się większości kobiet z wyższych sfer, jest raczej koniecznością niż fortelem.

Podążyłam za panią Seeley w stronę rezydencji o dwuspadowym dachu, zdobionym tyłoma wieżyczkami, że straciłam rachubę przy szóstej. Gdy zbliżyłyśmy się do zdobionych dębowych drzwi z napisem „Fairfield” wyrytym na mosiężnej tabliczce, ruszyłam ku schodkom. Nim postawiłam stopę na pierwszym, pani Seeley chwyciła mnie za ramię.

– Co ty wyczyniasz? Jesteś służącą, nie gościem.

Obeszliśmy więc dom, mijając sznur z wywieszonym praniem, ukryty między głównym domem a powozownią, i znalazłyśmy proste, sosnowe drzwi, do których zapukała pani Seeley. Otworzyła je młoda – młodsza ode mnie – dziewczyna, która wycierała dłonie o poplamiony fartuch.

– Tak? – spytała obojętnym tonem.

– Jesteśmy umówione z panią Carnegie.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, ale jej obojętność wyparło zmieszanie. Domyśliłam się, że niewielu gości pani Carnegie puka do drzwi służby.

– Czy mogłabyś poinformować kamerdynera, że przyszła pani Seeley? – Słowa pani Seeley brzmiały raczej jak rozkaz niż prośba.

– Pani Seeley? – Dziewczyna otworzyła szeroko oczy. Najwyraźniej nawet służący tak niskiej rangi wiedzieli, kim ona była.

– Tak – odparła pani Seeley z lekką irytacją. – Jak masz na imię?

– Hilda, psze pani.

– Hildo, idź po kamerdynera.

Dziewczyna pokiwała głową i wycofała się, by umożliwić nam wejście. Stałyśmy na kremowych płytkach w kształcie rombów, które pokrywały podłogę w tylnym korytarzu, przylegającym bezpośrednio do komórki kuchennej. Sądząc po jej stanie, przerwałyśmy Hildzie obieranie góry ziemniaków. Gdyby nie

wspaniałość reszty rezydencji, poczułabym się tu jak w domu. Mogłabym być tą dziewczyną.

– Proszę poczekać w kuchni. Pójdę po kamerdynera. – Hilda gestem wskazała nam krótki korytarz.

Podążając w tym kierunku, skręciłyśmy z panią Seeley w lewo i weszłyśmy do dużej, wyłożonej białymi kaflami kuchni. Tam, obok czarnego żeliwnego pieca, tak wielkiego, że mama zmieściłaby w nim całą krowę, stał równie wielki mężczyzna, który mieszał coś w ogromnym miedzianym rondlu, trzymając w ręce metalową pokrywkę. Zapach, który się z niego unosił, był zniewalający – podejrzewałam, że to wytrawna mieszanka duszonego mięsa, cebuli i ziół – i przypomniał mi, że od bardzo dawna nie jadłam porządnego posiłku.

Słyszając kroki, mężczyzna uniósł głowę, a ja zobaczyłam najciemniejszą twarz i oczy, jakie widziałam w życiu. Był to pierwszy kolorowy, jakiego spotkałam. Oto, o kogo walczyli Amerykanie w wojnie domowej.

– Dobry wieczór, pani Seeley – powitał nas z uśmiechem. – Widzę, że pani wróciła.

– Dobry wieczór, panie Ford. Mam nadzieję, że tym razem mi się uda.

– Myśli pani, że udało się wreszcie znaleźć zwyciężczynię? – Jego głos był spokojny i niski. Niemal kojący.

– Tak myślę. Choć nie sądzę też, by wina za moje dotychczasowe porażki leżała po stronie dziewcząt. Nie chciałabym nikogo krytykować, ale wasza pani ma wysokie wymagania.

– Znam je aż zbyt dobrze – zachichotał. – Proszę powiedzieć mi coś o tej dziewczynie.

Zaczęli mówić o mnie, jakby mnie tam nie było. A właściwie nie o mnie, lecz o tej drugiej Clarze Kelley. Podśluchiwałam, chcąc poznać jej historię. Urodziła się w Dublinie, ale pochodziła z angielskiej rodziny zubożałych kupców. Jak na dziewczynę dobrze wykształcona, orientowała się zwłaszcza w sprawach domowych, wychowywana była do życia żony zamożnego handlarza, ale los jej

rodziny się odwrócił. Pozbawiona posagu, zaczęła pracować jako pokojowa, a gdy po klęsce głodu w Irlandii zabrakło pracy, wyruszyła do Ameryki w poszukiwaniu nowych możliwości.

To tą Clarą Kelley powinnam być. Usłyszawszy to, poczułam się nikczemnie, jako że do tej pory tylko ja jedna wiedziałam, że prawdziwa Clara nigdy nie dotarła na tę stronę Atlantyku.

Gdy ich rozmowa przeszła na plotki o znajomych, których jeszcze nie znałam, rozejrzałam się po kuchni: na ścianach ponad białymi kaflami znajdowały się panele koloru masła. Nowoczesne sprzęty kuchenne wisiały na ścianach i leżały na stołach. Na stołku rzeźnickim pośrodku pomieszczenia było ustrojstwo, które wyglądało jak ubijaczka przyczepiona do jakiegoś wiechcia, a obok niego rozbudowana waga i kilka sitek. Z kolei na ścianie zobaczyłam urządzenie z trzydziestoma przyciskami, na których widniały napisy, takie jak „bawialnia” i „niebieska sypialnia gościnną”.

Nagle urządzenie zabrzęczało piskliwie i ponad słowem „bawialnia” zapaliło się światło. Aż podskoczyłam i zanim zdążyłam się zastanowić, zawołałam:

– Co to jest, na Boga?!

Pani Seeley spojrzała na mnie.

– To tylko system dzwonek. Na pewno macie takie w Irlandii.

Serce zaczęło mi walić jak oszalałe, ale się opanowałam, mając nadzieję, że nie zdradziłam się ze swoim akcentem.

– Przepraszam panią. Nie widziałam takiego urządzenia w żadnym z domów, w których pracowałam.

– Nie dziwi mnie to, panienko – powiedział pan Ford. – Pan domu, starszy syn pani Carnegie, dba, byśmy byli wyposażeni w najnowsze wynalazki, co zresztą widać, gdy się spojrzy na wszystkie te urządzenia. Nie w każdym domu znajduje się podobny system.

Próbowałam przypomnieć sobie, jakiego systemu używano w Castle Martyn.

– Większość domów, które znam, jest wyposażona w bardziej tradycyjne dzwonki.

Pani Seeley wciąż mrużyła oczy, ale wyglądało na to, że gotowa jest przyjąć moje wyjaśnienie. Przynajmniej na razie.

– Panie Ford, byłyśmy umówione z panią Carnegie na czternastą. Jest już dziesięć minut po, a nie chciałabym, by pomyślała, że się spóźniłyśmy. Wie pan, jak ceni punktualność. Czy możemy poczekać w przednim holu, by wiedziała, że jesteśmy? Nawet jeśli nie jest jeszcze gotowa, by nas przyjąć.

– Przygotowałem herbatę i ciastka dla pani Carnegie i jej gości i kazałem zanieść je na miejsce godzinę temu, podejrzewam więc, że pora odwiedzin już się skończyła. Myślę, że możecie poczekać w holu, jednak należy zapytać o to pana Holyroda. Moja władza nie wykracza poza kuchnię.

Do kuchni wszedł mężczyzna o starannie przystrzyżonej brodzie i włosach oprószonych siwizną. Miał na sobie czarny garnitur. Jego spodnie były wyprasowane w kant i wyglądał tak elegancko, że pomyślałam, iż to pan domu. Dygnęłam, ale on podszedł do pani Seeley, jakby mnie nie zauważył.

– Ach, już pani przyszła. Pani Carnegie wciąż jest w bawialni. Goście już wyszli, ale teraz rozmawia ze swoim starszym synem. Możecie poczekać z kandydatką w głównym holu.

Z jego słów wywnioskowałam, że nie jest to pan domu, lecz kamerdyner, pan Holyrod.

Nie czekając na naszą odpowiedź, obrócił się i wyprowadził nas z kuchni przez tylny korytarz z małą umywalką i ścianą pełną haków do wielkiego holu. Kiedy dekoracje stawały się bogatsze, prosta, jasna sosna w sztukaterii zmieniała się w rzeźbiony mahoń, a przezroczyste szyby w oknach przybierały barwy kobaltu, persymony i cytryny – powietrze stawało się chłodniejsze. Jakby całe ciepło tego domu zostało w kuchni.

Staliśmy pod lśniącym kryształowym żyrandolem, zwisającym z wysokiego sufitu pomalowanego w fantazyjne złote wzory. Portrety dam i dżentelmenów

w złożonych ramach wisały na ścianach pokrytych czerwonym adamaszkiem. Obrazu dopełniały karminowe tureckie dywany i marmurowy kominek, dzięki którym goście Carnegiech mogli czekać na gospodarzy w optymalnych warunkach. Nigdy nie widziałam nic, co choćby przypominałoby ten kokon luksusu, w którym wszystko było tak nowe, że niemal czułam zapach świeżej farby na ścianach.

Głosy dobiegały z pokoju tak czerwonego, że nawet z punktu, w którym stałam, wydawał się płonąć ogniem. Pani Seeley usłyszała hałas i podeszła bliżej. Ciszę w holu wypełnił głośny śmiech.

– Ach, matko – powiedział mężczyzna. W jego głosie była melodia, której nie potrafiłam zidentyfikować. – Nikt nie potrafi rozbawić mnie tak jak ty. Twoje bezceremonialne oceny moich partnerów biznesowych nie przestają mnie zaskakiwać.

– Andra, ktoś musi trzeźwo oceniać mężczyzn, z którymi robisz interesy. Przypominam ci, że występujesz w imieniu trzech Carnegiech. Tom Miller, bracia Kloman, młody Harry Phipps i ten projekt stalowniczy, który zamierzacie razem stworzyć, wymagają porządnej weryfikacji. – Zegar wskazał kwadrans po drugiej. – Och, spójrz tylko, która godzina. Ta nachalna Seeley zaraz tu będzie ze swoją kolejną ruchomością... to znaczy z kolejną służącą. Mam nadzieję, że nie będzie nas znów próbowała przekonać, że kawał węgla jest diamentem.

Mężczyzna znów roześmiał się dobrodusznie.

– Matko, bądź łaskawa. To nie wina pani Seeley, że nikt nie spełnia twoich standardów.

– Andra, ty za to wszystkie kaczkę masz za łabędzie – odparła wesoło ona.

Zadzwonił dzwonek i pan Holyrod zaprosił nas do bawialni. Kiedy wkraczałyśmy w rubinowe bogactwo, zobaczyłam cień opuszczającego je mężczyzny.

Rozdział 6

11 listopada 1863 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Karmazynowe ściany bawialni pełne były obrazów – kolejnych scen ukazujących falujące wzgórza oraz stada owiec i pasących się krów – które przypominały mi dom. Sztuka przykrywała niemal każdy centymetr aksamitnej wiśniowej tapety. Tak jakby gospodarze bali się pustej przestrzeni. Co mogło się dostać do środka przez szczelinę w wystawnej skorupie? Tata zawsze powtarzał, że grube mury zamku Martynów zostały zaprojektowane po to, by odpychać nie tylko intruzów, ale i biedę.

– A więc to pani najnowsza kandydatka, pani Seeley? – zapytała niewysoka, przysadzista kobieta o nosie podobnym do mopsa z głębin fotela obitego czerwonym adamaszkiem. Ledwie ją dostrzegłam pośród przytłaczających warstw rubinu, który pokrywał bawialnię. Sądząc po śmiechu, który słyszałam, kiedy czekaliśmy w korytarzu, zakładałam, że będzie choć trochę wesoła, jednak jej ciemne oczy były podejrzliwe i chłodne.

W odróżnieniu od syna mówiła z wyraźnym akcentem, który dawało się rozpoznać jako szkocki.

A więc to tej kobiecie miałam służyć?

– Tak, pani Carnegie. – Głos pani Seeley zabrzmiał nagle potulnie. Być może prezentowała się w łagodniejszej wersji, by skontrolować uwagę pani Carnegie,

jakoby była apodyktyczna. Albo może po prostu pani Carnegie ją zawstydziała.

– Wygląda jak należy, ale czy potrafi odegrać swoją rolę? – spytała pani Carnegie, przekrzywiając głowę i popijając herbatę.

– Jej referencje wskazują, że będzie pracować znakomicie.

– Służyła zatem w najlepszych domach?

– Tak, pani Carnegie.

Kobieta zmrużyła oczy i spojrzała na mnie oceniająco.

– Skoro jest przyzwyczajona do najwytworniejszych irlandzkich domów, czemu gapiła się na moją bawialnię?

Pani Seeley odzyskała nieco naturalnej pewności siebie i odparła:

– Być może jest piękniejsza nawet od tamtych.

Pani Carnegie lekko się uśmiechnęła. Widać było, że pochlebstwo działa na drażliwą matronę. Zanotowałam tę informację, po czym dygnęłam, jakbym była córką Martynów składającą hołd królowi Anglii.

Gestem kazała mi wstać, ale widziałam, że spodobał jej się mój ukłon.

– Nie ma potrzeby, dziewczyno. Jesteśmy zwyczajnymi ludźmi.

– Tak, pani Carnegie – powiedziałam, wciąż jednak nie ważyłam się spojrzeć jej w oczy.

– Jest dość dobrze wychowana. – Pani Carnegie zwróciła się do pani Seeley. – Ale czy potrafi pracować?

– Z tego, co mi wiadomo, jak najbardziej. Nie przyprowadziłabym jej, gdyby nie była znakomita.

– Ostatnia dziewczyna, którą mi pani przysłała, nie spełniała niczyjej definicji znakomitości, pani Seeley. A nawet przeciętności. Przyłapałam ją na drzemce w środku dnia, kiedy powinna pomagać mi w ubraniu się na obiad. Nazwałabym ją raczej niechlujną.

Przypomniałam sobie „czarną listę” na ścianie pani Seeley i dostrzegłam na jej twarzy przestרח. Nie powiedziała nic na obronę kandydatki. Ani siebie.

– Czy rozumie nasze procedury? – Zmieniła temat pani Carnegie.

– Dopiero przyjechała, proszę pani. Ale powiedziano mi, że szybko się uczy.

– Nie wyjaśniła jej pani jeszcze, jakie zwyczaje panują w tym domu? – spytała pani Carnegie z niedowierzaniem.

– Nie było na to czasu, pani Carnegie. Ledwie kilka godzin temu przyjechała z Filadelfii. Jeśli pani sobie życzy, mogę się tym zająć teraz, została mi jednak opisana jako osoba kompetentna i łatwo przystosowująca się do różnych warunków.

– Jeśli jest rzeczywiście tak doświadczona i kompetentna, jak pani mówi i jak głoszą jej referencje, nie powinno być problemu. Plan dnia w naszym domu jest w końcu podobny do tego przyjętego w wytwornych rezydencjach europejskich.

– Oczywiście, pani Carnegie.

– Nie przeszkadza mi, że jest Irlandką, ale chcę być pewna, że nie jest katoliczką. Ci irlandzcy katolicy, którzy zalewają amerykańskie wybrzeże, uciekając przed głodem, nie przypominają pracowitych protestantów, którzy wyemigrowali tu wcześniej. Ten nowy, katolicki lud jest szorstki i niewykształcony: jeśli im pozwolimy, zniszczą kruchą demokrację tego kraju, zwłaszcza w tych trudnych czasach wojny, tak jak to się stało u nas, w Szkocji, kiedy ukradli Szkotom pracę w fabrykach. Katoliczka z Irlandii mogłaby zostać zatrudniona jako pomywaczka, ale nie moja osobista służąca.

Pani Seeley zwlekała z odpowiedzią, dając mi czas na zastanowienie. Czyżby panny Coyne i Quinn mówiły prawdę? Czyżby państwo Carnegie sami niedawno wyemigrowali, a pani Carnegie dobrze znała hierarchię wśród imigrantów? Jej akcent to właśnie sugerował, podobnie jak wahanie pani Seeley.

– Oczywiście, że nie jest katoliczką. Pochodzi z dobrego, angloirlandzkiego, protestanckiego domu, od którego dobry los się odwrócił. To dlatego panna Kelley zajęła się służbą.

Pani Carnegie przez dłuższą chwilę patrzyła na mnie bez słowa. Poczułam się straszliwie nielojalna wobec mojej rodziny. Byli to oddani katolicy, tak żarliwi w swojej wierze, że tuż przed moim wyjazdem tata wymusił na mnie

zobowiązanie: „Obiecaj mi, że w tym bezbożnym kraju nie zapomnisz o jedynej słusznej wierze katolickiej”. Nieprzyznanie się do mojej wiary w chwili, gdy słyszałam o katolicyzmie tak pogardliwe opinie, było niczym zdrada, nie mogłam jednak przestać myśleć o korzyściach, jakie mogła przynieść rodzinie moja praca w tym domu.

Wreszcie się odezwała:

– Wezmę ją na okres próbny: trzydzieści dni. Żadna z was nie otrzyma zapłaty, jeśli nie będę usatysfakcjonowana.

– Rozumiem, pani Carnegie.

– A więc wszystko jasne. – Wyciągnęła naprzód stopę i nacisnęła guzik wystający z podłogi. – Wezwałam Holyroda. Jej bagaże zostaną zaniezione do pokoju na trzecim piętrze, a kiedy tylko się rozpakuje, przejdziemy do rzeczy.

– Ach, torby. To kolejna sprawa. Straciła rzeczy podczas sztormu.

– Nic ze sobą nie ma?

– Nic prócz sukni na grzbiecie. – Pani Seeley nie wspomniała o nędznej sukieneczynie, w której przyjechałam, ani o tym, że nawet ta, którą mam na sobie, nie należy do mnie. Ta informacja nie świadczyłaby o mnie najlepiej.

– Był taki czas, kiedy jedna suknia wystarczała – wymamrotała pani Carnegie.

– Postaramy się, żeby miała suknię na zmianę i koszulę na noc. Oczywiście odliczymy koszt od jej pensji.

– To zrozumiałe, pani Carnegie – odparła pośpiesznie pani Seeley.

Pani Carnegie uniosła się chwiejnie. Instynktownie podbiegłam, żeby jej pomóc – siła jej głosu i opinii nie zdradzały żadnej słabości – ale odsunęła moją dłoń. A potem spojrzała mi prosto w oczy.

Z bliska w jej spojrzeniu zobaczyłam coś znajomego. Inteligencję. Determinację. Może nawet odwagę. Coś, czego nie spodziewałam się zobaczyć w oczach damy, ale widziałam wiele razy w oczach swojego ojca. To ta cecha pozwoliła mu zbudować znacznie większą farmę od farm naszych sąsiadów. I to

właśnie te różnorodne uprawy, które pozwoliły naszej rodzinie przetrwać głód, były świadectwem jego męstwa. A teraz nasze przetrwanie było w moich rękach.

Podziwiałam tę odwagę. Ale to nie znaczyło, że się jej nie bałam. Ani że nie bałam się pani Carnegie.

Rozdział 7

11 listopada 1863 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Z panią Carnegie spotkałam się znowu dopiero po kolacji. Po czterdziestu dwóch dniach spędzonych na pokładzie Envoy na niespokojnym Atlantyku, to nudząc się, to martwiąc na przemian, i kolejnych ośmiu w trzęsącym się konnym powozie w podróży przez Allegheny moje nowe życie w roli innej Clary Kelley zaczęło się gwałtownie. Choć nie spodziewałam się dłuższej chwili wytchnienia ani szansy na zmycie z siebie miejskiego brudu, myślałam, że przynajmniej zostanę szybko przedstawiona służbie i oprowadzona po rezydencji Carnegiech, bym mogła poznać jej rozkład. Tymczasem pani Seeley pospiesznie opuściła mnie i panią Carnegie, która przekazała mnie w ręce pana Holyroda, a ten z kolei natychmiast odesłał mnie do pracy dla mojej nowej pani.

Pan Holyrod poinstruował mnie, że mam zabrać się za przygotowywanie pani Carnegie i jej sypialni na wieczór. Jedna Najświętsza Panienska wie, co to miało oznaczać. Dlaczego należało przygotować czyjąś sypialnię, skoro zamierzał po prostu w niej spać? Chociaż zawsze ciężko pracowałam na rodzinnej farmie, to moje zajęcia ograniczały się do oporządzania zwierząt, sprzątanía domu, siania i zbierania plonów, prania i przygotowywania posiłków – nie robiłam nic bardziej skomplikowanego. Nie miałam pojęcia, na czym polega praca osobistej służącej, znałam tylko wspomnienia mamy z czasów, kiedy była pomywaczką. Tak bardzo

skupiłam się na zdobyciu tej posady, że zapomniałam, że będę musiała naprawdę wykonywać pracę osobistej służącej.

Pani Carnegie spodziewała się jednak, że wszystko wiem. Postarałam się więc wyciągnąć jakieś informacje od pana Holyroda, gdy ten prowadził mnie do jej sypialni przez labirynt korytarzy i schodów. Przyjmując potulny, pełen szacunku ton, zapytałam:

– Chcę mieć pewność, że dobrze wypełnię swoje obowiązki. Czy mógłby pan opowiedzieć mi o jej wieczornych zwyczajach? Każda dama ma inne wymagania.

Pan Holyrod prychnął:

– Nie sądzę, by jej wymagania różniły się od tych, jakie mają europejskie damy. Będzie potrzebowała pomocy przy ubieraniu się, jej ubrania trzeba prać i cerować, a jej włosy – układać, należy pomóc jej w kąpieli i pielęgnacji, no i trzeba być przy niej podczas różnych wydarzeń towarzyskich.

Kiedy dotarliśmy na szczyt krętych mahoniowych schodów, zatrzymał się i obrócił w moją stronę.

– Proszę jednak nie sądzić, że będę pannę instruował, panno Kelley. Nie wiem, jak to wygląda w europejskich domach, ale w Ameryce ani gospodyni, ani kamerdyner nie kontrolują pracy osobistej służącej pani domu. To należy do kompetencji pani. Pod tym względem rola ta jest wyjątkowa i różni się od reszty służby.

Zastanawiałam się, dlaczego nie chce mi pomóc. Czy był aż tak zajęty własną pracą, że przeszkolenie nowej służącej – co, jak nie omieszkał mnie poinformować, nie należało do jego obowiązków – byłoby zbyt zajmujące? Podejrzewałabym, że szczęśliwa pani prowadzi szczęśliwy dom. Nie wypowiedziałam jednak żadnej z tych myśli na głos. Odparłam tylko:

– Oczywiście, panie Holyrod. Dziękuję za pomoc.

Otworzył drzwi na szczycie schodów i odsunął się, żeby wpuścić mnie do środka. Przeszłam przez przedpokój i weszłam do sypialni, niemal równie wytwornej jak bawialnia. Wyłożona jedwabną tapetą w kolorze ultramaryny,

ręcznie malowaną w alabastrowe róże, i zdobiona zasłonami oraz pościelą z materiału o tym samym, bogatym wzorze, sypialnia wyglądała trochę jak prywatny ogród z kwiatami zwisającymi z krawędzi treliaza. Szezlong o podobnym wzorze – podejrzewałam, że służy damie do popołudniowego odpoczynku, gdy wciąż jest ściśnięta gorsetem – stał u stóp szerokiego łóża z drewnianym wezglowiem i podnóżkiem z rzeźbionymi różami, a naprzeciwko marmurowej toaletki. Nad tym wszystkim górował kominek, nad nim zaś – mahoniowy gzyms z malowaną statuetką cherubina pośrodku.

Oniemiałam na widok bogactwa we wnętrzu sypialni i przez dłuższą chwilę rozglądałam się po pokoju, wyobrażając sobie, jakim luksusem byłoby spać w tym miejscu z jedwabiu. Kiedy uspokoiłam się i odwróciłam w stronę pana Holyroda, już go nie było. Najwyraźniej wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi, jak wymagano od ludzi na jego miejscu. Pozostawiona sama sobie, poczułam się zagubiona, jakbym nie umiała funkcjonować, nie mając przed kim grać swojej roli.

Co robić? Postanowiłam zapoznać się z sypialnią, żeby wydać się pani Carnegie przynajmniej zaznajomioną z jej rzeczami. Otwierałam szuflady, kufry i szafy, by sprawdzić, gdzie leży jej bielizna i ubrania. Zamiast jednak cieszyć się pięknymi materiałami i delikatnymi koronkami, przeszukiwałam zawartość jej garderoby, chcąc poznać wszelkie pędzle, kremy i perfumy, których używała, oraz zapamiętać ułożenie czterech szczotek z kości słoniowej, grzebienia i lusterka z tego samego materiału, małego skórzanego futerału i czterech słoiczków z pokrywkami z kości słoniowej, zawierających pachnące kwiatami olejki, które leżały w określonym porządku na marmurowym blacie. Studiowałam ciemne kreacje w jej szafie, starając się zrozumieć sposób, w jaki różne falbany i turniury łączyły się z sukniami. Zachwyciłam się jej łazienką: cudownym pojawianiem się wody w porcelanowej umywalce, marmurową wanną na nóżkach i ubikacją ze spluczką.

Nic jednak nie zachwyciło mnie – ani nie zadziwiło – bardziej niż gabinet pani Carnegie. Na jego środku stał pokryty papierami sekretarzyk. Przeglądając pliki kartek, spodziewałam się zaproszeń na przyjęcia, kart dań dla gospodyni i kucharza

czy listów od znajomych. Tymczasem różowy kamienny blat był niemal zupełnie przykryty kartkami z rzędami cyfr przy nazwiskach Piper i Schiffer i umowami z jakąś stalownią. Co pani domu mogła robić z takimi dokumentami? Czyżby konsultowała takie przedsięwzięcia? Czy kobiety z wyższych sfer często angażowały się w interesy? Znane mi zamężne i owdowiałe Irlandki oczywiście pracowały, ale tylko w domu, chyba że ich sytuacja była na tyle rozpaczliwa, że musiały pracować w fabryce.

Mały zegar na gzymsie kominka wybił godzinę. Zdałam sobie sprawę, że kolacja zaraz się skończy. Przypomniałam sobie stertę rzeczy do zacerowania, którą widziałam w szafie. Usiadłam na krześle stojącym przy ścianie i zabrałam się do pracy. Pomyślałam, że kiedy przyjdzie pani Carnegie, powinnam przynajmniej wyglądać jak jej osobista służąca.

Zaczęłam cerować parę czarnych, gładkich, jedwabnych pończoch, starając się, by szwy były niewidoczne, tak jak uczyła mnie mama. Bezpieczna w sypialni pani Carnegie, w ciepłe kominka, rozpalonego niedawno dla jej przyjemności, zaczęłam zasypiać. W tej samej chwili, w której igła z nitką opadła – podobnie jak i moje powieki – usłyszałam w korytarzu kroki. Podniosłam szybko igłę i zabrałam się do szycia. Wtedy do pokoju weszła pani Carnegie.

Drzwi otworzyły się szeroko, a ja wstałam. Bez słowa, nawet na mnie nie zerkając, weszła do sypialni. Usiadła na obitym tapicerką stołeczku przy toalecie i zaczęła wyjmować spinki z włosów, nie spoglądając ani w lustro, ani w moją stronę. Tak jakby nie uważała, że jestem jej do czegoś potrzebna. Albo może to był dla mnie test.

Podeszłam do niej. Chociaż o obowiązkach służącej nie wiedziałam prawie nic, podejrzewałam, że niegrzecznie było nie pomóc swojej pani w przygotowaniach do snu.

– Proszę pozwolić mi pani pomóc.

Zmrużyła swoje małe oczy i spojrzała na moje odbicie w lustrze. Wyraz jej twarzy był nieodgadniony, ale opuściła dłonie i pozwoliła mi się dotknąć. Kiedy

wyjmowałam resztę wsuwek z jej włosów i rozczesywałam staromodną fryzurę – włosy spięte w wysoki kok z gładkimi pętelkami nad każdym uchem – jej ciało zeszytniało. Widziałam, że ten rytuał, prawdopodobnie całkiem naturalny dla większości dam, dla niej był nieprzyjemny. Dlaczego kobieta o jej statusie czuje się nieswojo, gdy pomaga jej służąca? Czyżby naprawdę była bogata od niedawna, jak sugerowały panny Quinn i Coyne?

Kiedy skończyłam czesać jej włosy, podniosła się, żebym mogła zająć się jej strojem. Chociaż można chyba było uznać jej gładką, czarną suknię, zdobioną tylko pionowymi fałdami po bokach, za zwyczajną i ponurą, była wymyślniejsza niż cokolwiek, co nosiłyśmy w domu. Przyjrzałam się jej naprędce, szukając najłatwiejszego sposobu, by ją zdjąć. Gdy zlokalizowałam rząd haczyków ukrytych pod dekoracyjnym szwem z tyłu, zaczęłam je rozpinać. Moje palce, które drżały już wcześniej, gmerały teraz przy malutkich haczykach, a ja bałam się, że nigdy nie dotrę do znajdujących się pod spodem warstw materiału. Spodziewałam się ostrych docinków ze strony pani Carnegie, ale obserwując w lustrze moje ruchy, wciąż milczała. Przeklęty zegar tykał, informując, że mijają kolejne długie minuty, a ja powoli rozpinałam krynolinę z końskiego włosia, która nadawała sukni imponujący kształt, stanik i podkoszulkę przykrywającą krynolinę, spódnice, gorsety i jedwabne pończochy.

Wreszcie dotarłam do halki. Moja pani stanęła przede mną w gładkiej, białej bawełnianej halce, z obnażonymi ramionami i łydkami, z siwymi włosami opadającymi na ramiona jak u panny. Wydała mi się drobna i krucha. Nie czułam się już onieśmielona, ale po prostu zawstydzona. Opuściłam wzrok.

Pani Carnegie najwyraźniej wyczuła moje zakłopotanie, bo próbując umocnić swoją władzę nade mną, zapytała:

– Nie zapomniałaś o czymś?

Nie miałam pojęcia, co ma na myśli. Zastanawiałam się nad różnymi możliwymi zabiegami, jakich mogła wymagać dama przed pójściem do łóżka, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– Proszę mi wybaczyć. Jestem otwarta na naukę, proszę pani.

– Nie zajęłaś się moimi dłońmi, dziewczyno – powiedziała, wskazując leżące na toaletce przyrządy, służące najwyraźniej do pielęgnacji paznokci.

Na mojej twarzy zapewne malowało się oszołomienie, bo zaraz wskazała mi kryształową miskę i kilka leżących obok niej srebrnych instrumentów, i zawołała:

– Nalej wody i zabieraj się do przycinania i polerowania.

– Oczywiście, proszę pani. Nigdy więcej o tym nie zapomnę – odpowiedziałam z dygnięciem, po czym pobiegłam do łazienki, żeby wypełnić wodą kryształową miseczkę.

Mama często opowiadała nam o wymaganiach dam z zamku Martynów, ale patrząc na płynącą wodę, nie przypominałam sobie ani jednej historii o pielęgnacji paznokci. Ziemniaki, nie toaleta, były jej domeną. Co ja, na Boga, miałam teraz zrobić?

Kiedy wróciłam do sypialni, pani Carnegie siedziała przy toaletce na fotelu w kolorze ultramaryny. Postawiłam kryształową miseczkę na blacie, uklękłam przed nią i spytałam:

– Czy mogłabym spytać, w jakiej kolejności powinnam procedować, proszę pani?

Przez chwilę przyglądała mi się w milczeniu.

– A jaką kolejność preferowały twoje poprzednie pracodawczynie? – Z wyrazu jej twarzy nie potrafiłam odczytać, czy to test, czy jest autentycznie ciekawa.

Zerkając na zestaw przyrządów – dwie maleńkie pary nożyczek, skórzany pilniczek i kilka słoiczków olejków – postanowiłam improwizować.

– Zazwyczaj moje panie zaczynały od moczenia dłoni, po czym obcinałam im paznokcie. Następnie polerowałam je, a na końcu smarowałam dłonie kremem lub olejkiem. Wiem jednak, że są różne zwyczaje. Podążę za pani instrukcjami.

– Twoja dotychczasowa procedura wystarczy. Pod warunkiem, że będziesz polerować paznokcie przez pełnych pięć minut – powiedziała, wyciągając ku mnie palce.

Kiedy wysuszyłam dłonie pani Carnegie i zaczęłam wycinać jej skórki, zauważyłam, że jej dłonie były poplamione i spierzchnięte, a stawy – spuchnięte jak u znacznie starszej kobiety. Przypominały dłonie mojej mamy. Nie były to ręce delikatnej damy, ale kobiety, która przez wiele lat ciężko pracowała.

Gdy wcierałam w jej skórę różany krem, nasze oczy spotkały się na chwilę. Poczułam chłodny podmuch wiatru. Zauważyłam, że okna są uchylone. Przerwywając ciszę, wydukałam:

– Czy życzy sobie pani, żebym rozpałała rano ogień? W pokoju może być zimno.

Poparzyła na mnie, jakbym spytała, czy wolno mi zamordować ją we śnie.

– Dziewczyno, mam nadzieję, że nie uważasz, że w tym domu rozpustnie pławimy się w luksusach.

– Oczywiście, że nie. – Znieruchomiałam.

– Mam taką nadzieję. Ostatnia dziewczyna pani Seeley sądziła, że moi synowie sami drukują dolary. Zapewniam cię, że nasz sukces to wynik gospodarności i ciężkiej pracy.

– Oczywiście, proszę pani.

– A nawet gdybyśmy byli rozrzutni, słuchalibyśmy lekarza, który zaleca spanie przy otwartych oknach, tak by powietrze krążyło w sypialni, co sprzyja zdrowemu klimatowi w mieszkaniu. – Drobną kobietą wstała i się wyprostowała. – Rozumiem, że taka praktyka obowiązywała w domach, w których dotąd pracowałaś?

W jej głosie dało się słyszeć oskarżycielski ton, więc zamilkłam, niepewna, jaka odpowiedź byłaby właściwa. Czy panowie i panie na angloirlandzkich włościach, gdzie pracowała prawdziwa Clara Kelley, spali przy otwartych oknach? Biorąc pod uwagę irlandzką wilgoć i chłód, wydawało się to mało prawdopodobne. Może jednak otwarte okna to słabostka całej klasy wyższej?

Kiedy się tak wahałam, przez jej twarz przemknął strach: przyglądała mi się, jakby spodziewając się oceny. Speszylam się. Wyglądało na to, że przejmuje się

tym, co myślę, niemal tak samo, jak ja przejmowałam się jej zdaniem.

Coś wtedy zrozumiałam. Ten świat był nowy także dla mojej pani. A jedyne, co mnie ratowało w pierwszych godzinach służby, to jej własna niewiedza.

Rozdział 8

18 listopada 1863 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Cieszyłam się z niewiedzy mojej pracodawczyni. Dzięki temu miałam trochę czasu, by zorientować się w zwyczajach domu i wejść w swoją rolę. Wiedziałam jednak, że jeśli mam w niej wytrwać i przekonać inne damy z towarzystwa, z którymi pani Carnegie miała się spotkać na herbatce i wiście już ósmego popołudnia mojej służby, musiałam mieć w ręku wszystkie możliwe atuty. Musiałam być nie tylko niezbędna mojej pani, ale też stać się jej tarczą w tych momentach, w których czuła się niepewnie, a jej zachowanie nie było do końca zgodne z regułami życia towarzyskiego.

Od piątej rano, kiedy obudziło mnie stukanie w okno – państwo Carnegie zatrudniali chłopaka uzbrojonego w długą laskę i latarnię, by budził służbę – zapamiętywałam preferencje mojej pani w kwestiach, nad którymi miała kontrolę. Dokładnie przestudiowałam jej fryzurę, sposób, w jaki lubiła nosić turniurę, to, czy wolała zapach lawendy czy róży, preferowaną temperaturę wody, w której się rano kąpała, rodzaj szczotki, której używała do czyszczenia sukienek, i nici, którymi życzyła sobie, żeby zszywać jej pończochy i bieliznę, a zwłaszcza odległość, którą miałam zachowywać, idąc za nią. Nie lubiła, bym znajdowała się zbyt blisko niej w miejscach publicznych. Uważnie przyglądałam się wyrazowi jej twarzy, próbując zrozumieć, które moje zachowania jej się podobały, a które – wręcz przeciwnie.

Moje próby bycia niezbędną nie wynikały jednak wyłącznie z chęci przypodobania się. Kiedy pani Carnegie zdawała się niepewna jakiegoś zwyczaju zależnego od społecznego kaprysu, kiedy szukała na mojej twarzy aprobaty dla takich działań, jak właściwe podanie herbaty albo ułożenie czepka na głowie, przerywałam służebne milczenie, które lubiła najbardziej, i spokojnie wypełniałam luki w jej towarzyskim obyciu, kierując się zwyczajami moich fikcyjnych angloirlandzkich dam. Wiedziałam, że konwencje europejskiej elity biją na głowę wszelkie zwyczaje wyższych klas prowincjonalnego Pittsburgha, a dzięki moim radom pani Carnegie poczuje się bezpieczniej.

Moje zadanie ułatwiło to, że spędziłyśmy siedem dni w relatywnej izolacji. Jej synowie – starszy, Andrew, i młodszy, Tom – którzy, jako kawalerowie, również mieszkali w domu rodzinnym, wyjechali. Z początku podejrzewałam, że są żołnierzami na wojnie secesyjnej, o której czytałam, i że jeden syn, którego widziałam pierwszego dnia, na krótko przyjechał z frontu w odwiedziny. Pan Ford, jedyny przedstawiciel służby, który był dla mnie miły, powiedział mi jednak, że panowie Carnegie zostali uznani za kluczowych pracowników kolei przez byłego przełożonego starszego z braci, pana Thomasa Scotta, który był teraz zastępcą sekretarza wojny. Dlatego też bracia zostali zwolnieni z walki, a powodem ich nieobecności stały się raczej wojenne interesy niż rozlew krwi na polach bitwy. Wydało mi się to osobliwe, gdyż podejrzewałam, że nie życzyli sobie zwolnienia, ale woleli walczyć o kraj, w którym odnieśli taki sukces, choć byli imigrantami.

Na dzień przed przyjęciem z herbatą i wistem zdałam sobie sprawę, że jedyne, czego nie mogłam zrobić, to udać, iż znam tę grę, choć być może powinnam, by asystować pani Carnegie podczas tego wydarzenia. Wist był rozrywką wyższych klas od ponad stu lat, obawiałam się więc, że mojej ignorancji nie można wyjaśniać odmiennością europejskiej wersji.

Kiedy odprowadziłam panią Carnegie do pokoju na popołudniowy odpoczynek przed kolacją, poprosiłam, by pozwoliła mi zająć się cerowaniem w pokoju gosposi – często pustym pomieszczeniu, gdzie jadłam śniadania i kolacje oraz piłam herbatę w odosobnieniu od reszty służby. Zasady wspomniane przez pana

Holyroda, wedle których osobista służąca pani domu nie podlegała kontroli ani kamerdynera, ani gospodyni – pani Stewart, zgryźliwej kobiety o niskim wzroście i porywczym charakterze – dyktowały moją separację od reszty służby, co było dla nich kolejnym powodem, by trzymać mnie na dystans.

Zamiast, jak zapowiedziałam pani Carnegie, udać się do pokoju gosposi, gdzie mogłam zajmować się cerowaniem, kiedy nie chciałam pracować w swojej sypialni, zwróciłam się w stronę długiego korytarza. Na palcach minęłam salon odkurzany przez pokojówki i ruszyłam do biblioteki. Poprzedniego dnia, gdy towarzyszyłam tam pani Carnegie w trakcie wybierania książki do czytania na czas odpoczynku, dostrzegłam egzemplarz *Podręcznika prowadzenia domu pani Beeton*. Może znajdowało się w nim wyjaśnienie reguł gry w wista?

Lśniące mahoniowe regały rozciągały się od podłogi do sufitu, więc trzeba było korzystać z drabiny, by dostać się do niektórych tomów. Jedynym obcym elementem na tej książkowej ścianie był marmurowy kominek, przed którym stały dwa skórzane fotele, z podpórkami na książkę ułatwiającymi czytanie, i fryz ze złoto-zielonej garbowanej skóry, który unosił się ponad regałami. Palce świeżbiły mnie, żeby dotknąć grzbietów i otworzyć książki z działu historii, takie jak *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego* Edwarda Gibbona albo *Dzieje Herodota*. W domu zatracalam się w historycznych lekturach – a właściwie tyradach – taty, ale też w innych jego ulubionych książkach. Teraz jednak powstrzymałam się: przyszłam tu w konkretnym celu.

Zdjęłam książkę pani Beeton z pełnej półki i wycofałam się do najciemniejszego kąta biblioteki, w nadziei, że w cieniu pozostanę niewidzialna. Otworzyłam książkę na spisie treści i choć nie było tam wzmianki o wiście ani żadnej innej grze, niektóre kategorie opisywały rozrywki towarzyskie. Niestety, nawet rozdziały zatytułowane *Poranne wizyty*, *Popołudniowe wizyty*, *Pół godziny przed wieczornym przyjęciem* czy *Wieczorne przyjęcie* – które mogły mi się przydać w przyszłości – nie były pomocne w kwestii popołudniowej herbatki i gry w wista.

Przeglądając podręcznik, natrafiłam jednak na opis roli osobistej służącej:

SŁUŻĄCA PANI DOMU: CODZIENNE OBOWIĄZKI

Nim twoja pani się obudzi, musisz odnieść jej ubrania z poprzedniego wieczora do szafy i przygotować strój poranny.

Nie później niż o ósmej rano musisz obudzić panią, przynosząc jej herbatę i cienkie kromki chleba z masłem, gazetę i wszelką korespondencję. Zależnie od jej woli powinnaś zrobić jej kąpiel oraz pomóc się ubrać i uczesać.

Wpół do dziesiątej, kiedy pani je śniadanie, musisz posprzątać w sypialni i przygotować jej wyjściowy strój, na wypadek gdyby po rodzinnym śniadaniu wybierała się na spacer.

Po rodzinnym śniadaniu, jeśli pani zamierza opuścić dom, musisz pomóc jej przebrać się w wyjściowy strój. Musisz towarzyszyć jej podczas spaceru.

Po obiedzie, zakładając, że pani nie wymaga twojej pomocy w jakiejś konkretnej sprawie, musisz zająć się cerowaniem i naprawą jej ubrań lub praniem jej osobistej bielizny. Pani będzie odpoczywała, aż nadejdzie pora popołudniowej herbaty.

Musisz pomóc pani przebrać się na popołudniową herbatę, która odbywa się o siedemnastej.

Kiedy pani pije herbatę, musisz uporządkować jej sypialnię raz jeszcze i przygotować jej strój na kolację.

Od wpół do siódmej zajmujesz się pomaganiem pani w przygotowaniach do kolacji.

Po dwudziestej musisz posprzątać w sypialni pani, upewniając się, że kwiaty są świeże, pościel wyprasowana, nocnik opróżniony, butelki pełne, a szczotki i grzebienie wyczyszczone.

Resztę wieczoru możesz spędzić w dowolny sposób, do czasu, kiedy pani zechce położyć się do łóżka, kiedy to będziesz musiała pomóc jej rozebrać się, zając się jej włosami i paznokciami.

– Ciekawa lektura? – W sypialni rozległ się męski głos.

Podskoczyłam i odwróciłam się: zobaczyłam mężczyznę opierającego się o futrynę, ze skrzyżowanymi nogami i uśmiechem na twarzy. Jego krzaczasta, ruda broda i kosmyk ciemniejszych włosów na czole sprawiały, że wyglądał niefrasobliwie. W wygodnej pozycji uśmiechał się szeroko, jakby od dawna mi się przyglądał. Jego wesołe oblicze o kwadratowym podbródku i wyraźnych kościach policzkowych wprawiało mnie w zakłopotanie.

– Bardzo pana przepraszam. – Dygnęłam, uważając, by nie pokazać mu książki. Prawdziwa osobista służąca nie potrzebowałaby rad pani Beeton, ponieważ znałaby wszelkie szczegóły związane z tym stanowiskiem. Sytuacja, w której przyłapał mnie ten mężczyzna, była kompromitująca, bo nie chodziło tylko o czytanie książek w rodzinnej bibliotece. Wybór lektury mógł okazać się moją zgubą.

– Proszę nie przepraszać. My tu, w domu Carnegieh, lubimy czytać. Nie ma się czego wstydzić – powiedział, nie przestając się uśmiechać.

Usłyszałam w jego głosie szkocki akcent, choć znacznie łagodniejszy niż u pani Carnegie. Czy to jeden z jej synów? Ten, który żartował z matką w sypialni? Był to jedyny raz, kiedy słyszałam jej śmiech.

Co powinnam odpowiedzieć? Wybrałam drogę bezpieczniejszą, choć trudniejszą.

– Nie sędzę, by moja pani ucieszyła się, że czytam w rodzinnej bibliotece, kiedy powinnam zajmować się cerowaniem. Muszę pana teraz przeprosić, by poinformować ją o tym nadużyciu i poddać się karze.

Podszedł do mnie, a gdy znalazł się blisko, zdałam sobie sprawę, że jest niewysoki, choć niewielki wzrost nie wpływał ujemnie na jego dominującą osobowość. Jego uśmiech złagodniał. Ze współczuciem uniosł brwi:

– Panienko, nie ma potrzeby, by brać na siebie winę. Nic nie powiem, jeśli pani tego nie zrobi.

Czy zaproponowana przez niego pomoc była jakąś pułapką? Testem zaaranżowanym przez panią Carnegie? Czy spodziewał się czegoś w zamian za swoje milczenie? Nawet w mojej małej wiosce w Galway słyszałam plotki o nieprzyzwoitych żądaniach panów wobec służących.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. W ciszy zapytał:

– Jest pani nową służącą mojej matki, prawda?

– Tak, proszę pana – wydusiłam z siebie, kiwając głową.

– Moja matka jest znana z wysokich wymagań, a z tego, co mi wiadomo, zdołała pani dokonać niemożliwego i je spełnić. Nie chciałbym tego zepsuć. – Znow uśmiechnął się szeroko. – Słyszałem trochę o pani pochodzeniu, podejrzewam więc, że tak wysoko urodzona panienka jest przyzwyczajona do regularnych wizyt w bibliotece. Zachowam pani sekret dla siebie... pod warunkiem że powie mi pani, co czyta.

Cofnąłam się o krok, chowając książkę pani Beeton jeszcze głębiej między fałdy swojej sukni. Jego głos brzmiał uprzejmie, ale czy jego propozycja była naprawdę niewinna? Tak czy inaczej, nie mogłam ryzykować. Pani Carnegie mogłaby wybaczyć mi, gdybym wyznała jej swój grzech, ale nie wtedy, gdyby dowiedziała się o nim od kogoś innego. Zwłaszcza od jednego z jej ukochanych synów.

– Nie wydaje mi się, by sekrety były słuszną drogą, proszę pana.

Jego uśmiech zbladł. Uniósł brwi, zaniepokojony.

– Sprawilem pani przykrość. Przepraszam. Naprawdę chciałem panią uspokoić. Czy mógłbym usprawiedliwić pani wizytę w bibliotece, czytając na głos kawałek wiersza mojego ulubionego poety Roberta Burnsa? Dzięki temu będzie pani tu spędzać czas na moją prośbę, a nie z własnej woli. I nie będziemy musieli mówić o tym matce.

Pokiwałam głową z ulgą, chociaż myśl o przebywaniu z nim w bibliotece i słuchaniu, jak czyta mi na głos poezję, wydała mi się przedziwna, a nawet niestosowna.

Podszedł do stołu, na którym leżały oprawione w brązową skórę tomy. Zerkając na ich grzbiety, wyciągnął jedną z książek. Nie spojrzął nawet na spis treści i otworzył ją na stronie z wierszem zatytułowanym *A właśnie tak!* Gdy czytał na głos, coraz mocniej akcentując każde słowo, wiersz wydał mi się znajomy. Ale skąd mogłabym go znać? Językiem mojego wychowania była raczej polityka niż poezja. Poezję czytywałam sama podczas wietrznych nocy w gospodarstwie nieopodal Tuam.

*Cóż, że jadamy, jak się da,
W szaraczku chodząc, niech to szlag!
Niech jedwab kiep, łotr wina ma,
Człowiek to człowiek, właśnie tak!
A niech to szlag, a właśnie tak!
Tam tylko blichtry, niech to szlag!
Człek prawy, choć mu blasku brak,
Jest królem ludzi, właśnie tak!*[5]

Słuchając tych wersów, zorientowałam się, skąd znam ten tekst. Lata temu tata i jego koledzy politycy śpiewali go na głos podczas swoich spotkań: był to głośny krzyk w imię egalitaryzmu – jednej z głównych koncepcji Fenian. Nawet teraz jeszcze ojciec od czasu do czasu nucił tę melodię. Przekonania taty i zagrożenia dla mojej rodziny ze strony Martynów z powodu ich reakcji na plotki o jego politycznej przeszłości – oto powód, dla którego znalazłam się w tym obcym kraju i słuchałam teraz nieznanego mężczyzny. Łzy napłynęły mi do oczu.

Pan Carnegie zakończył recytację i spojrzął na mnie. Szybko ukradkiem wytarłam łzę z policzka, mając nadzieję, że jej nie zobaczy. Łagodny wyraz jego twarzy mówił jednak, że było za późno.

W ciszy, która zapadła, usłyszałam słaby dźwięk dzwonka. Dygnęłam i odeszłam bez słowa. Wiedziałam, że to pani Carnegie mnie wzywa.

[5] R. Burns, *A właśnie tak!*, w: tenże, *Z wierszy szkockich*, przeł. Zofia Kierszys, PIW, Warszawa 1956, s. 208.

Rozdział 9

21 stycznia 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

–List do ciebie – powiedziała pani Stewart, kiedy mijalam ją w kuchni, niosąc tacę z naczyniami po popołudniowej herbacie pani Carnegie.

– Do mnie? – spytałam z niedowierzaniem.

Od miesiący czekałam na odpowiedź na list, który wysłałam do mojej rodziny po przyjęciu stanowiska u Carnegiech, a teraz, kiedy ją dostałam, nie mogłam w to uwierzyć. Każdego dnia przychodziły listy do innych pracowników, a do mnie nic. Znalazłam się między dwoma biegunami: lękiem o swoją rodzinę i ulgą, że nie napisał żaden z krewnych prawdziwej Clary Kelley.

– A nawet dwa – odpowiedziała z ponurą miną, nie reagując ani trochę na moją radość.

Natura naszych nielicznych rozmów – które zazwyczaj ograniczały się do dyskusji o żywieniowych preferencjach pani Carnegie, próśb o świeże materiały do szycia i powtarzania komentarzy mojej pani na temat różnych niedostatków czystości – czyniła naszą relację w najlepszym razie formalną. Podobnie jak reszta służby, pani Stewart nie widziała we mnie jednej z nich, lecz stawiała mnie w jednym rzędzie z moją panią. Zachowywała bezpieczny dystans.

Czyżby Eliza i tata napisali do mnie osobno? To mało prawdopodobne, by tak nierozważnie wydawali pieniądze. Może to dwa listy wysłane w różnym czasie?

Pani Stewart wyciągnęła dwa pogniecione listy z głębokiej kieszeni na przodzie fartucha i zbliżyła je do kinkietu na ścianie. Mrużąc oczy, przeczytała:

– Jeden z jakiegoś Tuam, a drugi z Dublina.

Radość, którą poczułam, sądząc, że przeczytam list od mojej drogiej siostry Elizy, zniknęła, kiedy usłyszałam słowo „Dublin”. Nie znałam nikogo w Dublinie. Ta druga Clara Kelley znała na pewno. Ten list bez wątpienia był skierowany do niej.

Zaniosłam tacę z herbatą do zmywalni, po czym zerknęłam na oba listy – charakter pisma na pierwszej z kopert był mi znany równie dobrze jak mój własny, ten na drugiej zaś był obcy – i schowałam je do kieszeni spódnicy. Moje kroki były ciężkie, kiedy wchodziłam tylnymi schodami na górę, wracając do swoich obowiązków. Gdy pomagałam pani Carnegie przygotować się na jej popołudniowy odpoczynek, lekko rozluźniając suknię, układając poduszki i przynosząc z biurka egzemplarz umowy kolejowej, czułam, że te listy mnie palą. Czy odkryto, że jestem oszustką? Wieści z domu, na które od chwili przybycia czekałam tak niecierpliwie, zdawały się nie mieć znaczenia wobec tej drugiej przesyłki.

Pani Carnegie wskazała mi stertę pończoch leżących obok szafy i powiedziała:

– Zajmij się nimi, kiedy będę odpoczywać, Claro. Zadzwońię po ciebie, kiedy będę gotowa, by ubrać się na kolację.

– Dobrze, proszę pani – odparłam, kłaniając się lekko. Chwyciłam pończochy, zamknęłam za sobą drzwi sypialni i popędziłam do swojego pokoju schodami dla służby.

Ręce mi drżały, kiedy siadałam na połatanym kocu, który przykrywał moje łóżko, i wyjmowałam z kieszeni listy. Przeciągnęłam opuszką palca po moim imieniu zapisanym eleganckim charakterem pisma mojej siostry – tata kazał nam ćwiczyć się w kaligrafii – i zdecydowałam, że powstrzymam strach i list od niej otworzę jako pierwszy. Jakikolwiek by był los, który niósł za sobą list zaadresowany do drugiej Clary Kelley, niech poczeka jeszcze kilka minut, bo dobre wieści z rodzinnych stron mogły złagodzić cios.

Rozcięłam kopertę nożyczkami do szycia. Drobnym charakterem pisma, który ściśle wypełniał papier – kosztowny, podobnie jak przesyłka – zapisane były wieści od mojej ukochanej siostry. Wyobrażałam sobie, jak kasztanowe włosy opadały jej na ramiona, kiedy pochylała się nad kartką. Chociaż litery miały jak zwykle doskonały kształt, musiałam dokładnie się im przyglądać, bo były bardzo maleńkie.

Najdroższa Claro,

kiedy przez całe dwa miesiące czekaliśmy na Twój list, spodziewaliśmy się najgorszego. Byliśmy pewni, że napiszesz, że jesteś bezpieczna, kiedy tylko postawisz stopę na amerykańskiej ziemi. Domyślisz się, co przeżywaliśmy, gdy okazywało się, że w parafii po raz kolejny nic na nas nie czeka. Zastanawialiśmy się, czy spotkał Cię jakiś straszliwy los, czy może zapomniałaś o nas w tym bogatym kraju. Chcieliśmy już zapłacić za drugi list i napisać do naszego kuzyna z Pittsburgha, by zapytać, czy się do niego odezwałaś. Teraz jednak, gdy mamy już w rękach pierwszą wiadomość od Ciebie, wiemy, że utrzymywanie kontaktu nie będzie proste, jako że listy poddane są kaprysom rejsów i dostaw z rąk do rąk, nie będziemy się więc już tak niecierpliwić. Czekając na kolejne wieści od Ciebie, ufać będziemy w Twój twardy charakter i wytrwałość.

Tak bardzo tęsknię za Tobą, siostrze. Bez Twoich żartów, harmidru i wzniosłych myśli w domu zrobiło się ponuro i pusto. Chociaż jest dużo pracy: mama nieustannie ceruje, gotuje i suszy zioła, tata orze ziemię, tak by nawet jeden listek nie opuścił przeznaczonego mu miejsca, jednocześnie narzekając na malejący obszar naszego gospodarstwa, nawet nasza mała, wesola Cecelia bez słowa wypełnia swoje zadania. Radość jednak zniknęła. Bez Ciebie jesteśmy smutni jak pusta butelka wina. Wiem, że moja tęsknota za Tobą jest samolubna: to Ty wzięłaś na siebie ogromne ryzyko przeprawy przez ocean i poświęciłaś się, porzucając wszystko, co znajome, by pomóc nam, swojej rodzinie. Powinnam przynajmniej znosić Twą nieobecność w milczeniu. Ale nie potrafię.

Odnajduję pocieszenie w wieściach o służbie, której się podjęłaś. Rodzina Carnegieh wydaje się sprawiedliwa, choć wymagająca. Jeśli historie, które opowiedzieli nam Mallowneyowie o niebezpieczeństwach czyhających na służące, są prawdziwe, wygląda na to, że udało ci się uniknąć najgorszych spośród amerykańskich panów i znaleźć bezpieczną przystań, niezależnie od zmiennych nastrojów Twojej pani. Lepiej poradzisz sobie z jej nieprzewidywalnymi humorami, niż zdołałaby to zrobić większość służących – w końcu nieźle znosiłaś temperament taty – i powinni się cieszyć, że Cię mają.

Wiem, że urodziłaś się do wyższych celów niż praca w komórce przy kuchni domu Carnegieh, najdroższa Claro, a nade wszystko jest mi przykro, że tata postanowił wysłać tam Ciebie zamiast mnie. Musiałam zaakceptować jego wybór, skoro mój planowany ślub z Danielem daje mu możliwość zachowania farmy, a na niej różnorodnych upraw pozwalających przetrwać głód, wciąż jednak wydaje mi się to niesprawiedliwe. Jesteś najmądrzejszą z nas, Claro, najbardziej zasługujesz na lepszy los, który pozwoliłby Ci wyjść poza status rolnych dzierżawców, który jest nam przyrodzony. Gdybym była silniejsza, los ten nie zostałby Ci skradziony i nie byłabyś zmuszona do podjęcia służby daleko za morzem – służby, która staje się coraz ważniejsza teraz, gdy lord Martyn grozi nam podniesieniem opłat za dzierżawę. Co noc modłę się, byś wybaczyła mi moją słabość.

Pisz, proszę, pisz.

Na zawsze Twoja Eliza

Jej słowa sprawiły, że łzy napłynęły mi do oczu. Jak mogła winić siebie za decyzję taty o posłaniu mnie do Ameryki? Nikt nie uznał mnie nigdy za odpowiednią żonę dla irlandzkiego chłopca, który mógłby pomóc nam zachować naszą dzierżawę. Nasza rodzina miała szczęście, że Eliza znalazła odpowiednią partię we właściwym czasie. Gdy wycierałam łzy, zamierzając napisać do niej jak

najszybciej, by uwolnić ją od poczucia winy, zauważyłam małe postscriptum, skreślone przez mamę jej niepodrabialnym, topornym charakterem pisma.

Strasznie za Tobą tęsknimy, ale nie przejmuj się. Nie rób nic, co groziłoby Twojej duszy. Módl się w jedynym prawdziwym Kościele rzymskokatolickim.

Mama byłaby zrozpaczona, wiedząc, że zostałam zmuszona odgrywać rolę protestantki, a jeszcze bardziej zmartwiłoby ją moje cotygodniowe wychodzenie do lokalnego kościoła presbiteriańskiego, dokąd udawałam się z resztą służby, choć państwo Carnegie w ogóle nie chodzili do kościoła. Z pewnością uznałaby, że żadna pensja nie jest warta takiego ryzyka dla duszy. Gdybym jednak upierała się przy uczestnictwie w katolickiej mszy, moi pracodawcy odkryliby moją dwulicowość i bez wątplenia zostałabym zwolniona.

Wyciągnęłam srebrny medalik Agnus Dei spomiędzy fałdów swojej halki, gdzie ukrywałam go przed czujnym okiem pani Carnegie. Pogładziłam mały symbol baranka, jaki nosili tylko katolicy, i pomyślałam o słowach mamy. Czy ryzykowałam swoją duszę, udając kogoś, kim nie byłam? Jeśli Eliza napisała prawdę i lord Martyn wciąż był wściekły na tatę za dawne zaangażowanie w ruch Fenian, farma mogła przepaść w każdej chwili, a moja rodzina razem z nią. Możliwe, że byłam ich jedyną nadzieją. Musiałam podjąć to ryzyko i modlić się o przebaczenie.

Postanowiłam odpisać Elizie przed piątą, gdy odbierano pocztę, by jak najszybciej przeczytała uspokajające słowa, których tak bardzo potrzebowała. Wzięłam atrament, pióro i papier, które ukryłam w pokoju, i zabrałam się do pisania.

Moja droga Elizo,

jak mogłaś pomyśleć, że o Was zapomniałam? O niczym innym nie myślę, tylko o Tobie, tacie, mamie, Cecelii i naszej ojczyźnie. Przy życiu podtrzymuje mnie wspomnienie domu, nawet tych ostatnich dni pełnych

niepokoju o los naszej farmy, zdanej na kaprysy lorda Martyna. Gdy leżę w nocy w łóżku w tym dziwnym domu, na tej dziwnej ziemi, udaję, że jesteś obok mnie, w naszym wspólnym łóżu, i że przed snem podzielisz się jeszcze ze mną ostatnią radością czy obawą. To dla mnie pocieszenie. Potem jednak ta chwila mija, a ja muszę pocieszać się myślą, że moja praca tutaj pomoże naszej rodzinie, jeśli miałyby się spełnić najgorsze obawy taty, obawy, że lord Martyn odbierze nam dzierżawę w całości, karząc za plotki o związkach taty z Fenianami.

Elizo, nie śmieję karać się za decyzję taty, by posłać mnie do Ameryki. Ojciec sądzi, że jeśli przekaże dzierżawę Tobie i Twojemu przyszłemu mężowi, lord Martyn przestanie podważać prawo naszej rodziny do niej. Twój ślub z Danielem i przejęcie farmy to nasza przyszłość: sama dobrze o tym wiesz. Po wielkim głodzie małe farmy nie przetrwają, skoro ziemniaki nie rosną. Tata nie mógł przecież mnie wyznaczyć do zamążpójścia. Któż zgodziłby się poślubić dziwną mądralę zamiast życzliwej siostry? Nie jestem dobrą partią dla rolnika. Ty od dawna przychylnie patrzyłaś na Daniela, a on na Ciebie. Wasze małżeństwo zapewni więc naszej rodzinie ziemię.

Moja służba w Ameryce ma tylko pomóc nam do czasu Twojego małżeństwa, kiedy to gniew lorda Martyna zelżeje. Wtedy będę mogła wrócić do domu. Na razie to jednak mój obowiązek. Czyż mama i tata nie nauczyli nas, jak ważne jest poczucie obowiązku? Spełnianie go jest dla mnie przywilejem i nie potrafiłabym wymyślić dla siebie szlachetniejszego losu.

Będę do Ciebie pisała tak często, jak pozwoli mi na to czas. Choć moja praca nie jest tak wyczerpująca fizycznie, jak ta, którą podejmują biedni Irlandczycy w kopalniach i fabrykach, trwa nieprzerwanie, zajmując mi całe dni. Nieprzerwanie też jesteś w moich myślach.

Twoja kochająca siostra Clara

Kiedy zakleiłam kopertę z listem do Elizy, wstałam, żeby wysłać list o piątej, chociaż wiedziałam, że będzie on szedł do Irlandii przez wiele tygodni. Już prawie opuściłam pokój, kiedy przypomniałam sobie o liście z Dublina. Wystawał spod pościeli, pod którą go schowałam. Czując, jak ze strachu ściska mi się żołądek, usiadłam i otworzyłam go.

Zobaczyłam niewiele słów. Zajmowały nie więcej niż pół strony i nie były tak ściśnięte jak słowa Elizy. Charakter pisma odebrałam jako mniej staranny niż – dzięki tacie – mój, Elizy czy Cecelii, litery były jednak dość kształtne.

Najdroższa Claro,

masz wszelkie prawo opuścić Dublin i zacząć nowe życie w Ameryce, gdzie Twoje zdolności zostaną bez wątpienia docenione. Powinienem Ci być powiedzieć, że mam dziecko, które żyje w tym kraju ze swoją babcią. Nie przejmuj się plotkami: nie jest bękartem. We wczesnej młodości byłem mężem matki tego dziecka, jednak ona zmarła przy porodzie i babcia zaopiekowała się niemowlęciem, bym ja mógł rozpocząć służbę. Wysyłam mu większość swojej pensji. Okłamałem Cię jednak, a na tym samym oddechu poprosiłem o rękę. Wiem, że na Ciebie nie zasługuję, gdyby jednak istniała choćby iskierka nadziei, że mi wybaczysz, wsiadłbym na pokład pierwszego statku do Ameryki. Wybacz mi, Claro, i pozwól do siebie dołączyć, tak byś nie była już dłużej sama na świecie.

Wciąż Twój Thomas

Łzy, które otarłam zaledwie chwilę wcześniej, znów napłynęły mi do oczu. Nie dlatego, że przestraszyłam się, że moje oszustwo zostanie odkryte – podejrzewałam, że Thomas nie wsiądzie na statek, nie otrzymawszy zachęcającego listu – ale dlatego, że po raz pierwszy druga Clara Kelley wydała mi się realna. I równie realna wydała mi się jej śmierć.

Rozdział 10

12 lutego 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Zapięłam złoty zegarek i łańcuch na szyi pani Carnegie, co było zawsze ostatnim elementem rytuału porannych przygotowań. Zrobiłam krok w tył, by przyjrzeć się sukni. Moją uwagę przyciągnął siwy włos, wzięłam więc szczotkę przeznaczoną specjalnie do jedwabnych sukien, by przed wyjściem po raz ostatni dokładnie wyczyścić materiał. Chciałam, by zgadzał się każdy szczegół. Miał to być mój pierwszy wolny dzień w ciągu trzech miesięcy służby w domu Carnegiech i nie mogłam pozwolić na to, by gdy mnie nie będzie, mojej pani przyszły do głowy wątpliwości na temat moich kompetencji.

W tym czasie nauczyłam się nie tylko sprawnie obsługiwać panią Carnegie, ale też wykonywać zadania, które należały do mnie, gdy byłam sama. Opanowałam nieskończony cykl czyszczenia jej grzebieni i szczotek, wywabiania plam z brudnych ubrań, krochmalenia muślinów, mycia misek, szklanek i dzbanków używanych w jej osobistych pokojach. Trzymałam się ścisłego planu, pamiętając o świeżej wodzie, kwiatkach, ręcznikach, wyprasowanej pościeli w łazience i sypialni, oceniałam stan jej bielizny, cerowałam pończochy, zszywałam prześcieradła oraz szczotkowałam suknie. Stałam się nawet kompetentną towarzyszką pani Carnegie podczas formalnych spotkań towarzyskich, które wypełniały jej dni. Chodziłam z nią na poranne wizyty do koleżanek i na herbatki

późnym popołudniem. Co więcej, kiedy oddałam pani Seeley dług za sukienkę i transport z Filadelfii, zdołałam nawet wysłać kilka pensów do domu. Wiedziałam, że mama i tata będą dumni ze swojej *síofra*, i cieszyłam się, że spełniam swój obowiązek.

Co z początku było determinacją, by zadowolić panią Carnegie i utrzymać stanowisko, zmieniło się w gorące pragnienie odniesienia sukcesu. Moje wrodzone dążenie do osiągnięcia niemożliwego – cecha *síofra* – sprawiało, że chciałam wprawiać moją panią w zachwyt. Nie zawsze mi się to udawało, zważywszy na zmienny, kapryśny charakter pani Carnegie. Oczywiście przez cały czas martwiłam się też, że moje oszustwo zostanie odkryte. Ale się starałam.

Patrzyłam i czekałam, gdy przyglądała się sobie w lustrze.

– Wyglądam porządnie, Claro – powiedziała pani Carnegie, studiując swoje odbicie.

Niemal się uśmiechnęłam, słysząc ten rzadki komplement, lecz wybrałam skromność: nie znosiła dogadzania sobie.

– Czy mogę zatem wyjść, proszę pani?

– Tak, Claro. Pamiętaj, proszę, by wrócić wieczorem i pomóc mi przed snem.

– Oczywiście, proszę pani.

Dygnęłam z szacunkiem, wyszłam z sypialni pani Carnegie i tylnymi schodami ruszyłam do swojego pokoju, ciesząc się, że nie spotkałam po drodze starszego pana Carnegiego. Od czasu naszej rozmowy w bibliotece widywałam go rzadko, ponieważ najczęściej był w podróży. Szczęśliwie oznaczało to, że nasze kontakty były krótkie: składały się z pospiesznych ukłonów, gdy odprowadzałam panią Carnegie do jadalni na kolacje czy do salonu na rozmowy biznesowe z synami. Moje zakłopotanie w jego obecności nie zmalało, cieszyłam się więc, że okazji do spotkań jest tak niewiele.

Zerkając na mój mały pokój – jednoosobowe łóżko o stalowej ramie, szafkę z trzema szufladami i toaletkę z dzbankiem – miałam ochotę położyć się pod narzutą i spać przez cały dzień. Minęło prawie sto pięćdziesiąt dni, odkąd ostatni

raz cieszyłam się odpoczynkiem, nieprzerywanym hałasami współpasażerów czy obowiązkami służącej. List Elizy przypomniiał mi jednak, że powinnam nawiązać kontakt z dalekimi krewnymi mamy – tymi, których obecność w Pittsburghu skłoniła mnie do przyjazdu właśnie tutaj – i umówiłam się z nimi wcześniej na obiad.

Ziewając, pożegnałam się z kuszącą perspektywą snu i włożyłam szary tweedowy płaszcz na suknię z czarnej wełny. Zastanawiałam się, czy z okazji rodzinnej wizyty powinnam przebrać się w coś ładniejszego. Co jednak miałabym włożyć? Poza swoim mundurkiem miałam tylko używaną suknię od pani Seeley, a ona i tak przypominała strój służącej. Nie wspominając o tym, że zaraz po powrocie miałam obsługiwać pani Carnegie. Trudno, czarna wełna będzie musiała wystarczyć.

Wylądowałam na ostatnim stopniu schodów z nieoczekiwanym, głuchym hukiem. Pomywaczki Mary i Hilda uniosły głowy i widząc, że to ja, szybko wróciły do krojenia warzyw na obiad, nie uśmiechając się nawet. Między osobistą służącą pani domu a resztą służby wciąż była przepaść, której nie potrafiłam pokonać – a właściwie byłam zbyt zajęta, by spróbować. Tylko pan Ford witał mnie z uśmiechem. On również zdawał się żyć w świecie innym niż te dwa królestwa, zarządzane przez pana Holyroda i panią Stewart. Nie wiedziałam, czy było tak z powodu jego rasy, czy funkcji, ale czułam do niego wdzięczność za drobne miłe gesty w tym miejscu, gdzie byłam albo ignorowana, albo wręcz wyśmiewana, zwłaszcza przez Hildę.

– Rozumiem, że to panny wolny dzień, panno Kelley – zawołał.

– Tak właśnie jest, panie Ford – odpowiedziałam z uśmiechem. Naprawdę miałam ochotę się wymknąć.

– Proszę się dobrze bawić i szybko do nas wracać. Nie możemy pozwolić, by nasza pani zatęskniła za swoją służącą.

Gdy znalazłam się na chodniku, po raz pierwszy nieobciążona listą zadań od pani Carnegie, zaczęłam iść wolno po bruku Reynolds Street w stronę stacji

kolejowej, z której miałam pojechać do Allegheny City, miasta leżącego na zachód od Pittsburgha. Powietrze szczypało mnie w palce i policzki – ciepłe rękawiczki i szalik były dla mnie za drogie – ale nie przejmowałam się tym. Czułam się lekka i wolna.

Spokojnie przyglądałam się domom sąsiadującym z rezydencją Carnegieh. Chociaż kilka razy towarzyszyłam pani Carnegie podczas porannych wizyt i popołudniowych herbatek w niektórych z nich, teraz, gdy byłam sama, wydawały mi się wspanialsze. Nie mogłam uwierzyć, że pozwalano mi do nich wchodzić. Nigdy nie przestało mnie zaskakiwać, że wciąż nikt nie odkrył, że podszywam się pod inną Clarę Kelley.

Kiedy o niej pomyślałam, zaczęłam zastanawiać się, jak radzi sobie jej Thomas. Nie miałam od niego żadnych wieści od czasu pierwszego listu, ale często wyobrażałam sobie, jak siedzi w swoim dublińskim domu, czekając na odpowiedź od ukochanej, tak jak ja czekałam na wieści od mojej rodziny. Nigdy nie miał jednak otrzymać odpowiedzi. Już zawsze będzie wierzyć, że Clara go porzuciła – nie, że zginęła na morzu. Nie będzie mógł przeżyć żałoby.

Myśląc o Thomasie, poczułam wyrzuty sumienia z powodu kłamstw, które naopowiadałam, by zdobyć to stanowisko. Miałam znacznie więcej pieniędzy, niż mogłabym zarobić w młynie albo jako podkuchenna, jak Hilda. Zdeterminowana, by wkraść się w łaski pani Carnegie, nie zastanawiałam się nad źródłem mojego szczęścia. Czasami zapominałam wręcz, że zyskałam je kosztem kogoś innego.

Spochmurniałam, myśląc o drugiej Clarze Kelley. Wsiadłam do pociągu. O tej porze był prawie pusty, usiadłam więc na wolnej drewnianej ławie. Kiedy pociąg ruszył, spojrzałam przez okno na biały pejzaż pokryty świeżym śniegiem. Chociaż kościoły, sklepy i domy stawały się coraz biedniejsze w miarę oddalania się od Homewood, miasto błyszczało w śniegu, a widok był zachwycający.

Pociąg relacji Pittsburgh–Allegheny–Manchester–Allegheny City przecinał Pittsburgh dość blisko trzech rzek, nad którymi stały fabryki. Śnieg zaczął mocniej padać, jednak im bliżej miasta byliśmy, tym słabsza stawała się jego oczyszczająca moc. Niebo tylko chwilami było białe, częściej zasnuwała je wirująca czarna sadza.

Kiedy pociąg przejechał przez wiszący most na drodze z Pittsburgha do Allegheny City, śnieg przegrał bitwę ze smołą i z nieba zaczął lecieć czarny brud niczym nowy rodzaj śniegu, pokrywając wszystko atramentową, kleistą warstwą.

Pociąg zatrzymał się przy Rebecca Street, a ja opuściłam względnie porządną stację i włączyłam się w płynący strumień ludzi. Szłam zatłoczonymi, brudnymi ulicami, a kwaśne, cierpkie (z winy pobliskich garbarni) powietrze paliło wnętrze moich ust i nosa. W chaosie nie widziałam ani jednego znaku drogowego. Czyżbym wysiadła na niewłaściwej stacji? Nie odeszłam jeszcze zbyt daleko od stacji, więc postanowiłam wrócić na peron i poszukać konduktora czy maszynisty, który mógłby mi pomóc.

Wybłagałam pomoc u zabieganego kontrolera, znękanego przez ludzi z długiej kolejki.

– Przepraszam pana, szukam Rebecca Street 354. Wie pan może, gdzie to jest?

– To w Slab Town, kawałek drogi stąd.

Zdziwiłam się, bo mogłabym przysiąc, że na chwilę przed tym, gdy zatrzymaliśmy się na stacji, maszynista zawołał: „Rebecca Street”.

– Myślałam, że to stacja Rebecca Street...

– To prawda. Ale to Slab Town, panienko. Nie okolice Ridge Avenue czy Mexican War Street. Tam jest jak w króliczej norze. Powiem, którądy mniej więcej pójść, ale potem znajdzie się pani na łasce miejscowych.

– Może powinnam zamówić powóz?

– Nikt nie pojedzie do Slab Town, panienko – oświadczył i odwrócił się, by odpowiedzieć na pytanie wrzeszczącego klienta.

Podążając za wskazówkami biletera, ruszyłam przed siebie wzdłuż Rebecca Street, omijając sterty parujących końskich odchodów i brudząc sobie buty na błotnistej drodze, która nigdy nie widziała bruku. Idące środkiem ulicy grupy niechlujnych ulicznych łobuzów omal nie wepchnęły mnie pomiędzy mężczyzn grających w kości na krawężniku a kobietę wieszającą pranie – co zdawało się w tym miejscu bezsensownym zajęciem. Przeprosiłam ich. Wreszcie dotarłam pod

numer 330 Rebecca Street. Domy odcinały się tu od tła ognistych płomieni unoszących się ponad fabrykami. Wydało mi się niesamowite, jak przemysł wdziera się w ulicę pełną domów mieszkalnych, a między tymi dwoma terenami nie ma żadnej granicy.

Mimo starań nie potrafiłam odnaleźć numeru domu mojego kuzyna. Przechodnie wydawali się niezbyt gościnni, nie chciałam więc prosić ich o pomoc. Wreszcie minął mnie starszy, sympatycznie wyglądający mężczyzna w zniszczonym, lecz dokładnie wyczyszczonym ubraniu. Odważyłam się do niego podejść.

Z wyraźnym niemieckim akcentem odpowiedział:

– Trudno odnaleźć dom numer 354, bo on nie stoi od ulicy. Pewnie znajdziesz go na tylnej uliczce, za innym domem.

Czując się jak intruz, zaczęłam skradać się alejką, którą wskazał mi starszy mężczyzna, i znalazłam się za rozklekotanym drewnianym domem stojącym od strony ulicy. Starszy pan miał rację: na maleńkich podwórkach walących się domów przy Rebecca Street stał kolejny rząd domków, zbudowanych z odzyskanego drewna i metalu, jeszcze bardziej zniszczonych niż te z przodu i położonych jeszcze bliżej isker dobywających się z fabryki.

Niemal już płacząc z frustracji, znalazłam wreszcie dom z numerem 354 wysmarowanym na drzwiach substancją, która przypominała smołę. Czy to z tego względu, że stał na zboczu wzgórza, czy z powodu kiepskiego wykonania samego domu, pochylał się on na budynek obok, niemal jak przybudówka. Drewniana fasada nie była pokryta żadną farbą, a dwa okna na górze nie miały szyb, wypełnione były papierem. Ten nieszczęsny dom byłby moim domem, gdyby nie śmierć drugiej Clary Kelley.

Zawahałam się, nim zapukałam. Tylko myśl, że ci biedni ludzie zapewne przygotowali się na moje przyjście – prawdopodobnie wydając swoje niewielkie oszczędności na posiłek dla mnie – powstrzymała mnie przed odwróceniem się na

pięcie. Świadomość tego nie pozwoliła mi na ucieczkę przed czymś, co mogłoby być moim losem.

Drzwi otworzyły się, nim zdążyłam zapukać.

– Myśleliśmy, że już nigdy nie przyjdiesz – powiedział brodaty trzydziestokilkuletni mężczyzna. Musiał to być Patrick Lamb, kuzyn mojej mamy.

Objął mnie.

– Widać, że jesteś córką Alice. Masz oczy swojej matki. Chodź tu się ogrzać.

Zmrużyłam oczy w słabym świetle świec, wchodząc do izby, która zajmowała cały parter domu Patricka. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyłam kobietę w ciąży z noworodkiem na rękach i kilkulatkiem chwytającym ją za nogi. Dwoje innych dzieci, pięcio- czy sześćioletni chłopiec i dziewczynka, chowało się za jej burą spódnicą. Stali naprzeciw prostokątnego drewnianego stołu nakrytego do obiadu w pokoju tak brudnym od osadu z pobliskich fabryk i zakładów przemysłowych, że mogłabym określić go tylko słowem „popielaty”.

– Witaj, kuzynko. Miło nam widzieć przyjazną, irlandzką twarz w morzu Niemców – powiedziała żona Patricka, Maeve.

Drobna kobieta – jeśli nie liczyć dużego brzucha – była dość ładna, szpeciły ją jedynie cienie pod oczami. Widząc liczne dzieci, nie dziwiłam się, że jest zmęczona.

Patrick wskazał mi stół:

– Usiądź. Opowiedz nam o swojej podróży z Irlandii. Spodziewaliśmy się ciebie już jakiś czas temu.

Usiadłam między dziećmi przy stole, który – jak się spodziewałam – zastawiony był najlepszym jedzeniem, na jakie mogli sobie pozwolić. Stały na nim gulasz z królika, gotowane ziemniaki i bochenek chleba. Pożywienie to wyglądało biednie w porównaniu z wystawnymi posiłkami Carnegiech, ale było ciepłe i pożywne. A sądząc po stanie rodziny i jej domu – zdobyte z dużym trudem.

Po wielu dniach udawania angloirlandzkiej wymowy z trudem wróciłam do swojego naturalnego akcentu.

– Nie trzeba było.

– Nonsens. Jak pisałem twojej matce, mam tu w fabryce dobrą pracę. Mogliśmy sobie pozwolić na własny dom. Nie musimy z nikim dzielić pokoju – powiedział i spojrzał na żonę z dumą. – Nasze dzieci mają pełne brzuchy, a na nogach buty z podeszwami. Nie głodujemy tak jak w Galway.

– A ja nocami trochę szyję, żeby dorobić – wtrąciła Maeve, chcąc zaznaczyć swój wkład. – Na przykład dziś w nocy.

Dłoń, w której trzymałam widelec, zamarła w powietrzu. Zrobiło mi się słabo na myśl o tym, że ta młoda, ciężarna kobieta, opiekująca się czworgiem małych dzieci, spędziła noc na szyciu w słabym świetle świec, żeby mnie nakarmić. Czy mogłam odjąć jej dzieciom jedzenie od ust?

Gdybym odmówiła, uraziłabym ich jednak, a nie miałam najmniejszego zamiaru zranić tej dumnej rodziny. Żując swojego królika, wyjaśniłam, że pracuję w domu Carnegiech, powiedziałam jednak, że jestem podkuchenną – to samo napisałam zresztą mojej rodzinie. Nikomu o moim statusie nie pozwolono by objąć posady osobistej służącej, a nie chciałam, by ktokolwiek dowiedział się, że dostałam tę pracę dzięki podstępowi. Płonąc ze wstydu, zmieniłam temat i zapytałam o życie Patricka i Maeve w Pittsburghu. Rozmawialiśmy o jego niebezpiecznej pracy w fabryce, o ciągłych walkach między grupami imigrantów o wyższe miejsce w hierarchii, o syzyfowej pracy, jaką była walka Maeve z brudem – prowadzonej z energią, ale bez sukcesu – a także o zagrożeniu cholerą spowodowanym brakiem kanalizacji. Instynktownie skrzywiłam się, słuchając ich opowieści, ale wiedziałam, że nie życzą sobie mojej litości.

Choć sadza wnikała w każdy por ich skóry i w każdą rzecz w ich domu w Slab Town i choć praca Patricka była niepewna, ich życie tutaj było bez wątpienia lepsze od tego, co mieliby w Galway, gdzie głód pochłaniał całe rodziny, pozostawiając tych, których gospodarstwa były za małe, bez środków do życia.

Cóż takiego zrobiłam, że zasłużyłam na lepszy los? A co ważniejsze: jak mogłam wykorzystać swoje szczęście, jeśli nie pomóc własnej rodzinie?

Rozdział 11

12 lutego 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Wmroku równie gęstym jak czarne chmury unoszące się ponad fabrykami nad rzeką wróciłam na Rebecca Street Station. Moja głowa była tak pełna sprzecznych emocji, że omal nie wpadłam w kałużę nieczystości na schodach prowadzących na peron. Nie mogłam doczekać się, by wejść do wagonu gwarantującego anonimowość i choć na chwilę zrzucić wszystkie maski, które nosiłam.

Kiedy przyjechał pociąg, znalazłam najbardziej oddalony, odizolowany kąt i skuliłam się w nim. Tam, niewidzialna pośród otaczających mnie pozbawionych imion i twarzy pasażerów, zrobiłam coś, czego zgodnie z normami społecznymi, które nie pozwalały kobietom okazywać emocji publicznie, nie powinnam była zrobić: rozpłakałam się.

Wiedziałam, że nie mam prawa do tych łez. Miałam dobrą pracę – lepszą, niż pozwalało na to moje pochodzenie, i znacznie lepszą, niż mogłabym dostać, mieszkając z rodziną Lambów, jak planowałam. Wysyłałam do domu pieniądze. Tęskniłam za rodziną, ale wiedziałam, że bardziej im się przydam, będąc tutaj. Z czyjego powodu płakałam? Wszystkich tych imigrantów, którzy – jak Lambowie – przyjechali do Ameryki w poszukiwaniu lepszego życia, lecz musieli zadowolić się domem pokrytym sadzą i niebezpieczną pracą w fabryce, za co jeszcze

dziękowali? Z powodu wykształcenia, które zapewnił mi tata, a które nie miało żadnego celu prócz uczynienia mnie doskonałą służącą? Co można powiedzieć o społeczeństwie, w którym najlepszym, na co mogła liczyć nisko urodzona wykształcona dziewczyna, była służba? Czułam, że wszystkie nauki ojca pozwoliły mi dostrzec świat, do którego tęskniłam, ale do którego nie mogłam wejść.

Dwie stacje dalej, przy Grant Street, w sercu Pittsburgha, na wolnym miejscu obok mnie usiadł jakiś mężczyzna. Świadoma jego bliskości, wyjęłam z kieszeni płaszcz chusteczkę i wytarłam oczy, jakby podrażniły je zanieczyszczenia. Musiałam przestać się nad sobą uzalać. Samotny płacz to jedno, ale na łkanie w obecności obcego mężczyzny naprawdę nie mogłam sobie pozwolić.

– Wszystko w porządku, panienko? – spytał.

Nie tyle zobaczyłam, ile wyczułam, że inni pasażerowie się na niego gapią. Jego pytanie było wysoce niestosowne. Obcy mężczyźni nie rozmawiali z nieznanymi kobietami. Nigdzie. Z żadnego powodu. Stanowiło to obrazę gorszą niż mój płacz.

Skierowałam wzrok w okno i odsunęłam się od niego tak bardzo, jak to było możliwe. Staralam się skupić na szarych, brudnych biurowcach za szybą i bieganinie ludzi wokół – głównie starszych panów i dzieciaków, jako że większość mężczyzn w kwiecie wieku była na wojnie – jednak bliskość mężczyzny mi na to nie pozwalała.

Zaczął mówić:

– Kiedy byłem chłopcem, pracowałem jako posłaniec dla firmy telegraficznej. Niebo było wtedy ciemniejsze od dymu niż dzisiaj, tak że czasami nie widziałem nawet swojej wyciągniętej dłoni. By przekazać wiadomości w wyznaczonym czasie, musiałem zapamiętać układ ulic, bo nie zawsze widziałem, dokąd idę. Niekiedy pomagałem kurierom, którzy zgubili drogę, idąc wzdłuż krawężnika z dłonią na grzbiecie swojego konia. To doświadczenie nauczyło mnie, że gdy się gubisz, pomocna dłoń zawsze wyłania się z ciemności.

Nie miałam pojęcia, dlaczego ten człowiek opowiada mi swoją historię i dlaczego w ogóle do mnie mówi. Czy starał się mnie pocieszyć? Niezależnie od jego motywacji zachowanie to było wysoce niestosowne, a nie chciałam, by inni pasażerowie pomyśleli, że zrobiłam coś, żeby je sprowokować. Zbliżyłam się do okna tak bardzo, że mój oddech pokrył szybę parą.

– Może kolejny wiersz Roberta Burnsa poprawi panience humor? – zapytał mężczyzna.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Okazało się, że obok mnie siedział starszy pan Carnegie.

Mówił dalej:

– Chociaż, jeśli dobrze pamiętam, ostatnim razem zaszklily się pani oczy. Może jakiś inny poeta panią pocieszy.

Wydusiłam z siebie przeprosiny za swoje niegrzeczne zachowanie i przesadną emocjonalność.

– Bardzo przepraszam, że od razu pana nie poznałam. Nie spodziewałam się, że spotkam pana w pociągu. Proszę mi wybaczyć.

– Nie ma za co przepraszać, panno Kelley. – Uprzejmie ignorując uchybienia w moim zachowaniu, skupił się na bezpieczniejszej kwestii, transportu. – To prawda, że czasem jeżdżę do pracy rodzinnym powozem, ale mówiąc szczerze, wolę pociąg. Zacząłem karierę w firmie kolejowej, zajmuję się tą pracą do dzisiaj, a powrót pociągiem do domu jest dla mnie jak powrót do korzeni.

– To bardzo szlachetne, panie Carnegie.

– Nie ma we mnie nic szlachetnego, panno Kelley. Jesteśmy prostymi ludźmi, ze zwyczajnego szkockiego miasteczka.

Jego szczerść mnie oszołomiła. Pani Carnegie nie zdradzała żadnych szczegółów dotyczących pochodzenia rodziny, chociaż zajadłe broniła swojej ojczyzny. Podejrzewałam oczywiście, że jest niskiego pochodzenia, biorąc pod uwagę jej nieznaną zwyczajów wyższych sfer Pittsburgha i to, że tak łatwo

dawała mi się kierować. Dotąd nie miałam jednak żadnych konkretnych informacji, jeśli nie liczyć insynuacji panien Coyne i Quinn.

Rozbrojona jego szczerością, zaczęłam mówić swobodnie po raz pierwszy od wyjazdu z Irlandii:

– Panie Carnegie, wasze życie w Fairfield nie jest proste. Jest wspaniałe. – Natychmiast żałując swojej bezpośredniości, poprosiłam go o wybaczenie.

– Po raz kolejny pani przeprasza, choć nie zrobiła nic złego, panno Kelley. – Potem, zmieniając temat, powiedział: – To prawda, nasz dom nie jest zwyczajny. Ciężko pracowałam, by kupić mojej matce piękny dom, na który zasłużyła. Podejrzewam jednak, że panienka dorastała w znacznie wspanialszych warunkach niż ja.

Nasza rozmowa była tak naturalna i swobodna, że omal się nie roześmiałam i nie wyprowadziłam go z błędu. Omal. Przypomniałam sobie Clarę Kelley, którą powinnam być, i odpowiedziałam mętnie:

– Myślę, że przecenia pan moje wychowanie. Jego filarem była nauka, nie luksus. – Było to stwierdzenie zgodne z prawdą, zważywszy, jak wiele uwagi tata poświęcał edukacji mojej i moich sióstr.

Jego twarz przyjęła triumfalny wyraz.

– Ach, zatem miałem rację. Wasze dziedzictwo jest doprawdy bogate.

W nadziei, że uda mi się uniknąć tematu mojego pochodzenia, wróciłam do poezji.

– Czy Robert Burns zawsze był pana ulubionym poetą?

– Dla jego rodaka ze Szkocji nie ma nikogo lepszego. A pani ma swojego ulubieńca?

Minęło wiele miesięcy, odkąd ostatnio prowadziłam z kimś intelektualną konwersację, nie miałam więc gotowej odpowiedzi. Zastanowiłam się chwilę.

– Wielu poetów mnie zachwyca, szczególnie jednak upodobałam sobie panią Elizabeth Barrett Browning.

– Słyszałem to nazwisko i czytałem kilka jej wierszy, przyznam jednak, że twórczość pani Barrett Browning nie jest mi dobrze znana. Czy któryś wiersz szczególnie pani poleca?

– To trudna sprawa, panie Carnegie. Każdy z jej wierszy jest skarbem. Gdybym jednak musiała wybrać jeden, byłaby to *Aurora Leigh*. To właściwie nie wiersz, ale epos. Zajmuje dziewięć ksiąg.

– Dziewięć ksiąg? – zawołał. – Pani ulubiony wiersz zajmuje dziewięć ksiąg?! Musi być niezrównany.

Roześmiałam się, zakrywając usta dłonią.

– To prawda.

– Co pociąga panią w *Aurorze Leigh*?

Zastanawiałam się, która z kontrowersyjnych kwestii społecznych podnoszonych przez Barrett Browning w *Aurorze Leigh* jest najbezpieczniejsza, bo tak w ogóle to najważniejszym poruszonym przez nią problemem były przeszkody, jakie muszą pokonać kobiety, by stać się niezależnymi w świecie zdominowanym przez mężczyzn. Nie mogłam jednak zgorszyć pana Carnegiego.

– Myślę, że siłą głównej bohaterki, którą jest pisarka o imieniu Aurora, i jej zapał do nauki.

– Rozumiem. Czy identyfikuje się pani z Aurorą?

– Chyba tak, pod pewnymi względami. – Nie chciałam nurkować głęboko w morze trudnych tematów poruszonych w poemacie, więc wróciłam do samej poetki, a konkretnie do pewnego jej poglądu, który, jak podsłuchałam, podzielali państwo Carnegie. – Poruszają mnie również osobiste poglądy Barrett Browning, zwłaszcza kwestia zniesienia niewolnictwa.

Pokiwał ze zrozumieniem głową.

– To również mój pogląd. Proklamacja emancypacji prezydenta Lincolna była dla mnie prawdziwą inspiracją. Na tyle mnie poruszyła, że sam napisałem pamflet przeciw niewolnictwu.

– Rozumiem więc, że jest pan gorącym orędownikiem armii Unii, sir?

– Jak najbardziej, panno Kelley. – Nadał się nieco. – Na początku wojny byłem zastępcą sekretarza wojny Scotta w War Building w Waszyngtonie. Asystowałem mu w departamencie transportu, gdzie odpowiadałem za bezpieczeństwo kolei wojskowej i telegrafów.

– To bardzo chwalebne, panie Carnegie. Jestem pewna, że pracując na tym stanowisku, pomógł pan wielu żołnierzom i że podobna pomoc nie byłaby możliwa w ogniu walki.

Chciałam, by moje słowa zabrzmiały jak komplement, on jednak się skrzywił. Pomyślałam, że decyzja, by nie walczyć razem z innymi żołnierzami, nie spotkała się z przychylnością.

– Ogromnym zaszczytem było służyć krajowi, który zrobił dla mnie tak wiele. Dzięki tej pracy miałem też możliwość poznać prezydenta Lincolna, który często przychodził do mojego gabinetu, siadał przy biurku i czekał na odpowiedzi na swoje telegramy. Był to wielki przywilej. Oczywiście wciąż wspieram sprawę Unii, starając się wzmacniać przemysł i produkcję żelaza. Żelazo jest bardzo potrzebne w czasie wojny, a moje firmy pomagają je dostarczać.

Konduktor przeszedł przez wagon, wołając:

– Stacja Reynolds Street!

Kiedy wstaliśmy, pan Carnegie powiedział:

– Dzięki pani była to najszybsza podróż z centrum Pittsburgha do domu w Homewood, jaką kiedykolwiek odbyłem.

Gdy wysiadaliśmy, trzymał mnie pod ramię, jakbym była damą, a nie służącą w jego domu. A kiedy znaleźliśmy się na Reynolds Street, stanęłam za nim, tak jak zawsze stawałam za jego matką. On jednak nie ruszył naprzód, lecz zwolnił, abym mogła dotrzymać mu kroku.

– Proszę opowiedzieć mi więcej o Barrett Browning – powiedział.

Przez całą drogę rozmawialiśmy swobodnie o poezji, a gdy byliśmy już blisko Fairfield, idąca w odwrotnym kierunku kobieta o znajomej twarzy zatrzymała się i popatrzyła na nas. Pan Carnegie umilkł i najwyraźniej rozpoznając ją, uniósł

kapelusz. Niewłaściwym posunięciem wydało mi się odejście od mojego pracodawcy, więc tylko opuściłam wzrok.

– Dzień dobry, panno Atkinson. Miło panią widzieć – powiedział pan Carnegie.

Słyszając nazwisko, przypomniałam sobie osobę. Była to niezamężna córka sąsiada Carnegiech, doktora Atkinsona, która kilka razy była w naszym domu na herbatkach i kolacjach na zaproszenie mojej pani. Kobieta ta, drobna i delikatna z urody, ale o ostrym języku, miała piękne kruczoczarne włosy, poza tym wyglądała jednak dość zwyczajnie. O jej stanie cywilnym dyskutowano na kilku herbatkach, gdy jej akurat nie było.

– Och, pan Carnegie. Myślałam, że to pan, ale wprowadził mnie pan w pewne zakłopotanie – odparła.

Nie uniosłam wzroku, by spojrzeć na wyraz jej twarzy, słyszałam jednak w jej głosie sarkazm, a ponadto lekko drwiącą, flirtującą nutę.

Pan Carnegie odpowiedział w typowy dla siebie, sympatyczny sposób:

– Bardzo przepraszam, panno Atkinson. Przykro mi, że zrobiłem coś, co panią zaniepokoiło. Czy mogłaby pani zdradzić, cóż to takiego, abym mógł więcej tego nie powtórzyć?

– Cóż, panie Carnegie, nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek widziała mężczyznę z Reynolds Street pogrążonego w rozmowie i spacerującego u boku służącej. To z tego powodu omal pana nie poznałam. – Zachichotała, jakby sama ta wizja była absurdalna.

Zamarłam, czekając na reakcję pana Carnegiego. Bardzo możliwe, że uprzejmość, jaką okazał mi w pociągu i we własnym domu, zniknie pod presją oceny kogoś znajomego. Czy wspinanie się po drabinie społecznej jest dla niego najważniejsze? Z pewnością takie było dla mojej pani.

Jego przyjazny głos stał się chłodny.

– Nie chciałbym pani zszokować, panno Atkinson, ale nie zamierzam przepraszać za przyjemną konwersację o Elizabeth Barrett Browning, którą

prowadziłem z panną Kelley. – Odwrócił się w moją stronę. – Panno Atkinson, czy mógłbym przedstawić pani pannę Kelley?

Dygnęłam, nie odrywając wzroku od ziemi. Moja pozycja w domu Carnegiech zbudowana była na kłamstwie, nie zamierzałam więc narażać jej na szwank, zrażając do siebie towarzyski krąg mojej pani, nawet gdy inicjatorem tego był jej ukochany syn.

– Miło mi, panno Atkinson – powiedziałam ze wzrokiem wbitym w ziemię. Chciałam zrobić wszystko, żeby nie dać jej powodu do uznania mnie za impertynentkę.

– Mnie także, panno Kelley – odparła tonem równie lodowatym jak ten pana Carnegiego. – Do widzenia, panie Carnegie.

Nie podniosłam wzroku, póki nie usłyszałam jej oddalających się kroków. Spojrzałam na pana Carnegiego.

– Bardzo dziękuję, sir.

– Panno Kelley, nie musi mi pani dziękować za to, że traktuję panią po ludzku w obliczu braku szacunku. Zostałem wychowany przez dziadków, których niechęć wobec arystokracji i niesprawiedliwego traktowania ludzi sięgała głęboko i którzy sympatyzowali z czartystami. Ich poglądy polityczne były niepopularne wśród brytyjskich władz, gdyż domagali się równych praw dla biednych i bogatych. Nie zamierzam stać bezczynnie, kiedy ktoś wygłasza uwagi pełne klasowych uprzedzeń w demokratycznej Ameryce. – Odetchnął głęboko. – Wróćmy do rozmowy o Barrett Browning.

Kontynuowaliśmy rozmowę o poezji, aż dotarliśmy do Fairfield. Tam, stojąc przed dwoma bardzo różnymi wejściami do jego rodzinnego domu, nie mogliśmy już dłużej udawać, że nic nas nie dzieli.

Kiedy pan Carnegie podchodził do głównych schodów Fairfield, dygnęłam.

– Do widzenia, sir – pożegnałam się, a nim zdążył odpowiedzieć, odwróciłam się, by przejść na tył domu do drzwi dla służby.

Rozdział 12

16 marca 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Damy wybuchnęły śmiechem. Uśmiechnęła się nawet zazwyczaj poważna pani Carnegie. Zapanowałam nad własnym zdziwieniem jej reakcją – i ogólną wesołością nietypową dla salonu Carnegiech w czasie popołudniowych herbatek – chcąc zachować nieruchomy wyraz twarzy służącej.

Pani Jones powtórzyła uwagę pani Vandevort.

– Ja również cieszę się, że mój status matrony nie wymaga pięćdziesięciocentymetrowej talii, jakiej oczekuje się dzisiaj od młodych dziewcząt.

– Pięćdziesiąt? – zarechotała pani Vandevort. – Słyszałam, że dzięki nowym gorsetom dziewczęta ściskają się w pasie nawet do trzydziestu pięciu centymetrów.

– Jak te dziewczęta jedzą w takich warunkach?

– Rzadko. A jeśli już – mało.

Śmiech ustał, gdy pani Vandevort zapytała:

– Macie jakieś wieści z wojny?

Odpowiedziała pani Jones:

– Mój mąż sądzi, że powołanie Ulyssesa S. Granta na stanowisko głównodowodzącego wojsk Unii przez prezydenta Lincolna to dobry znak dla

naszej armii. Generał Grant zamierza atakować konfederatów na wielu frontach: wschodnim, zachodnim i Missisipi.

– Poglądy pani męża mają, oczywiście, solidne podstawy, pani Jones. Zastanawiam się jednak, czy ta strategia walki na wielu frontach nie spowoduje większej liczby ofiar – powiedziała pani Vandevort.

– Tak wielu młodych ludzi już zginęło – wyszeptała pani Jones, lekko kręcąc głową.

Żadna z dam zebranych w pokoju nie straciła na wojnie syna ani męża, z pewnością jednak znały wiele kobiet, którym się to przydarzyło. Patrzyłam, jak zwykle prosto trzymająca się pani Carnegie prostuje się jeszcze bardziej. Denerwowały ją rozmowy o wojnie. Wydawało jej się, że powinna tłumaczyć, dlaczego jej synowie nie biorą w niej bezpośredniego udziału, choć nikt otwarcie nie zakwestionowałby wyborów Toma i Andrew Carnegiech.

– Andra jadał tu, w Pittsburghu, kolacje z generałem Grantem, kiedy ten jeździł do Waszyngtonu. Generał Grant znał oczywiście Andra z departamentu wojny, gdzie zajmował się koleją wojskową i liniami telegraficznymi – wtrąciła się.

– I co mówił pan Carnegie o generale Grancie? – spytała uprzejmie pani Vandevort. Podejrzewałam, że damy rozumiały, co próbowała zrobić pani Carnegie.

– Podczas kolacji generał swobodnie mówił o swoich planach wojennych. Andra twierdzi, że jest przebiegły i rozsądny, bez cienia sztuczności.

– Może zatem jesteśmy w dobrych rękach – westchnęła pani Jones.

Pani Carnegie zdawała się zadowolona, że jej uwaga została dobrze przyjęta. Patrzyłam, jak zerka raz na gości, raz na zegar na gzymsie kominka. Gdy spojrzała na mnie, wiedziałam, że muszę się dowiedzieć, dlaczego jeszcze nie przyniesiono herbaty i ciastek.

Kiedy pędziłam bogato zdobionym korytarzem do zwyklejszych w wystroju tylnych korytarzyków prowadzących do kuchni, myślałam, że wojna nie ma zbyt

wielkiego wpływu na Fairfield. Luksusowy kokon był niemal całkowicie odporny na wszystko, co wstrząsało krajem. Wojna wpływała jedynie na budżet Carnegiech.

– Dobry wieczór, panie Ford. – Kucharz stał przed swoim wielkim piecem. Był w kuchni sam, co zdarzało się rzadko.

– Dobry wieczór, panno Kelley. Niech zgadnę: nasza pani zastanawia się, gdzie podziewa się herbata? – Pan Ford podszedł do ogromnego drewnianego stołu, stojącego na samym środku kuchni, na którym była taca pełna małych ciasteczek. Niesamowite, jak cudowne rzeczy umiał wyczarować z wojennych racji żywnościowych.

– Dobrze pan zgadł.

– Wygląda na to, że nasza podkuchenna Hilda zgubiła się na targu. Bóg jeden wie, dlaczego szukanie cebuli zajmuje jej tak dużo czasu – wyjaśnił, wypełniając dzbanek na herbatę gorącą wodą.

– Z przyjemnością sama zaniosę paniom herbatę, panie Ford.

– Jest panienka pewna? – Wydawał się zaskoczony. Noszenie tac i podawanie herbaty dużym grupom nie należało do moich obowiązków, sądziłam jednak, że pan Ford dobrze już wie, że zrobię wszystko, by zadowolić panią Carnegie.

– To żaden problem.

Kiedy stawiał na tacy srebrną cukierniczkę i dzbanek ze śmietanką, zapytał:

– Udaje się spotkanie z paniami Jones i Vandevort?

– Zaczęła się rozmowa o wojnie.

Pokręcił głową i zagwizdał. Wszyscy w Fairfield wiedzieli, że nie jest to ulubiony temat pani Carnegie.

– To teraz trudny temat.

– Dopiero teraz?

– Cóż, starszy pan Carnegie został właśnie powołany do armii Unii.

Ścisnął mi się żołądek. Chociaż martwiłam się o niego ze względu na jego matkę, polubiłam pana Carnegiego od czasu naszej rozmowy w pociągu i nie chciałam, żeby ryzykował życie.

– To znaczy, że będzie walczył na wojnie?

– Nie, panno Kelley. Gdyby tak było, pani Carnegie łatwiej byłoby rozmawiać z przyjaciółkami. Nie. Zapłacił za to, by ktoś go zastąpił, choć całkiem możliwe, że panie jeszcze o tym nie wiedzą.

– Nie będzie miał przez to kłopotów?

– Nie. Rząd stworzył takie prawo o przymusowej służbie wojskowej, żeby bogaci mogli uniknąć walki. To całkiem legalne.

– Ale kto zgodzi się zająć jego miejsce?

– Wielu ludzi potrzebuje pieniędzy. Słyszałem, że jego miejsce zajął za osiemset pięćdziesiąt dolarów jakiś Irlandczyk, który ledwie wysiadł ze statku.

Zrobiło mi się słabo. Tak ogromna suma pieniędzy skusiłaby każdego zdesperowanego emigranta. Zadrżałam na myśl o tym, że taki los mógłby spotkać Patricka. Jak pan Carnegie, który twierdził, że wspiera Unię i równość między ludźmi, mógł skazywać nieszczęsnego emigranta na niemal pewną śmierć na wojnie, która wcale go nie dotyczyła? A wszystko dlatego, żeby samemu się uratować.

Podniosłam ciężką srebrną tacę, podziękowałam panu Fordowi i ruszyłam przed siebie tylnym korytarzem. Kiedy byłam już blisko salonu, usłyszałam męski głos. Miałam nadzieję, że to młodszy pan Carnegie przyszedł pogawędzić z paniami z towarzystwa. Nie wiedziałam, jak zareagowałabym na obecność starszego po tym, co powiedział mi pan Ford. W głębi duszy czułam jednak, że to nie nieśmiały Tom Carnegie zabawia damy historyjkami.

I rzeczywiście, to Andrew Carnegie stał pośrodku pokoju, czarując damy opowieścią o tym, jak jego żelazo wzmocniło belkę niestabilnego mostu na minutę przed tym, jak wojska Unii przekroczyły go w drodze na pole bitwy. Skinął ku mnie głową, kiedy postawiłam srebrną tacę na stoliku, nie zwrócił się jednak do mnie bezpośrednio. Osobiste przywitanie służącej byłoby wielce nietypowe nawet dla kogoś o tak demokratycznych poglądach jak pan Carnegie.

– Na tacy nie ma kawy, panno Kelley – powiedziała pani Carnegie oskarżycielskim tonem.

– Przepraszam, pani Carnegie. Wydawało mi się, że panie prosiły o herbatę – odparłam, rumieniąc się na myśl o tym, że pan Carnegie jest świadkiem tej reprimendy.

– Pani Vandevort preferuje kawę. Powinnaś to wiedzieć.

– Przepraszam raz jeszcze. Już wracam do kuchni.

Ruszyłam po kawę tak szybko, jak tego ode mnie wymagano, a w korytarzu usłyszałam za sobą ciężkie, męskie kroki. Pomyślałam, że pan Carnegie opuścił panie i idzie do swojego gabinetu. A jednak odgłos jego kroków dotarł za mną do holu dla służby.

– Panno Kelley, mogę prosić na chwilkę? – zapytał.

Odwróciłam się do niego, ukrywając swoje rozczarowanie pod delikatnym uśmiechem.

– Oczywiście, panie Carnegie. Jestem do dyspozycji.

– Mam coś dla pani.

– Dla mnie?

Czyżbym zostawiła coś w salonie? Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął z niej paczuszkę i podał mi ją. Była zaskakująco ciężka. Co to za przedmiot? I dlaczego w ogóle coś mi daje?

– To prezent.

– Prezent? – Nie rozumiałam, dlaczego pan domu miałby wręczać prezent służącej. Wzbierała we mnie podejrzliwość, instynktownie zrobiłam krok w tył. Przypomniały mi się stare plotki z Galway o wykorzystywaniu służących.

– Tak – odparł z szerokim, niewinnym uśmiechem. Zdawał się nieświadomy możliwych implikacji swojego zachowania, ale czy to możliwe? Nie był przecież nowicjuszem. – Byłbym zaszczycony, gdyby go pani otworzyła.

Nie wiedziałam, co robić. Panu domu nie wypadało wręczać prezentów służącej, zwłaszcza osobistej służącej pani domu, podlegającej jej szczególnej

kontroli. Nie mogłam jednak po prostu odmówić przyjęcia tego prezentu, choć był tak bardzo niestosowny.

Decydując się na kompromis, sprzeciwiłam się:

– Jestem zaszczycona, panie Carnegie, nie zrobiłam jednak nic, by zasłużyć na podobną hojność.

– Ależ zrobiła pani, panno Kelley. Otworzyła mi pani oczy na cudowną poezję Barrett Browning. – Wcisnął mi paczuszkę w rękę. – Udało mi się dostać pierwsze wydanie *Aurory Leigh* i chciałbym, by znalazło się w pani biblioteczce.

– Ależ nie zasłużyłam na taki gest! Proszę pozwolić mi, abym oddała panu tę książkę. Może umieści ją pan w domowej bibliotece, tak by cała rodzina mogła się nią cieszyć?

– Panno Kelley, chciałbym, by ta książka trafiła do pani pokoju. Jest pani przyzwyczajona do świata większego niż ten, w którym służy pani dziś mojej matce. Nalegam, by go pani powiększała, poczynając od tego prezentu. Jak mówi pani Barrett Browning: „Świat książek wciąż jest światem”.

Rozdział 13

18 kwietnia 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Dzień pracy ciągnął się długo, a ja czułam się bardzo zmęczona. Mimo to wyjęłam list od siostry z mojego egzemplarza *Aurory Leigh* w tłoczonej, zielonej okładce, gdzie schowałam go dla bezpieczeństwa. Chciałam raz jeszcze przeczytać jej dziwnie wymuszone słowa, by sprawdzić, czy przy ponownej lekturze wciąż będę czuć ten sam niepokój. W liście było niewiele informacji, za to dużo pytań o naszego kuzyna, moją sytuację, o wszystko – tylko nic o domu. Było to dziwne o tyle, że Eliza znała mnie równie dobrze jak siebie i doskonale wiedziała, że desperacko pragnęłam wieści z Tuam. Co przede mną ukrywała?

List nie dał mi pocieszenia, zwróciłam się więc do niej z prośbą o odpowiedź.

Najdroższa Elizo,

Twój ostatni list był żałośnie ubogi, jeśli chodzi o doniesienia z domu, droga siostrze, pełen za to pytań o tę dziwną amerykańską ziemię. Choć to naturalne, że kraj ten budzi w Tobie zainteresowanie, wyczuwam, że przed czymś się powstrzymujesz. Czy coś przede mną ukrywasz? Odpowiem na Twoje pytania, ale tylko pod warunkiem, że napiszesz mi o wszystkim, co dzieje się w domu, a zwłaszcza o umowie taty z lordem Martynem.

Pytasz, co łączy ludzi z Ameryki z nami. Mamy wspólny język i niektóre zwyczaje. Na tym jednak podobieństwa się kończą. Amerykanie, których

wszyscy przodkowie – nie licząc Indian – pochodzą skądinąd, są od nas surowsi i bardziej grubiańscy. Ich zachowanie wydało mi się szorstkie i odpychające, pozbawione łagodności, niuansów czy humoru charakterystycznych dla nas, Irlandczyków. Kiedy się jednak do tego przyzwyczaiłam, polubiłam tę szorstką szczerłość, nieukrywanie swoich poglądów. Zaczęłam też doceniać bezpośredniość ambicji Amerykanów. My, Irlandczycy, zakładamy, że nasz status jest nienaruszalny, i dlatego jeżymy się na cudze próby wzniesienia się ponad przyrodzoną pozycję. W Ameryce nie ma podobnego założenia, a ambicja jest nie tylko wspierana, ale i wynagradzana. U mężczyzn, oczywiście.

Ambicji nie brakuje moim panom i pani, o których mnie pytałaś. Ich pragnienie osiągnięcia sukcesu w biznesie jest tak silne, że gdyby nie szkocki akcent, nie umiałabym odróżnić ich od ludzi urodzonych w Ameryce. Starszy syn mojej pani, pan Andrew Carnegie, to urodzony przywódca o dużej charyzmie, który opiekuje się bratem niemal jak ojciec. Ma też w sobie dobroć i poczucie sprawiedliwości, które podziwiam, choć szybko wymigał się od udziału w amerykańskiej wojnie domowej. Zapłacił jakiemuś biedakowi z Irlandii, by zajął jego miejsce. Wyobrażasz sobie, że tata czy Daniel mogliby komuś zapłacić za zajęcie ich miejsca w walce o demokratyczne ideały? Co to mówi o człowieku?

Przerwałam. Chciałam napisać Elizie więcej o panu Carnegie, podzielić się z nią swoimi sekretami, jak to robiłyśmy w domu przed snem. Wiedziałam jednak, że list ten czytać będą także mama, tata i Cecelia, więc się powstrzymałam.

Pani Carnegie jest zacięta i inteligentna – właściwie jest współniczką swojego syna w biznesie – oszczędnie jednak wydziela czułości. Tylko starszy syn pani Carnegie cieszy się jej bezgraniczną miłością. Jest wymagająca, jeśli chodzi o mój czas i umiejętności, a poniżej mnie wszędzie poza swoją sypialnią, gdzie wysłuchuje moich opinii niemal z łagodnością.

Wprawia mnie w zakłopotanie, ale szanuję ją. Zarówno ona, jak i jej starszy syn chcą zmienić pejzaż amerykańskiego biznesu, a zamierzają wykorzystać w tym celu wojnę, którą północne stany Ameryki prowadzą z południowymi.

Nie, nie zaprzyjaźniłam się z innymi służącymi. Czują wobec mnie dziwny respekt. Nie jestem pierwszą Irlandką, którą spotkali, ale być może pierwszą wykształconą Irlandką. Przyzwyczajeni są do Irlandczyków ze wsi, którzy pracują jako służący czy kucharze, ale nie znali dotąd nikogo, kto przeszedłby tak rygorystyczną edukację, jak ta, którą zapewnił nam tata. Są też podejrzliwi wobec wolności irlandzkich kobiet, które przyjeżdżają tu same. Nie rozumieją, jak to możliwe, że mężczyźni pozwalają nam podróżować samotnie. Nie rozumieją, że – choć jesteśmy daleko od ojczyzny – więź między nami a naszymi rodzinami i wartościami pozostaje silna. Nasze poczucie obowiązku nigdy nie słabnie.

Proszę, napisz w kolejnym liście, co się dzieje w domu. Opowiedz mi o mamie, tacie, Cecelii i gospodarstwie. Opowiedz o Danielu i waszych planach małżeńskich. Zdradź mi wiejskie plotki, choćby najbardziej trywialne. Napisz, proszę, że Twoja powściągliwość nie oznacza, że stało się coś złego.

Twoja kochająca siostra Clara

Rozdział 14

5 maja 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

– Sądysz, że piknik będzie stosowny, Claro? Wciąż jest wcześnie, ale wygląda na to, że pozycja Unii jest dość silna, a dawno już minęła nasza kolej na zorganizowanie przyjęcia. – Pani Carnegie w jasny, wiosenny poranek patrzyła przez okno na obiecujące pąki kwiatów koloru fuksji i kości słoniowej.

Soczysta zieloność przypomniała mi letnie poranki w Galway, a wraz z tym wspomnieniem popsuł mi się nastrój. Przekonanie, że coś złego dzieje się w mojej rodzinie, rosło we mnie, odkąd wysłałam list do Elizy.

– Hulanki były oczywiście w ostatnich tygodniach wykluczone, ale przywództwo generała Granta poprawiło ludziom nastrój – ciągnęła moja pracodawczyni.

Byłyśmy same. Najłagodniejsza, najbardziej delikatna bywała właśnie wtedy, gdy zostawałyśmy we dwie. Publicznie wolała grozić mi palcem, karząc za wiele wymyślonych przez nią przewinień. Moja pani lubiła popisywać się nowo zdobytą władzą i obnosić ze statusem, a chociaż nie cieszyłam się, że wykorzystuje do tego moją osobę, sprawiało to przewrotnie, że stawałam się jej jeszcze bardziej potrzebna. Zwłaszcza że gdy byłyśmy same, polegała na moim fałszywym doświadczeniu.

– Też tak sędzę, proszę pani – odparłam, starając się nie myśleć o domu. Czesalam ją do chwili osiągnięcia wymaganych rano dwustu pociągnięć grzebieniem. – Nie wspominając o tym, że wielu uznaje niedawne przyjęcie trzynastej poprawki przez Senat za wystarczający powód do radości.

Kilka tygodni wcześniej słyszałam, jak pani Carnegie wznosi z synami toast za decyzję Senatu o zatwierdzeniu poprawki do konstytucji zabraniającej niewolnictwa i niedobrowolnej służby. Tego wieczoru zaplanowałam własne święto: zamierzałam położyć panią do łóżka, a następnie udać się do kuchni, zaparzyć herbatę i zatopić się w lekturze – poczytać o tym, co autorka *Aurory Leigh* sądziła na temat niewolnictwa. Kuchnia nie była jednak pusta. Ku mojemu zdziwieniu zobaczyłam pana Forda, który siedział przy kuchennym stole – co rzadko się zdarzało ciężko pracującemu kucharzowi – i płakał.

Widok ogromnego, jowialnego zazwyczaj mężczyzny, który poddawał się emocjom, wstrząsnął mną.

– Wszystko w porządku, panie Ford?

Uśmiechnął się przez łzy.

– Lepiej niż w porządku, panno Kelley. Nigdy nie sądziłem, że dożyję dnia, gdy rząd federalny zakaże niewolnictwa.

Poczułam ulgę, że jego łzy są łzami szczęścia, i usiadłam obok niego.

– To wspaniała wiadomość, prawda?

– Więcej niż wspaniała. To prawdziwy cud. To oznacza, że jeśli Unia wygra tę wojnę, być może znów zobaczę moją żonę i córkę. Może wszyscy będziemy wolni, będziemy razem chodzić ulicami Pittsburgha.

– Nie wiedziałam, że ma pan rodzinę, panie Ford. – Zaskoczyło mnie jego wyznanie.

– To był zbyt bolesny temat, by o nim mówić – powiedział, wycierając oczy ręką fartucha i wzdychając ciężko. – Ale nie dzisiaj.

Chcąc go zachęcić, położyłam dłoń na jego dłoni i zapytałam:

– Czy zechciałby mi pan o niej opowiedzieć?

Nie odpowiedział od razu, patrzył tylko na moją drobną, białą dłoń na swojej dużej, brązowej. Nie odrywając od niej wzroku, odparł wreszcie:

– Moja żona, Ruth, ma złote oczy. Nie typowe dla moich ludzi brązowe, ale nakrapiane złotem, tak że błyszczą w słonecznym świetle. Moja córka, Mabel, odziedziczyła je po matce. Zobaczyłabyś, jak płoną w ciepły letni wieczór przy zachodzie słońca. – Uśmiechnął się do mnie.

– Na pewno są urocze. – Odwzajemniłam uśmiech.

– Są urocze, ale i twarde. A przynajmniej Ruth. Mabel miała dopiero pięć lat, gdy Ruth zaplanowała naszą ucieczkę.

– Ucieczkę? – Nie rozumiałam, o czym mówi.

Uniósł wzrok i spojrzał mi prosto w oczy.

– Ucieczkę z plantacji, oczywiście.

Zrobiło mi się głupio. Jak mogłam się nie domyślić, że pan Ford był kiedyś niewolnikiem? I że jego rodzina wciąż była w niewoli? Moje troski wydały mi się nagle nieważne.

Oczy wypełniły mi się łzami.

– Tak mi przykro. Gdzie są teraz?

Cofnął dłoń.

– Nie wiem. Po raz ostatni widziałem je w kolei podziemnej[6]. Byliśmy w tunelu w Karolinie Północnej, który połączony był z piwnicą kościoła przyjmującego uciekinierów. Usłyszeliśmy nad sobą szczekanie. Byłem kucharzem i wiedziałem, że mój pan nie pozwoli mi uciec, nie posyłając za mną swoich cennych psów gończych. Szczekanie stawało się coraz głośniejsze. Tak głośne, że wiedzieliśmy, że mężczyźni z psami są już za nami w tunelu. Popchnąłem Ruth i Mabel do przodu – w stronę wejścia do kościoła – a sam zostałem, by spróbować odeprzeć atak. Wiedziałem, że to jedyna szansa. Kiedy psy przybiegły, zdałem sobie sprawę, że Ruth i Mabel nie ruszyły do kościoła, tak jak prosiłem, ale wróciły, żeby walczyć razem ze mną – powiedział i zamilkł na chwilę. – Pamiętam

tylko, jak obudziłem się w zawałonym tunelu. Ruth i Mabel zniknęły. Szukałem ich, wierz mi.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie mogłam jednak pozwolić, by ta opowieść spotkała się z milczeniem, wydukałam więc kilka niezgrabnych słów.

– Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro, panie Ford.

Krzesło zaskrzypiało, kiedy się podnosił. Gdy podchodził do pieca, odwrócił się i uśmiechnął serdecznie i ciepło, jak uśmiechał się do mnie codziennie. Zrozumiałam wtedy, że jego uprzejma, miła twarz była tylko maską. Że żadne z nas nie było tą osobą, za którą się podawało.

– Wszyscy zostawiliśmy kogoś za sobą, czyż nie? – wyszeptał, po czym pochylił się, by spojrzeć na ogień w piecu.

Pani Carnegie wyrwała mnie z zamyślenia kolejnymi komentarzami na temat pikniku – wydarzenia, które na tle tragicznych spraw, o których myślałam, wydało mi się frywolne.

– To prawda, Claro. Większość naszych znajomych ucieszyłaby się ze wspólnego świętowania trzynastej poprawki. Nie licząc, oczywiście, pani Wilkins – zauważyła.

Zrozumiałam tę uwagę o jej zamożnej sąsiadce. Podczas jednej z formalnych kolacji, w których uczestniczyłam, usłyszałam, jak pani Wilkins narzeka, że „czarnych” przyjmuje się do szkoły wojskowej West Point. Musiałam bardzo się postarać, by nie wybuchnąć śmiechem, kiedy w odpowiedzi starszy pan Carnegie zawołał: „I to nie wszystko! Słyszałem plotki, że przyjmują ich nawet do nieba”.

– Oczywiście, proszę pani – powiedziałam, kontynuując rytuał czesania, który uspokajał moją panią, wyraźnie zdenerwowaną perspektywą pikniku. Spodziewałam się kolejnych pytań. – Sądzę, że nie trzeba zdradzać pani Wilkins konkretnego powodu spotkania.

– To prawda – powiedziała i umilkła na chwilę, a ja obserwowałam jej twarz, na której już widać było kolejne rodzące się pytanie. – Nie zostaniemy oskarżeni o brak wrażliwości, prawda? Biorąc pod uwagę wszystkie ofiary? – Nieustannie

świadoma swojego statusu niedawnej imigrantki, która na wojnie niczego nie ryzykuje, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że żaden z jej synów nie walczył, nie chciała wydać się swoim nowym rodakom nieczuła.

– Z pewnością nikt nie oskarży o nic podobnego ani pani, ani pani synów. Jestem przekonana, że krąg waszych znajomych z radością przyjmie chwilę rozrywki. Lata wojny na to nie pozwalały.

– Wszystko pod warunkiem, że Andra się zgodzi.

Podjęła decyzję, nie zamierzała jednak wysyłać zaproszeń, planować menu ani wydawać rozkazów służbie, póki przedsięwzięcia nie pobłogosławi jej ukochany syn. Z Tomem, młodszym panem Carnegie, który pozostawał w cieniu starszego brata, nie konsultowano decyzji towarzyskich, a te biznesowe omawiano jedynie pobieżnie. Czasem wydawał się bardziej niewidzialny nawet ode mnie.

– Jestem pewna, że pan Carnegie będzie najlepiej wiedział, co zrobić.

W ostatnich tygodniach przestałam czuć się niezręcznie z powodu prezentu, który dostałam od pana Carnegiego. Mniej teraz podróżował, więc spotykaliśmy się regularnie, kiedy stawałam u boku pani Carnegie podczas porannych wizyt, spotkań w salonie i formalnych kolacji firmowych. Nigdy nie wspominał o naszych rozmowach ani o niestosownym prezencie, który mi wręczył. Kwitował zresztą moją obecność jedynie pobieżnie, jak wypadało panu domu. Choć czasem miałam wrażenie, że wyobraziłam sobie nasze rozmowy, to nie mogłam zapomnieć o jego decyzji o posłaniu na wojnę biednego emigranta, żeby służył w wojsku za niego.

Przyglądałam się badawczo odbijającym się w lustrze srebrzystobiałym włosom pani Carnegie i zastanawiałam się, czy to właściwa chwila, by zebrać się na odwagę i coś zasugerować.

– Zauważyłam, że damy zaczęły eksperymentować z nową fryzurą.

Wysoki kok i przedziałek pośrodku był niemodny od jakiejś dekady nawet w Irlandii i obawiałam się, że jedna z jej koleżanek zwróci na to uwagę. Przemawiałoby to na moją niekorzyść, gdyż to osobista służąca winna była pielęgnować włosy pani domu. Nie mogłam ryzykować.

– Doprawdy?

Jej obojętny ton nie zdradzał, co sądzi o mojej sugestii, musiałam więc mówić dalej.

– Tak, proszę pani. Według nowej mody włosy zaczesuje się gładko do tyłu, bez przedziałka, a dość swobodny kok spina na karku. Czasem owija się go siateczką.

Zmarszczyła czoło, jakby zastanawiała się, czy mój bezczelny pomysł zasługuje na pochwałę czy naganę.

– Ale jak nosić czepek przy takiej fryzurze? Przód moich włosów wyglądałby strasznie po jego zdjęciu.

– Myślę, że mogłaby pani włożyć mniejszy kapelusik, który przypina się na głowie. To nie wpływałoby niekorzystnie na fryzurę.

– W takim kapelusiku wyglądałabym jak niemądra panienska. Nie. Uczeszemy moje włosy tak, jak były czesane od lat, zachowam też swój czepek. Wolę wyglądać jak niemodna matrona, niż zawstydzić mojego Andra takimi wygłupami. On jest najważniejszy, ponieważ to od niego zależy los naszej rodziny.

Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, jak bardzo moja sytuacja przypomina sytuację pana Carnegiego. Choć skala była całkiem inna, stawka pozostawała podobna – los naszych rodzin zależał od naszego sukcesu.

[6] Umowny szlak ucieczki zbiegłych niewolników, tzn. sieć dróg, pomocnych domów i organizacji.

Rozdział 15

28 maja 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Ciała elita Reynolds Street przyjęła zaproszenie na piknik. Przez kolejne dwa tygodnie Fairfield pod przewodnictwem pani Carnegie skupiło się na tym wydarzeniu. Jako że nie miałam być potrzebna podczas podawania posiłków – planowano, że lunch będą serwować pani Stewart, pan Holyrod, Hilda, Mary i nowy lokaj James – sądziłam, że zostanę w domu i odpocznę w ciszy. Pani Carnegie nie chciała jednak o tym słyszeć. „Wiesz, że pani Pitcairn zdarzają się omdlenia. Będziesz musiała pójść z nami i zabrać ze sobą przybornik, tak by w razie potrzeby podać jej sole trzeźwiące”. Ciężkie, składane etui z przyborami do czesania i czyszczenia strojów, a także zestaw soli trzeźwiących dla dam, których gorsety wywoływały omdlenia – co zdarzało się zaskakująco często – były do mnie jakby przywiązane.

Rano w dzień pikniku dom wypełnił się cudownym zapachem. Kiedy skończyłam przygotowywać panią Carnegie, a ona udała się do salonu, by ustalić ze starszym synem porządek miejsc, wiedziona tym zapachem, znalazłam się w kuchni. Stojący na środku stół zastawiony był talerzami ze smażonym kurczakiem, polędwicą wołową w sosie chrzanowym, jajkami z wszelkiego rodzaju nadzieniem, marynowanymi szparagami, brzoskwiniami i biszkoptami z kremem. Moja rodzina nigdy nie widziała tak dekadentckiego posiłku.

Pan Ford, pani Stewart, Hilda i Mary biegali po kuchni, przygotowując kosze, w których miało być umieszczone jedzenie. Po wydaniu dokładnych instrukcji postępowania lokajowi i wysłaniu go na miejsce pikniku ze stołami, krzesłami i porcelaną – przewożonymi na wozie ogrodnika – pan Holyrod i James kręcili się po kuchni, czekając niecierpliwie na ostatnie kosze z jedzeniem, które mogliby zapakować do powracającego wozu.

Gdy stałam z boku, przyglądając się całemu temu zamieszaniu, zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy od czasu mojego przyjazdu do Fairfield nie otrzymałam żadnych konkretnych poleceń. Jako że miałam wolne do czasu udania się na piknik powozem z panią Carnegie, co miało nastąpić dopiero po odejściu całej służby, zaproponowałam Hildzie swoją pomoc. Wiedziałam, że nikt mnie o nią nie poprosi, a już na pewno nie Hilda.

Pakując nadziewane jajka z estragonem do koszyka, dziewczyna warknęła:

– Nie chcielibyśmy przecież ubrudzić twojej sukienki przed podróżą, prawda?

Służba miała zabrać ze sobą na piknik wóz ogrodnika. Mnie jako jedynej wolno było zająć miejsce z tyłu powozu, co tylko utwierdzało Hildę w niechęci do mnie, napędzanej przekonaniem, że wywyższam się, bo mam dostęp do naszej pani i jej królestwa.

Po cichu wycofałam się z kuchni, starając się ukryć łzy, które mimowolnie napływały mi do oczu. Nie przynależałam do żadnej wspólnoty. Moje miejsce nie było przy Carnegiech. Ani przy ich służących. Nawet członkowie mojej rodziny żyjący w tym mieście wydawali mi się obcy. Byłam równie samotna jak wtedy, gdy pierwszy raz postawiłam stopę na amerykańskiej ziemi – towarzyszyła mi jedynie tęsknota za bliskimi.

Gdzieś w oddali, za miastem, rozległ się grzmot. Niebo było tak błękitne, że wydawało się to niemożliwe, niemal komiczne. Zapowiadał się bowiem piękny, wiosenny dzień niczym lukrowane urodzinowe ciastko, w które świętujący mieli się wgryźć. Deszcz był nie do pomyślenia.

Wydawało się, że nikt inny nie słyszał grzmotu. Konwersacja nie ustawała, a rozmówcy prześcigali się w popisywaniu wiedzą. Pomyślałam, że mogłam się przesłyszeć. Wciąż stałam za panią Carnegie, trzymając w dłoniach przybornik, gotowa, by służyć jej lub każdej innej z zebranych dam.

Czy już na zawsze zostanę w tej upadającej służbie? Wszędzie obecna, ale niewidzialna i niezaangażowana, możliwa do zastąpienia przez wiele innych kobiet? Słyszałam, jak pan Holyrod robił służącym wykład o godności ich powołania, ja jednak nie widziałam żadnej godności w byciu niewidzialną. W nieustannym powstrzymywaniu swoich pragnień, poglądów i praw.

Stół piknikowy został zastawiony błyszczącym srebrem, błękitnymi talerzami zdobionymi akwafortą, nakryty belgijskimi obrusami i udekorowany kryształowymi misami pełnymi ciętych peonii – chociaż pola pokrywały kwitnące słoneczniki. Zestawienie tej wytworności z wiejskim pejzażem wydało mi się niestosowne. Państwo Carnegie i ich goście cieszyli się naturą jakby zza szyby. Jakby szum wiatru i bzyczące much nie mogły przeniknąć do ich świata.

Znów usłyszałam grzmot. Głośniejszy. I bliższy. W końcu nie dało się go już dłużej ignorować.

– Myślicie, że to burza? – spytała zdenerwowana jak zwykle pani Pitcairn.

Wszyscy unieśli wzrok ku niebu. Na północy było już ciemne. Pani Carnegie zerknęła na mnie, a w jej oczach zobaczyłam strach. Mimo obsesyjnego planowania tego nie przewidziała. Wydało mi się to niewiarygodne, biorąc pod uwagę częstotliwość opadów w Pittsburghu.

Jowialny jak zawsze pan Jones oznajmił:

– To minie. Póki co skierujmy naszą uwagę ku temu pysznemu deserowi. Czy to beza?

Słysząc było podzwanianie kryształowych kieliszków i srebrnych sztuców uderzających o porcelanę. Zebrani wrócili do jedzenia, jakby sądzili, że burza przejdzie tylko dlatego, że ją ignorują. Pan Carnegie dalej prowadził przyjemną konwersację z panną Atkinson. Ochłodzenie stosunków między nimi, które

zaobserwowałam w lutym, zdawało się odchodzić w przeszłość. Podśłuchałam rozmowę sąsiadek o tym, że panna Atkinson kształciła się za granicą, jednak z tego, co słyszałam, jej komentarze ograniczały się do plotek i uwag na temat stroju pana Carnegiego i nie dostrzegałam w nich śladów głębszej refleksji czy erudycji. Wiedziałam już też, co on sądzi o jej poglądach politycznych.

Z zaciśniętych zazwyczaj ust panny Atkinson dobył się chichot. Śmiała się z żartu pana Carnegiego, trzymając go za ramię, jakby potrzebowała go, by nie stracić równowagi. Z niejasnych przyczyn ich konwersacja mnie irytowała. Czy to dlatego, że wiedziałam, że pan Carnegie zdolny jest do poważniejszej rozmowy? Czy sądziłam, że panna Atkinson nie zasługuje na jego uwagę?

Za plecami piknikowiczów rozległ się głośny grzmot i rozżarzona błyskawica uderzyła w pobliski zagajnik. A ulewa jakby tylko czekała na ten znak.

Wzięłam panią Carnegie pod rękę i zaprowadziłam do powozu, po czym zajęłam się pozostałymi paniami. Chichocząc nerwowo, chwytaly się mnie, gdy upychałam sześć kobiet do czteroosobowego powozu. Pan Carnegie wcisnął taką samą liczbę mężczyzn do powozu wynajętego specjalnie na tę okazję. Pan Holyrod i reszta służby zaczęli zbierać widelce, spodeczki i wszystko, co wpadło im w ręce, aż wóz ogrodnika wypełnił się po brzegi naczyniami, meblami i mokrymi, rozczochranymi służącymi.

Woźnica próbował uspokoić konie, gdy niebo przecięła kolejna błyskawica. Zaczekali jeszcze chwilę, żebyśmy wsiedli z panem Carnegiem do któregoś z powozów, jednak konie poderwały się do galopu. Zresztą i tak nie było już dla nas miejsca.

Kiedy pan Carnegie dał woźnicy sygnał, żeby ruszali, usłyszałam, jak pani Carnegie woła przez okno:

- Nie odjeżdżajcie bez Andra!
- Ukryjemy się gdzieś. Przyślijcie po nas wóz!

Gdy konie ruszyły galopem przez łąkę, rozejrzeliśmy się w poszukiwaniu schronienia. Zagajnik, który chwilę wcześniej rozświetliła błyskawica, wydawał się

najlepszym miejscem. Na próżno zakrywając głowy dłońmi, by zasłonić się przed gwałtownym deszczem, ruszyliśmy biegiem przed siebie.

Duże liście drzew chroniły nas przed deszczem, a półkolisty kształt zagajnika zapewnił osłonę przed nasilającym się wiatrem. Pan Carnegie zdjął marynarkę i rozłożył ją na ziemi. Gestem wskazał mi, bym na niej usiadła.

– Dziękuję, ale nie mogę.

– Nalegam. Nie mogę pozwolić, by dama zniszczyła sobie sukienkę.

– Naprawdę nie trzeba, sir. To strój służebny, nie droga suknia. A choć doceniam komplement, nie jestem damą, lecz ledwie jej służącą.

Znów wskazał na swoją marynarkę, nie pozostawiając mi wyboru. Usiadłam. Odmowa byłaby równoznaczna ze zlekceważeniem prośby pracodawcy, co mogło się skończyć zwolnieniem, a co gorsza – wpisaniem na listę pani Seeley. Z drugiej strony, pan Carnegie nie sprawiał wrażenia człowieka, który byłby gotowy mnie na nią zgłosić.

Siadając na wilgotnej trawie obok mnie, powiedział:

– Jest pani damą, panno Kelley. Żadna ze znanych mi kobiet nie jest równie pełna wdzięku w swoim zachowaniu ani równie wysmakowana w myśleniu.

Jego słowa mnie zszokowały. Wiedziałam, że powinny mnie też obrazić. Albo przynajmniej obudzić podejrzenia: dorastając, słyszałam wiele historii o panach z zamku Martynów, którzy wykorzystywali swoje służące. A jednak jego komplement mnie wzruszył. Choć nikt nigdy wcześniej nie nazwał mnie damą i w duchu cieszyłam się z tego określenia, szczególnie pochlebiał mi jednak komentarz o inteligencji. Tata zawsze mówił mi, że duma z własnej błyskotliwości doprowadzi mnie kiedyś do zguby, choć on tę moją błyskotliwość pielęgnował.

Zamiast jednak wypowiedzieć swoje myśli na głos, powiedziałam to, czego oczekiwano od służącej:

– Nie powinien pan mówić takich rzeczy, sir. To niestosowne.

Towarzyski, pewny siebie Andrew Carnegie zarumienił się. Głęboki róż na jego policzkach rozszerzał się niczym pożar, kontrastując z miedzianymi włosami.

– Przepraszam, jeśli zachowałem się niestosownie, panno Kelley. Wyraziłem się zbyt bezpośrednio, zapominając, że przyzwyczajona jest pani do znacznie bardziej dystyngowanego towarzystwa niż świat szkockich tkaczy, z którego ja pochodzę. Wciąż uczę się właściwego zachowania w tym elitarnym środowisku, a to nie jest dla mnie łatwe.

Miałam wrażenie, że nie opisuje siebie, lecz mnie. Byliśmy bardzo podobni.

Spróbowałam wyjaśnić swoją uwagę.

– Moje ostrzegawcze słowa nie wynikają z przekonania o naszym odmiennym pochodzeniu, lecz o naszych odmiennych pozycjach dzisiaj. Komplementy, którymi mnie pan obdarzył, powinny być skierowane raczej do dam z państwa kręgu towarzyskiego, jak panna Atkinson, nie do służącej, która pracuje w państwa domu.

Przez dłuższą chwilę zdawał się zastanawiać nad tym, co powiedziałam.

– Rozumiem pani obawy, panno Kelley, jednak damy, które znam, są jak błyskotki pozbawione głębi. Zwłaszcza ich wiedzy brakuje uczucia i przenikliwości. Mam tu na myśli przede wszystkim pannę Atkinson. – Przerwał i znów się zarumienił. – To różni je od pani.

Zamilkliśmy, niepewni, na ile otwarcie możemy zachowywać się wobec siebie w miejscu odmiennym od świata klas społecznych, w którym żyliśmy na co dzień. Od przyjazdu do Ameryki czułam się tak sztucznie, tak niepodobna do siebie, że bycie szczerą przynosiło mi ulgę, choćby była to szczerść niepełna.

– Nie podziękowałam panu właściwie za egzemplarz *Aurory Leigh* – powiedziałam, nie odrywając wzroku od kępki trawy w moich palcach.

– Kolejna niestosowność – odparł.

Zacząłam przeproszać za to, że wcześniej upomniałam go za nieodpowiednie zachowanie, i usłyszałam, że chichocze. Spojrzałam na jego psotny uśmiech i zrozumiałam, że robi sobie ze mnie żarty. Rzuciłam mu karcące spojrzenie, podobne do tych, którymi obdarzałam tatę, gdy ten droczył się ze mną, Cecelią czy

Elizą, i pan Carnegie roześmiał się jeszcze głośniej. A ja nie mogłam się powstrzymać i dołączyłam do niego.

Wszelkie ślady zakłopotania zniknęły. Zrozumiałam, że jego szczere wyznania usunęły barierę, która nas dzieliła. Przez chwilę wydawało mi się, że przynależymy do siebie.

Rozdział 16

8 sierpnia 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

– Rozwiąż sznurek, Claro – poleciła mi pani Carnegie.

Rozsupłując kolejny motek włóczki, poluzowałam łączący nas sznurek. Ostre druty mojej pani stukały o siebie, zagarniając grafitową wełnę i tworząc z niej szalik, który robiła dla swojego ukochanego Andrew.

– Opowiedz mi więcej o ostatnich interesach Thomasa Millera – poprosiła.

Odkąd pan Carnegie godzinę wcześniej wszedł do biblioteki, rozmawiali o Cyclops Iron Company. Pan Miller, Irlandczyk o ognistym temperamencie, który przyjaźnił się ze starszym panem Carnegiem, założył firmę, gdy wykupiono go z innego przedsiębiorstwa – zwanego Iron City Forge – przez pozostałych założycieli, Johna Phippsa, braci Kloman i młodszego pana Carnegiego. Stało się tak na prośbę starszego z braci. Wykup z początku zdenerwował pana Millera, jednak uroczy pan Carnegie szybko naprawił relacje, pomagając stworzyć nową strukturę własnościową zarówno w Iron City Forge, jak i w Cyclops Iron.

Żelazo. Był to powtarzający się temat rozmowy mojej pani z jej synem. Nawet ja wiedziałam, że w czasie wojny zapotrzebowanie na nie było ogromne. Statki wojenne wykładano żelazem, po żelaznych torach kolejowych jeździły wagony z żołnierzami i zapasami, z żelaza robiono broń i amunicję. Z urywków

zasłyszanych rozmów zrozumiałam, że rodzina Carnegiech chciała odgrywać ważną rolę w przemyśle i podejmowała konieczne kroki, by zrealizować te plany.

– Och, matko, znasz Thomasa Millera od lat. W końcu jest moim dobrym przyjacielem. Cóż jeszcze mógłbym dodać? Prawdę mówiąc, nie pamiętam więcej szczegółów o jego innych przedsięwzięciach poza produkcją żelaza – odpowiedział dobrodusznie.

– Andra – ofuknęła go – kiedy miałeś trzy lata, potrafiłeś wyrecytować mi z pamięci wiersz. Sądzisz, że uwierzę, że nie znasz biznesowej historii Thomasa Millera? Że nie jesteś świadom nawet tych pomysłów, które dopiero przyszły mu do głowy? Jesteś po prostu leniwy. Albo coś ukrywasz. Powiedz mi, co się dzieje.

Jego policzki oblały się rumieńcem. Zerknął w moją stronę, by sprawdzić, czy jestem świadkiem jego upokorzenia. Odwróciłam wzrok, jakby włączka w moich dłoniach mnie zahipnotyzowała. Wiedział oczywiście, że tylko udaję, ale nie chciałam pogłębiać jego zawstydzenia.

Powtórzył historię pana Millera w Iron City Forge, opowiedział też o innych przedsięwzięciach przyjaciela przed powstaniem Cyclops Iron. Jego matka miała rację: znał biznesowe poczynania pana Millera w najmniejszych szczegółach. Jaka była przyczyna chwilowego zaćmienia? Związek pani Carnegie z synem był bardzo bliski. Zawsze rozmawiali otwarcie.

Słuchałam ich rozmowy, próbując połączyć ją z tabelą zawierającą odsetki firmy Carnegiech, którą przygotowywałam poprzedniego wieczoru. Często, gdy pomagałam pani Carnegie w szyciu czy robieniu na drutach, jej starszy syn zaglądał do biblioteki, by rozmawiać o sprawach biznesowych. Chciałam być przygotowana na wypadek, gdyby kiedyś poruszył te tematy ze mną. Kto wie, dokąd mogły doprowadzić te dyskusje?

Pani Carnegie nie przerywała robótki. Milczała, co zdarzało jej się rzadko, a ja zaczęłam rozmyślać o liście, który dostałam na początku tygodnia od Elizy. W krótkiej wiadomości napisanej w tajemnicy przed mamą i tatą wyznała, że Martynowie od początku wiosny odbierali nam kolejne części gospodarstwa, już

nie tylko małe kawałki, jak przed moim wyjazdem. Metr po metrze oddawali naszą farmę sąsiadom, powołując się na poglądy polityczne ojca. Wciąż mieliśmy trzy hektary, ale to ledwie wystarczało, by uprawiać różne rośliny. Pensja, którą przesyłałam do domu, nie była już odkładana na czarną godzinę: stała się niezbędną. Byłam chora z bezradności.

Włóczka między nami rozluźniła się, a moja pani przestała pracować. Nabrała gwałtownie powietrza i już wiedziałam, że zamierza wydać swojemu starszemu synowi rozkaz pod postacią empatycznej porady, ale w tym samym momencie do biblioteki wszedł młodszy pan Carnegie.

Jasnowłose dwudziestoletni mężczyzna minął regały, które mieściły nie tylko oprawione w skórę tomy, ale też skrytki na dokumenty i szuflady na gry, po czym usiadł na krześle naprzeciwko matki. Nawet nie zerknął na brata. Jego twarz przyjmowała zazwyczaj łagodny wyraz, który skrywał inteligencję i życzliwość zarezerwowaną dla kilku bliskich przyjaciół. Teraz nie było w niej jednak nic pogodnego.

– Czyżbym słyszał, że mówicie o Cyclops Iron i Iron City Forge? – zapytał moją pracodawczynię, kierując swoje pytanie jedynie do niej.

Rzuciła starszemu synowi niemal niedostrzegalne spojrzenie.

– Właśnie kończymy. Rozmawialiśmy tylko o drobiazgach. O niczym, czym musiałbyś się przejmować.

– Matko, dziwię się, że opisujesz moją troskę o mój dość znaczny wkład w Iron City jako coś, „czym nie muszę się przejmować”. – Głos mu drżał, nie byłam pewna, czy z nerwów, czy ze złości. Jego zachowanie mnie zszokowało.

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiedziała z ostrożnością, której nie zauważyłam wcześniej.

– Andrew z pewnością mówił ci, że postanowił zainwestować w Cyclops Iron Company Toma Millera? To przedsiębiorstwo, które będzie rywalizować z moją firmą Iron City Forge o wszystkie duże kontrakty. – Młodszy pan Carnegie był tak wściekły, że omal nie przewrócił krzesła, wstając, by nalać sobie whiskey.

Sądziłam oczywiście, że młodszy pan Carnegie się myli. Jedną z cech, które podziwiałam w jego starszym bracie, była lojalność wobec rodziny.

Na twarzy mojej pani przez moment błysnęło zaskoczenie.

– Tomie, czy nie za wcześnie na drinka? – niemal warknęła.

– Mamo, nie zmieniaj tematu.

Starszy pan Carnegie uniósł się z kanapy:

– Nie mów tak do matki, Tomie.

Młodszy pan Carnegie zwrócił się do brata po raz pierwszy, odkąd wszedł do pokoju.

– Ciekawe, Andrew, że odgrywasz świętoszka, kiedy twoje stopy zanurzone są w błocie twoich brudnych interesów.

Omam nie krzyknęłam, słysząc tak mocne oskarżenie. Nigdy wcześniej nie widziałam między braćmi nic prócz solidarności. Oczywiście prym zawsze wiódł starszy pan Carnegie.

– Bzdury. Tomie. Czy jesteś pewny, że to twój pierwszy drink dzisiaj?

Bracia zbliżyli się do siebie, niemal stanęli twarzą w twarz, co dodatkowo podkreślało niski wzrost starszego z nich. To go jednak nie onieśmiało, nawet gdy jego młodszy brat wyprostował się, chcąc spojrzeć na niego z góry. Oczywiście Andrew Carnegiego rozbłysły gniewem, którego nigdy wcześniej u niego nie widziałam, pomyślałam jednak, że sama byłabym zła, gdyby ktoś z mojej rodziny oskarżył mnie o oszustwo. Czy byłam hipokrytką? Nie wyznałam przecież rodzinie całej prawdy o mojej sytuacji.

– Twój wstrętny sekret wyszedł na jaw. Wiem, że zaplanowałaś przejęcie Cyclops Iron – powiedział ze złością Tom. – Wiem też, co zrobisz z moimi udziałami w Iron City Forge. Ty też wiesz.

– Z twoimi udziałami? Kto ci je zafundował, Tomie? – Twarz starszego pana Carnegiego znów się zaczerwieniła, choć tym razem powodem był nie wstyd, lecz złość.

– Nieważne, skąd wzięły się pieniądze, udziały są moje. A będą warte znacznie mniej, kiedy Cyclops Iron zacznie rywalizować o te same kontrakty co Iron City Forge.

Pani Carnegie odłożyła druty i sięgnęła ku mojej dłoni. Chciała stanąć między dwoma ukochanymi synami i zakończyć ich kłótnię. Pomogłam jej wstać, po czym odsunęłam się, czując się jak intruz w ich prywatnym świecie. Moja pani nie pozwoliła mi jednak wyjść, a – mówiąc szczerze – sama chciałam się dowiedzieć, kto wygra tę bitwę.

Oczy starszego pana Carnegiego zwięzły się w szparki.

– Tomie, zastanów się. Dlaczego miałbym szkodzić własnym udziałom w Iron City Forge? Może mam w głowie większy plan? Taki, który przyniesie korzyść zarówno Cyclops Iron, jak i Iron City Forge? Który przyniesie korzyść całej naszej rodzinie?

Pani Carnegie otworzyła usta, jakby chciała się wtrącić, jednak zaraz je zamknęła. Woląca zobaczyć, jak zareaguje jej młodszy syn. Ja zresztą też. Ku mojemu zdziwieniu wyglądało na to, że starszy pan Carnegie miał na koncie nie tylko nieuczciwe zachowanie wobec brata, ale też matactwo. Czy można je było usprawiedliwić wyższym dobrem rodziny? Tak przynajmniej sądziła pani Carnegie.

Młodszy pan Carnegie długo nie odpowiadał, tylko pił drinka i wpatrywał się w brata.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? – zapytał wreszcie.

Twarz starszego pana Carnegiego zbladła na te słowa i – przysięgam – dostrzegłam w kącikach jego oczu łzy. Czy była to kolejna manipulacja?

– Dlaczego mi nie wierzysz, Tom? Odkąd przybyliśmy do Pittsburgha z Dunfermline, gdy miałeś zaledwie pięć lat, opiekowałem się tobą. Jak możesz wątpić w moje zamiary?

Młodszy pan Carnegie odpowiedział z wściekłością w oczach:

– Zapomniałeś już, że pracuję dla tej rodziny od czternastego roku życia? Owszem, opiekowałem się mną, kiedy byłem dzieckiem i zaczynałem jako twój

asystent, Andrew, ale teraz jestem dorosłym mężczyzną o reputacji bystrego, godnego zaufania biznesmena. Takiego, który naprawia czynione przez ciebie szkody.

– Przykro mi, Tomie. Wybacz starszemu bratu, który czasem zapomina, że nie jesteś już chłopakiem, lecz mężczyzną – przeprosił Andrew, choć w jego głosie wyczułam nutę protekcjonalności.

Pan Carnegie chciał coś dostać od młodszego brata i zamierzał powiedzieć wszystko, byle to otrzymać. Rozpoznałam to, ponieważ również potrafiłam to robić, zwłaszcza teraz, gdy stawką był los mojej rodziny. Nie sądzę jednak, żebym była zdolna do okłamywania i wykorzystywania swojej rodziny w tym celu, nawet dla ich dobra.

Po krótkiej przerwie pan Carnegie powiedział:

– Masz rację. Twoja reputacja jest nieskazitelna, a ja w pełni polegam na tobie w interesach. Mam nadzieję, że moje bezmyślne słowa nie odwiodą cię od tego planu. Chciałbym, byś tego dopilnował.

Młodszy pan Carnegie nieco złagodniał, wciąż jednak mrużył podejrzliwie oczy.

– Co to za plan, Andrew?

Przez twarz pana Carnegiego przemknął bezwzględny błysk, a ja dostrzegłam silnego, zdeterminowanego mężczyznę, który krył się pod przyjazną maską.

– Pomagam Tomowi Millerowi tworzyć Cyclops Iron i inwestuję w tę firmę tylko po to, żeby połączyć ją z Iron City Forge i stworzyć wielki koncern, który teraz zaspokoi wojenne zapotrzebowanie na metal, a następnie będzie go dostarczać podczas powojennej odbudowy i rozwoju, co bez wątplenia nastąpi. Większość udziałów znajdzie się w rękach rodziny Carnegiech. A ty będziesz u steru.

Oczy młodszego pana Carnegiego otwarły się szeroko.

– Nie próbuj sprzedać mi kota w worku, Andrew.

Pan Carnegie zarechotał.

– Nie okłamałbym cię w tej sprawie. Jesteś moim koniem trojańskim w Iron City Forge. Gdy nadejdzie właściwy moment, razem przejmujemy Iron City i dokonamy fuzji z Cyclops. Będziemy właścicielami wielkiej firmy, która opanuje rynek żelaza, i uczyni wszystkie małe przedsiębiorstwa częścią naszego molocha.

Zanim jednak młody pan Carnegie zdążył się odezwać – by przeprosić czy może złościć się dalej – wtrąciła się jego matka.

– Widzisz, Tom? Andra zawsze chce dla ciebie jak najlepiej.

Nie powiedziała ani słowa o machinacjach, którym starszy syn poddał młodszego, by było mu „jak najlepiej”.

– Matko, jeśli to prawda, dlaczego nic mi nie powiedział? Dlaczego muszę wysłuchiwać plotek od braci Kloman?

Zaskoczenie, które chwilę wcześniej pojawiło się na jej twarzy, sugerowało, że moja pani nic o tym planie nie wiedziała i chętnie zadałaby podobne pytanie. Nie zamierzała jednak się do tego przyznać i tym samym zerwać sojuszu ze swoim starszym synem. Kiedy nie odpowiedziała, wtrącił się Andrew:

– Ponieważ jesteś taki łagodny. I taki dobry. Nie chciałem kłaść cię ciemną stroną biznesu i kazać ci kłamać, póki umowa nie zostanie zawarta. Popełniłem jednak błąd, zachowując ten plan dla siebie.

– Nie jestem dzieckiem, Andrew, nie potrzebuję opieki. Nie powinienes okłamywać swojej rodziny.

– Przepraszam cię, bracie. Trudno mi się odzwyczaić, od opiekowania się tobą, oczywiście. To będzie długa przeprawa, która obejmuje także oszukiwanie starych przyjaciół. Będzie jednak konieczna, jeśli chcemy przejąć pełną kontrolę nad rynkiem żelazem – powiedział i wyciągnął do brata rękę. – Wybaczysz mi?

Dłoń młodszego pana Carnegiego drżała, gdy ją podawał, bracia uścisnęli sobie jednak ręce i usiedli. Zapadła niezręczna cisza. Po kilku sekundach pani Carnegie również usiadła, a jej druty znów zaczęły o siebie uderzać.

– Tomie, czy zamierzasz złożyć dziś wizytę panie Coleman? – zapytała, jakby nic się nie wydarzyło:

Młodszy pan Carnegie patrzył na matkę, nie mogąc uwierzyć, że właśnie w tym momencie postanowiła zapytać go o jego rodzący się związek z córką magnata rynku żelaza Williama Colemana.

Bezpośredniość mojej pani niespecjalnie mnie zdziwiła. Po prostu przypominała swojemu młodszemu synowi o obowiązku wobec rodziny: jego małżeństwo przysłużyłoby się misji Carnegieh chcących kontrolować rynek żelaza. Pragnęła, by wszyscy dobrze wiedzieli, jaką zajmują pozycję i czego się od nich oczekuje. W pewnym sensie pani Carnegie była równie nieubłagana jak jej starszy syn.

Druty przestały się poruszać, gdy zauważyła wyraz twarzy młodszego syna.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? Andra wszystkiego za nas nie robi. Każde z nas ma swoją rolę do odegrania. – Jej głos był twardy i nieustępliwy. – Claro, napnij tę włóczkę – warknęła do mnie, przypominając mi, że ja też odgrywam swoją rolę i że powinnam robić to jak najlepiej.

Rozdział 17

8 sierpnia 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Po scenie, której byłam świadkiem w bibliotece, musiałam odpocząć od intryg Fairfield. Zamiast zająć się cerowaniem w saloniku pani Stewart, gdzie byłabym narażona na jej nieprzyjemne towarzystwo, minęłam czyszczącą żyrandole w jadalni Hildę i przez drzwi dla służby wyszłam przez kuchnię na zewnątrz. Pan Ford był na szczęście w piwnicy po warzywa na kolację – inaczej bym się nie odważyła. Jego oczy były życzliwe, ale uważne, a ja za bardzo przejmowałam się jego opinią na swój temat, by pozwolić mu złapać się na kłamstwie, zwłaszcza po tym, jak nasłuchiwałam się tyłu z ust starszego pana Carnegiego.

Kiedy znalazłam się na zewnątrz, oparłam się o tylną ścianę domu Carnegiech i odetchnęłam. Czy odważyłabym się jeszcze bardziej wyjść poza zasięg panowania pani Carnegie? Na dłużej? Nie chciałam narażać swojej pracy – moja rodzina liczyła na mnie bardziej niż kiedykolwiek – jednak tylne podwórko rezydencji Carnegiech nie było bardzo daleko.

Okrążyłam posiadłość Fairfield i ruszyłam wzdłuż Reynolds Street, w stronę małego rzędu sklepików, który rozciągał się w centrum Homewood. Swoją obecność na głównej ulicy mogłam wytłumaczyć załatwianiem spraw pani Carnegie, ale gdybym z niej zeszła, nie miałabym już żadnej wymówki. Zerkając

za siebie, by sprawdzić, czy nie śledzą mnie jakieś znajome twarze, skręciłam z Reynolds Street w stronę pobliskiego parku, przestrzeni, która w połowie była ogrodem rzeźb, a w połowie – ziemią uprawną.

Gdy minęłam bramę, powitało mnie bogactwo drzew. Wiśnie i jabłonie rywalizowały o moją uwagę z klonami, lipami i wiązami. Obok nich rosły kwiaty we wszystkich niemal odcieniach. Na leżącej odłogiem ziemi poza granicami wypielęgnowanych parkowych trawników ujrzałam krowy i kozy, a ich odgłosy przypomniały mi dom. Czy kiedyś jeszcze zobaczę Galway? Jakie życie czekałoby tam na mnie po powrocie, zwłaszcza teraz, gdy lord Martyn odbiera nam gospodarstwo? Ale jakie życie czekało mnie tutaj, na służbie u Carnegiech? Zamyśliłam się i posmutniałam.

Przy wijącej się żwirowej drodze stała ławka. Czułam, jak mnie do siebie przyciąga. Rozejrzałam się po parku, by upewnić się, że nikt nie jest świadkiem mojego leniuchowania, i usiadłam. Zza zasłony chmur wyłonił się promień słońca. Zamknęłam oczy, rozluźniając się trochę i raz po raz powtarzając w myślach te same pytania.

Usłyszałam czyjeś kroki, jednak nie zwracałam na nie uwagi, dopóki nie stały się bliskie. Kiedy już miałam wstać, mężczyzna usiadł na ławce obok mnie. Był to starszy pan Carnegie. Wyprostowałam się, chcąc odejść, on jednak powstrzymał mnie gestem.

– A więc odkryła pani moją ulubioną kryjówkę, panno Kelley. – Był miły, jakby scena w bibliotece w ogóle się nie wydarzyła.

– Przepraszam, że się do niej wdarłam, sir – wydukałam, próbując zdecydować, czy powinnam bronić swojej obecności tutaj, czy od razu się obwinić. Pan Carnegie znowu zastał mnie w miejscu, w którym nie powinno mnie być, a ja nie mogłam po raz kolejny liczyć na jego dyskrecję. Zwłaszcza teraz, kiedy wiedziałam już, do czego jest zdolny, by osiągnąć swój cel.

– Nic nie powiem, jeśli i pani będzie milczeć, panno Kelley.

– Nie wiem, czy dobrze pana rozumiem.

– Przepraszam za swą śmiałość, sędzę jednak, że oboje ukrywamy się przed tą samą osobą. Moją matką.

Wyprostowałam się. Czyżby pani Carnegie widziała, jak wychodzę z domu i wysłała za mną syna, żeby mnie sprawdzić? Być może zachowałam się bezczelnie, wychodząc z domu, zamiast wypełniać swoje obowiązki, ale nie byłam na tyle głupia, by wpaść w pułapkę i zacząć oczerniać swoją panią.

– Służenie pańskiej matce to dla mnie przyjemność, sir. Jestem wdzięczna za możliwość pracy i nie chciałabym, by kiedykolwiek pomyślała, że się przed nią ukrywam.

Pan Carnegie wydał się urażony.

– Myślałem, że się na coś umawialiśmy, panno Kelley. Na to, że w tym dziwnym świecie, w którym żyjemy, łączy nas szczerść.

Szczerść? To ciekawa uwaga w kontekście wszystkich forteli, których byłam właśnie świadkiem. Chociaż wyczuwałam między nami pewne podobieństwo podczas naszych kilku spotkań poza Fairfield, nie był bynajmniej uosobieniem uczciwości, a i ja nie byłam z nim w pełni szczerą. Swoją prawdziwą tożsamość ukryłam, zmieniając się w inną Clare Kelley. Szczerze dzieliłam się z nim jedynie niektórymi opiniami i emocjami, nie swoją biografią. W każdym razie pełna uczciwość wymagałaby ode mnie w tym momencie przyznania, że uciekam nie tylko przed jego matką, ale także przed nieuczciwymi manipulacjami, którym poddał swoją rodzinę. Zdumiał mnie sposób, w jaki zbałamucił jednocześnie matkę, brata i bliskiego przyjaciela.

Byłam zbyt nieufna, by odpowiedzieć.

– Przykro mi, że musiała być pani świadkiem nieprzyjemnej rozmowy z moim bratem. I przy okazji zobaczyć mnie i moją matkę z tej strony. Gdyby wiedziała pani więcej o naszej historii, być może nie oceniałaby pani nas, zwłaszcza mojej matki, tak surowo.

– Nie oceniam pańskiej rodziny surowo, sir – wtrąciłam, choć w tym momencie to moja opinia o nim podlegała presji.

– Jestem pewien, że nasza popołudniowa rozmowa musiała pozostawić niesmak. Czy pozwoli mi pani wyjaśnić?

Pokiwałam głową.

– Oczywiście, sir. Chociaż nie jest mi pan nic winien.

– Gdy wyjechaliśmy z Dunfermline w 1848 roku, miałem dwanaście lat, a Tom cztery. Był jasnowłosym dzieckiem o pięknych, czarnych oczach. Nie byliśmy zamożni. Mój ojciec był tkaczem, a konkretnie zajmował się produkcją adamaszku, co uczyniło go królem w naszym mieście. Przemysł jednak całkiem odmienił jego profesję, a on nie potrafił się dostosować. Być może nie chciał, bo jego nowe stanowisko byłoby niższe. Matka robiła, co mogła, żeby nas utrzymać – za dnia prowadziła cukiernię, a nocami naprawiała buty, kiedy ojciec siedział obojętnie w naszym domu, wpatrując się w swoje puste krosno. Nie starczało nam nawet na jedzenie i buty. Moja ciotka osiadła w Pittsburghu i matka uznała, że tu będzie nam łatwiej. Udało nam się uciuć pieniądze na podróż. Zostawiliśmy za sobą szlak długów, które do tej pory udało się nam spłacić. Przyjechaliśmy do najbardziej zatechłej części Pittsburgha, a nasi krewni pracowali tu w odlewniach. Ojcu się nie poprawiło. Wyglądało na to, że czuje się coraz gorzej: spędzał całe dni, wpatrując się w dal, a matka próbowała utrzymać rodzinę, znów naprawiając buty. Nie przeżylibyśmy, gdyby nie ona. Była naszą bohaterką. Ojciec zmarł w pierwszym roku naszego pobytu tutaj.

– Moje kondolencje – powiedziałam.

– Dziękuję, panno Kelley. Tak naprawdę ojciec opuścił nas znacznie wcześniej. Obowiązek utrzymania rodziny, w tym Toma, spadł na mnie, choć matka wciąż zarabiała, pracując nocami. I tak już zostało, choć dzisiaj Tom pomaga w różnych firmach, w które zainwestowałem. Nie jest to usprawiedliwienie dla tych posunięć, o których dziś pani słyszała, mam jednak nadzieję, że to, co mówię, zapewnia jakiś kontekst. Matka jest zdeterminowana, nie chce już nigdy więcej zaznać biedy. Ja również. Nie zapominam o swoich obowiązkach wobec nich. – Przerwał, a oczy zaszklily mu się, jakby przypomniawszy sobie te trudne czasy.

– To musiał być dla pana wielki ciężar.

Otrząsnął się z zadumy i spojrzał na mnie.

– Wielu nosi cięższe brzemie. I tak miałem szczęście. Od razu dostałem pracę w przędzalni bawełny, byłem chłopcem podającym tkaczkom szpule, potem zająłem się doglądaniem silników parowych.

– Przeszedł pan daleką drogę.

– To praca posłańca, o której mówiłem pani w pociągu, naprawdę otworzyła przede mną wiele drzwi. Korzystałem z każdej możliwej okazji, żeby nigdy więcej nie pracować, chodząc po brudnej podłodze fabryki – oświadczyłem, a jego usta skrzywiły się mimowolnie.

– Czy mogę spytać, jakie to były okazje?

– Szybko awansowałem z posłańca na operatora telegrafu w O'Reilly Telegraph. Tam postarałem się, by być najlepszym i najszybszym z pracowników. Robiłem to nie tylko dlatego, żeby awansować czy dostać podwyżkę, ale też po to, by najważniejsi biznesmeni Pittsburgha pytali o mnie, gdy chcieli wysłać czy odebrać wiadomość.

– Jak się to panu udało?

– Mówiłem już o tym, że zapamiętałem układ ulic i dostarczałem telegramy szybko, niezależnie od pogody. Zawsze jednak starałem się dostarczyć coś więcej, nie tylko telegram. W biurze miałem notes, w którym zapisywałem wszystkie interesujące informacje biznesowe. Powoli zaczynałem rozumieć, jak wygląda przemysłowa i biznesowa społeczność Pittsburgha. Przekazując telegramy, dzieliłem się więc z biznesmenami tym, czego dowiedziałem się o transakcjach i powiązaniach firm. Poznali mnie, moją inteligencję i etykę pracy. Szybko zaczął się mną interesować kierownik działu Pennsylvania Railroad Thomas Scott. A kiedy zlecił budowę linii telegraficznej wzdłuż torów kolejowych z Filadelfii do Pittsburgha na prywatny użytek kolei, tak by móc lepiej planować przejazdy pociągów ze wschodu na zachód po jednym torze, zatrudnił mnie jako swojego osobistego operatora. W ciągu kilku miesięcy stałem się jego sekretarzem

i głównym asystentem. Dzięki temu nauczyłem się niemal wszystkiego o branży kolejowej, a pracowałem najciężej ze wszystkich, by udowodnić, że jestem niezbędny.

Niezbędność. Ja chciałam, by pani była przekonana o mojej. Znowu okazało się, że jesteśmy do siebie podobni: łączyły nas te same pragnienia, choć miałam nadzieję, że nie zasady moralne. Najwyraźniej nie rozumiał, że jego postępowanie – czy to dzielenie się poufnymi informacjami z prywatnych telegramów w młodości, czy oszukiwanie młodszego brata i matki dzisiaj – jest etycznie wątpliwe. Dopóki udawało mu się osiągać swoje cele, dopóty oceniał swoje zachowanie pozytywnie. Czy jednak mogłam twierdzić, że sama mam niewzruszone zasady moralne, skoro codziennie kłamałam?

Na jego twarzy pojawił się szeroki, pełen dumy uśmiech. Wyglądało na to, że cieszy się, iż może podzielić się ze mną opowieścią o swojej drodze na szczyt, zbyt mało wyrefinowanej, by mógł opowiadać ją w eleganckim towarzystwie. A może zbyt sekretnej, żeby to robić? Kiedy jednak spojrzał mi w oczy, odgadł moje myśli i jego uśmiech zniknął.

– Dla pani wszystko to z pewnością brzmi prostacko. Pani wychowywała się w dystyngowanym środowisku.

– Rozmawialiśmy już chyba o tym, że pana przekonanie o wyrefinowaniu mojego domu rodzinnego jest błędne. Jeśli czegoś mi nie brakowało, to wiedzy. A teraz muszę sama się utrzymywać, wspierając jednocześnie swoją rodzinę. Dokładnie tak samo jak pan. – Nie miał pojęcia, jak wiele nas łączyło. I jak mu zazdrościłam.

Uśmiechnął się znowu, tym razem inaczej, bardziej tajemniczo.

– A więc pani rozumie.

W moim umyśle pojawiła się wtedy szelmowska myśl, jeszcze nie w pełni ukształtowana, być może absurdalna. Zwłaszcza że byłam kobietą. Myśl ta wyrywała się jednak na zewnątrz.

Nim zdążyłam się powstrzymać, zastanowić nad implikacjami moralnymi
mojego pytania, wypowiedziałam je:

– Jak pan to zrobił? Jak odmienił pan swój los?

Rozdział 18

24 listopada 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Jeśli oczekiwałam szablonu, on mi go nie zapewnił. Moje pytanie sprowokowało jednak odpowiedź udzielaną przez wiele kolejnych popołudni. Kiedy tylko pan Carnegie był w ciągu dnia w Fairfield – a nie w swoim biurze czy w podróży – podczas popołudniowego odpoczynku mojej pani spotykaliśmy się w parku na tej samej ławce. Tam, w trzydziestominutowych odcinkach oferował mi nadzieję. Dla mnie i mojej rodziny.

Wiedziałam, że moja przyszłość nie będzie już taka sama. Jeśli jednak biedny imigrant ze Szkocji mógł znaleźć drogę do sukcesu, być może ja też mogłam. Zaczęłam w to wierzyć, choć byłam kobietą, a pięcie się po drabinie społecznej hierarchii udawało się jedynie mężczyznom. I to dopiero od niedawna.

Słuchałam. I się uczyłam.

Pracując najciężej ze wszystkich, wciąż na usługach Thomasa Scotta, pan Carnegie wspinał się w hierarchii służbowej Pennsylvania Railroad, aż dotarł na swoje obecne stanowisko – kierownika działu, który był odpowiedzialny za cały ruch kolejowy w zachodniej Pensylwanii. Lubił powtarzać, że jak na chłopaczka ze Szkocji nie było to byle co. Jego prawdziwy sukces nie polegał jednak tylko na pokonywaniu kolejnych szczebli korporacyjnej drabiny, ale na inwestowaniu w inne firmy, co stanowiło dla niego nowość. Dla mnie zresztą też.

– Co ma pan na myśli, mówiąc o inwestowaniu, panie Carnegie? Czy chodzi o dawanie pieniędzy założycielowi firmy? O pożyczki?

Podczas tych popołudni spędzonych razem w parku zaczęliśmy rozmawiać otwarcie, a pan Carnegie nie tylko tolerował moje pytania o zasady biznesu, ale nawet zachęcał do ich zadawania. Podobała mu się zarówno rola nauczyciela i mówcy, jak i wolność dzielenia się swoimi przemyśleniami i radami, tak różna od formułowania sprecyzowanych sądów, którymi brylował przed znajomymi z towarzystwa i w pracy.

– Nie, panno Kelley. Inwestycja nie jest pożyczką, choć banki i osoby prywatne pożyczają pieniądze firmom. Inwestycja to możliwość wykupu udziałów w firmie. W ten sposób nabywa się kawałek przedsiębiorstwa. Kiedy firma dobrze sobie radzi, współwłaściciel otrzymuje zapłatę, którą nazywa się dywidendą. To pieniądze za nic. – Roześmiał się. – Coś niesamowitego.

Ja również się zaśmiałam. Pochodziłam ze świata, w którym zarobek zależał od pracy własnych rąk – chyba że było się arystokratą – rozumiałam więc niedowierzanie, gdy myślało się o pieniądzach generujących bez wysiłku kolejne pieniądze. Tata byłby zszokowany tym pomysłem, bez trudu więc mogłam wyobrazić sobie podobną reakcję pana Carnegiego, kiedy dziesięć lat wcześniej pan Scott zaoferował mu pożyczkę na zakup dwóch akcji Adams Express Company, które udostępniono wszystkim pracownikom Pennsylvania Railroad jako *quid pro quo* za lukratywną umowę zawartą właśnie z Adam Express. Niespełna miesiąc później pan Carnegie otrzymał swój pierwszy czek na dywidendę wynoszącą dziesięć dolarów.

Poinformował mnie, że był to czek pierwszy z wielu. Z początku pan Carnegie dokonywał niewielkich inwestycji, opierając się na rekomendacjach pana Scotta. Potem jednak stworzył własną metodologię: inwestować nie tylko w firmę, lecz także w grupę zaufanych ludzi; inwestować wyłącznie w firmy przez siebie zbadane; inwestować w firmy zapewniające takie produkty i usługi, na które zapotrzebowanie rośnie. Najważniejszym czynnikiem w jego procesie podejmowania decyzji była jednak dogłębna wiedza o firmie i prowadzonych przez

nią interesach. Wydało mi się to nielegalne, ale gdy delikatnie zadałam pytanie, czy było to stosowne, pan Carnegie zapewnił mnie o legalności tej praktyki, choć żadne z nas nie rozmawiało o jej etycznej stronie.

Kiedy wybił się na samodzielność, inwestował w firmy naftowe wydobywające ropę bulgoczącą pod ziemią zachodniej Pensylwanii i w przedsiębiorstwa mające umowy z koleją na dostarczanie węgla, drewna i żelaza na budowę mostów, wagonów i torów. O tych umowach wiedział dzięki pracy w Pennsylvania Railroad. Kiedy nalegałam, by zdradził mi nazwy tych firm, podrapał się w głowę i wymienił Pittsburgh Grain Elevator, Western Union i Citizen's Passenger Railway, twierdząc, że jego inwestycji było tak wiele, że wszystkich nie pamięta. Wydało mi się to niewiarygodne, ale z drugiej strony – dlaczego miałyby cokolwiek ukrywać przed zwykłą służącą?

Jak twierdził, kluczem do jego sukcesów były dogłębne badania. Pan Carnegie już wcześniej wychwalał zalety wolnego dostępu, jaki – wraz z innymi pracownikami z Pittsburgha – miał w sobotnie wieczory do prywatnej biblioteki należącej do pułkownika Jamesa Andersona, który zbił fortunę na rynku żelaza. Było w niej czterysta książek. To tam biedny chłopak ze Szkocji uczył się świata amerykańskiego biznesu. To ta biblioteka, jak utrzymywał, zrobiła z niego człowieka sukcesu.

– Co by było, gdyby nie miał pan dostępu do informacji, które znalazł pan w bibliotece pułkownika Andersona? – zapytałam pana Carnegiego. Jeśli nie liczyć tej biblioteki, do której ludzie pracy mogli wchodzić tylko w sobotnie wieczory i jedynie pod warunkiem przedstawienia listu potwierdzającego ich zatrudnienie, nie słyszałam o żadnym podobnym miejscu dostępnym dla wszystkich, chyba że za wysoką opłatą.

– Zaraz wyjaśnię, co bym wtedy uczynił. Kiedy byłem chłopcem, biblioteka pułkownika Andersona otwarta była jedynie dla chłopców i mężczyzn, którzy pracowali fizycznie. Nie obejmowało to pracowników takich jak ja, posłańców czy wykonujących inne nisko płatne zawody. Napisałem więc list do lokalnej gazety,

prosząc pułkownika Andersona, by otworzył swoją bibliotekę także dla „chłopców pracujących”, którzy nie byli robotnikami. Niech pani zgadnie, co się wydarzyło.

– Przekonał go pan.

Pan Carnegie szeroko się uśmiechnął.

– Tak się właśnie stało. Od tego dnia biblioteka pułkownika Andersona otworzyła swoje drzwi dla innych zatrudnionych młodych mężczyzn, dając im, a także mnie, możliwość wypożyczenia jednej książki tygodniowo. W każdy sobotni wieczór zastanawiałem się, które z wielu wspaniałych dzieł powinienem wziąć do domu. Czy inspirującą księgę *Amerykańska przygoda na lądzie i morzu* Paula Allena[7], czy *Praktyczne eseje o pracy w fabryce i innych maszyniach* Robertsona Buchanana? Czy wybrać sentymentalną *Historię Szkocji* Waltera Scotta, czy przydatne wykłady chemiczne Josepha Blacka, a może klasyczną pracę Karola Darwina *Historia naturalna i geologia*? A może właściwym wyborem byłaby książka Alexandre’a Dumasa *Rozwój demokracji*? Doskonale pamiętam, jak stałem przed półkami i czułem się jednocześnie zainspirowany i oszołomiony możliwościami, jakimi dysponowałem. Przez cały tydzień nosiłem wszędzie wybraną książkę i czytałem ją w przerwach od pracy.

– To cudowna opowieść.

– To znacznie więcej niż opowieść, panno Kelley. Nie sposób opisać, jak wielki wpływ miała ta biblioteka na moje życie i na mój sukces. Niemal dosłownie uczyniła mnie tym, kim dzisiaj jestem.

– Z pewnością mnóstwo innych mężczyzn dzieliło z panem to doświadczenie, panie Carnegie, i to panu mogą za to dziękować – pogratulowałam mu. Po czym, nie zastanawiając się, szepnęłam, jakby sama do siebie: – Chociaż ten pana sukces mnie nie zapewniłby dostępu do biblioteki pułkownika Andersona.

– Nie musi się pani przejmować wstępem do bibliotek, panno Kelley. Dobrze pani wie, że może pani czytać wszystko, co znajdzie na naszych półkach w Fairfield. – Widać było, że rozpiera go duma. – Postarałem się, by były tam egzemplarze książek z biblioteki pułkownika Andersona.

Nie myślałam o sobie, ale o ludziach takich jak mój biedny kuzyn Patrick, który nigdy nie miał szansy, by awansować. Gdy dorastał, nie otaczały go książki, a dziś także nie miał do nich dostępu, gdyż biblioteka pułkownika Andersona została zamknięta wraz z nastaniem wojny. Martwiła mnie stagnacja, która dopadła jego i jego rodzinę.

– Panie Carnegie, zadam pytanie teoretyczne. Nie chodzi w nim o mnie, ale o zwykłego człowieka. W jaki sposób zwykły człowiek, kobieta lub mężczyzna, który nie ma możliwości, by trafić do jednej z niewielu ogólnie dostępnych bibliotek, mógłby podnieść swój status? Powiedział pan, że kluczowe dla pana sukcesu były edukacja i lektury.

Wyglądał, jakby uleciało z niego nieco powietrza.

– Podejrzewam, że w takiej sytuacji byłoby mu trudniej. Chociaż wiedza zawarta jest nie tylko w książkach. Samo życie także zapewnia edukację.

– Ale nie taką, o jakiej pan mówił, panie Carnegie – odparłam dość ostro, gdyż niesprawiedliwość losu mnie zezłościła. Uwaga ta wyrwała mi się, nim zdążyłam ją złagodzić, instynktownie zasłoniłam więc usta dłonią. Nie mogłam go zdenerwować. Gdyby ktoś odkrył nasze spotkania, mogłabym stracić pracę. Ryzykowałam zresztą, w ogóle z nim rozmawiając.

Jakby nie zauważył zmiany w moim zachowaniu. Być może życie pełne ostrych dyskusji z matką sprawiło, że nie zwracał na to uwagi.

– To prawda, panno Kelley. Ma pani rację. Być może pewnego dnia uda się coś poradzić na tę niesprawiedliwość.

Spróbowałam zadać pytanie od innej strony, łagodniej, bo odpowiedź była kluczem do mojego awansu.

– A jak udało się zdobyć tak szeroką wiedzę pańskiej matce? Jako kobieta nie miała nigdy dostępu do bibliotek ani do świata biznesu, a jednak widzę, jak konsultuje z nią pan swoje decyzje. Wydaje się pańskim najbardziej zaufanym doradcą.

Milczał chwilę. Czyżbym pozwoliła sobie na zbyt wiele? Osobista służąca pani domu, podobnie jak reszta służby mająca dostęp do rodziny, powinna pozostać nieświadoma tego, co się w tej rodzinie działo.

– Nasza matka zawsze była niezwykle błyskotliwa. Choć nie odebrała formalnego wykształcenia, mój dziadek Morrison, który, jak wspominałem, działał w ruchu czartystów, przekonanych, że należy dopuścić ludzi pracy do parlamentu i poprawić sytuację klas niższych, zachęcał córki do nauki. Gdy dotarliśmy do Ameryki, matka pochłaniała wszystkie książki, które przynosiłem z biblioteki, i wszystkie gazety, które udało jej się znaleźć. Czerpała strzępki informacji zewsząd, byle zrozumieć to nowe miejsce. Ze wszystkich osób, które znam, moja matka uczy się najszybciej.

Być może powinnam wzorować się raczej na mojej pani, nie na panu Carnegiem. Nie mając jednak syna, na którego mogłabym wpływać, męża, któremu mogłabym towarzyszyć, ani pieniędzy, które mogłabym zainwestować, jak miałam podążać tą samą drogą? Jakim cudem kobiecie miałyby się udać społeczny awans?

Pan Carnegie oderwał mnie od tych praktycznych problemów i wyjaśnił swoją strategię, to znaczy sposób, w jaki zamierzał powiązać swoje inwestycje i przedsięwzięcia, by w nadchodzących latach zyskać dominację w przemyśle metalurgicznym. Zakres tej wizji mnie oszołomił i choć wiedziałam, że to niemożliwe, pragnęłam odegrać jakąś rolę w tych ambitnych planach.

– Widzę związki między tymi dziedzinami, panno Kelley. Przewiduję sposoby, które pozwolą mi uczynić je bardziej efektywnymi, bardziej skutecznymi. Był to jedyny powód, dla którego zdecydowałam, że ktoś powinien zająć moje miejsce w wojsku. Wiem, że lepiej przysłużyć się Unii, zwiększając produkcję i zaspokajając zapotrzebowanie na żelazo niż walcząc na polu bitwy.

Miałam wątpliwości, czy przedstawiona przez niego altruistyczna motywacja w pełni usprawiedliwia jego wybór. Wiedziałam już bowiem, że ważną rolę w procesie podejmowania przez niego decyzji odgrywała ambicja. Cieszyłam się jednak, że za poborem nieszczęsnego Irlandczyka do armii Unii nie stały jedynie egoizm i lęk.

W oddali słychać było kościelne dzwony.

– Pańska matka niedługo zacznie mnie szukać, panie Carnegie. Muszę iść.

On również wstał i razem ruszyliśmy krętą dróżką ku parkowej bramie. Powietrze było ciężkie od owadów, które zbudziła z jesiennego odrętwienia zaskakująco dobra pogoda, a jedynym dźwiękiem prócz ich brzęczenia był odgłos naszych kroków po żwirze. Milczeliśmy.

Ku mojemu zaskoczeniu przerwał nagle ciszę, odwracając się ku mnie gwałtownie i mówiąc:

– Czasem wydaje mi się... – Pokręcił głową. – Nie, nie powinienem tego mówić.

– Czego, panie Carnegie?

– Czasem wydaje mi się, że jest pani jedyną osobą na świecie, z którą mogę szczerze porozmawiać. Jedyną, która mnie zna i rozumie.

Czułam się w jego obecności podobnie, chociaż starałam się powstrzymać te emocje. Nigdy wcześniej nie spotkałam mężczyzny, z którym tak wiele by mnie łączyło. Ci, których znałam w Irlandii, byli rolnikami bez wykształcenia, skupionymi na swoich gospodarstwach, a ci o mojej pozycji, których spotkałam tutaj, ulepieni byli z podobnej gliny, tyle tylko, że zamiast o gospodarstwach myśleli o fabrykach i odlewniach. Patrzyłam w niebieskie oczy pana Carnegiego, widząc w nich odbicie własnej twarzy. Zastanawiałam się, czy byłam dla niego tylko lustrem. Osobą, wobec której mógł ćwiczyć opowiadanie swojej historii. Czy może czuł coś więcej.

Zbliżył się do mnie i wyciągnął dłoń. Wiedziałam, że powinnam uważać, jednak pozwoliłam mu wziąć moją. Chociaż oboje mieliśmy na sobie rękawiczki – jego były zrobione z miękkiej, czarnej skóry, moje zaś – używane, z szorstkiej, brązowej bawełny – czułam ciepło jego dłoni.

– Bez przerwy myślę o pani, panno Kelley. Napisałem do pani niezliczone listy, opisujące moje uczucia do pani w ciągu ostatnich miesięcy, wszystkie jednak wyrzuciłem. Zdawały mi się ledwie niezgrabnym wyrazem podziwu i jeśli wolno

mi tak powiedzieć, uwielbienia, które do pani czuję. Czy jakimś cudem... – Przerwał.

Nie byłam pewna, co się wydarzy, nie wiedziałam nawet, co chciałam, żeby się wydarzyło, kiedy usłyszałam znajomy głos.

– Czy to pan, panie Carnegie?

Od razu rozpoznałam głos panny Atkinson. Była to z pewnością najbardziej nieodpowiednia osoba, która mogła zobaczyć nas samych w parku. Wyrwałam mu dłoń, odwróciłam się i szybkim krokiem ruszyłam do parku między gęste gałęzie drzew.

[7] W rzeczywistości autorem książki jest Epes Sargent.

Rozdział 19

28 listopada 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Minęły trzy pełne niepokoju dni i trzy bezsenne noce, a ja wciąż nawet nie spojrzałam na starszego syna mojej pracodawczyni. Gdy zajmowałam się panią Carnegie w jej sypialni, salonie i bibliotece, bez przerwy powtarzałam sobie w myślach słowa pana Carnegiego. Za każdym razem, gdy ktoś wchodził do pokoju czy wyłaniał się zza zakrętu, serce podskakiwało mi w piersi – nie wiedziałam, czy z podniecenia, czy ze strachu. Co godzinę zmieniałam zdanie na jego temat.

Czwartego dnia przyniosłam tacę śniadaniową pani Carnegie do kuchni i wpadłam na panią Stewart, która dowodziła Hildą i Mary podczas codziennych porządków.

– Przepraszam – powiedziałam, dygając lekko.

– Ach, panna Kelley. – Oderwała wzrok od swoich pokojówek, którymi rządziła twardą ręką, ale które traktowała znacznie czulej niż mnie. – Była pani tak zajęta, że nie miałam okazji spotkać pani i wręczyć listu.

Sięgnęła do kieszeni fartucha i podała mi list od mojej siostry. Zastanawiałam się, jak długo go tam nosiła, uświadamiając sobie jednocześnie, że choć nie znajdowałam się pod jej kontrolą, i tak miała nade mną pewną władzę. Zamiast więc zapytać ją o to – co mogłoby jedynie narobić mi kłopotów – powiedziałam:

– Dziękuję, pani Stewart.

Wiedziałam, że za kilka minut powinnam być u pani Carnegie, ale nie mogłam czekać z otwarciem listu. Odkąd dowiedziałam się o stratach, jakie ponosiła moja rodzina, towarzyszył mi ciągły niepokój i po prostu musiałam sprawdzić, czy mama, tata i Cecelia mają się dobrze. Podeszłam do schodów, jednak zamiast wejść prosto do pokoi mojej pani, podreptałam do sypialni dla gości. Zamknęłam za sobą drzwi tak cicho, jak tylko umiałam, i przysiadłam na bogato zdobionej jasnozielonej narzucie.

Nie miałam nożyczek, więc delikatnie rozerwałam kopertę. Nie chciałam uronić ani jednego słowa.

Moja najdroższa siostrze,

pytałaś, dlaczego nie dzieliłam się z Tobą wiadomościami, lecz jedynie pytałam o Ciebie. Miałaś rację, wyczuwając, że coś przemilczałam. Tata nie chciał, bym pisała do Ciebie o tym, co wydarzyło się ostatnio. Zabronił mi wręcz, pozwalając jedynie napomknąć, że straciliśmy część ziemi. Ty i ja nigdy jednak nie miałyśmy przed sobą tajemnic. Jak mogłabym zachować dla siebie coś tak ważnego?

Claro, naszą rodzinę spotkało podwójne nieszczęście. Spełniły się obawy taty. Lord Martyn wykorzystał swoje insynuacje, by całkiem uchylić nam dzierżawę. Twierdząc kłamliwie, że powiązania taty z Fenianami są zdradą, odebrał ziemię. Dużą jej część ponownie przydzielił naszym sąsiadom, uwzględniając nawet apatycznych Malloyów, a resztę przekazał nowym dzierżawcom. Nasze gospodarstwo przepadło.

Nie jest to jednak jedyne nieszczęście, choć to drugie z niego wyrasta. Kiedy Daniel dowiedział się, że dzierżawa ustała, zerwał nasze zaręczyny. Teraz, gdy nie obowiązuje już dawna sukcesja, jako młodszy syn nie dostanie nic od swojego ojca. Musi poślubić dziewczynę, która wniesie mu w posagu ziemię. A ja żadnej już nie mam.

Rozumiem, że Daniel nie ma wyboru. Nie będę jednak udawać, Claro, że nie pękło mi serce.

Musimy dziś wyjechać z Tuam do domu siostry naszej matki nieopodal Galway City, sprzedawszy wcześniej większość rodzinnych mebli za ułamek ich prawdziwej ceny. Ciotka Catherine zaoferowała nam schronienie na trzecim piętrze swojego i tak już zatłoczonego domu, a jego położenie blisko miasta jest dla nas błogosławieństwem. Będziemy na tyle blisko fabryk, by móc poszukać w nich pracy, choć żadne z nas nie cieszy się z przeprowadzki do miejsca, które jest ponoć niemal tak brudne jak Twój Pittsburgh.

Gdy wyprowadzimy się z farmy, będziemy jeszcze bardziej wdzięczni za pieniądze, które regularnie nam przesyłasz, i bardziej jeszcze uradowani Twoim powodzeniem w Ameryce. Gdyby nie Twoja praca i pomoc ciotki Catherine, nie przetrwalibyśmy tych strasznych czasów. Zachowując swój typowy optymizm nawet w tych druzgocących okolicznościach, tata twierdzi, że damy sobie radę w Galway, a następnie wrócimy do Tuam, by odzyskać niesprawiedliwie odebraną nam ziemię. Ja jednak nie podzielam tego przekonania. Być może uda nam się przetrwać, ale czy odniesiemy sukces?

Proszę, wysyłaj swoje listy na adres Parafii Świętego Mikołaja w Galway City. Ciotka Catherine sądzi, że to najbezpieczniejszy sposób na przekazywanie wiadomości. Módl się za nas, droga siostró.

Twoja Eliza

Gdy skończyłam czytać, zaczęłam się trząść. Chociaż tata wysłał mnie do Ameryki, obawiając się takiego obrotu sprawy, nigdy nie sądziłam, że stracimy gospodarstwo. Szok, jaki spowodowała wiadomość o dopełnieniu się losu mojej rodziny, był nie do zniesienia.

Całym moim ciałem wstrząsało łkanie, ale z oczu nie popłynęła ani jedna łza. Pozostały suche. Wywłaszczenie było tragedią zbyt wielką na łzy. Jeśli nie nastąpi jakaś dramatyczna, niewytłumaczalna zmiana, los całej mojej rodziny będzie zależeć ode mnie.

Rozdział 20

12 grudnia 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Nie miało już znaczenia, czy tylko zbieg okoliczności sprawił, że w kolejnych tygodniach nie widziałam pana Carnegiego. Nie mogłam pozwolić sobie na zastanawianie się, czy dlatego podróżował do fabryk w sąsiednich stanach, żeby mnie nie widzieć. Wiedziałam, że projekty związane z żelazem mają swoje uzasadnienie. Rzut oka na papiery rozrzucone na biurku mojej pani potwierdzał, że pan Carnegie ciężko pracuje z panem Millerem na budowie najnowocześniejszej walcowni żelaza dla Cyclops Iron, a podczas swoich podróży dokonuje inspekcji podobnych zakładów. Moja pani nieustannie skarżyła się jednak, że jego pospieszny wyjazd i przedłużająca się nieobecność były zaskakujące, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że miał się nie pojawić na organizowanej tego wieczora świątecznej kolacji. Musiałam przekonywać samą siebie, że jego nieobecność była dla mnie błogosławieństwem, jako że wolno było mi o nim myśleć jedynie jako o pracodawcy, a widmo panny Atkinson – to, co widziała, czy czego nie widziała – mnie nie opuszczało. List od Elizy na nowo wzbudził we mnie strach przed utratą posady: nie mogłam zrobić nic, co zagroziłoby mojej pracy w charakterze osobistej służącej pani Carnegie.

Przysięgam sobie, że będę odtąd pracować jeszcze ciężiej, że zrobię wszystko, czego wymaga ode mnie ten kraj, byle pomóc mojej rodzinie. Był to mój

niezbywalny obowiązek.

– Claro, ściśnij gorset trochę mocniej, proszę.

Pani Carnegie mówiła „proszę” tylko wtedy, kiedy byłyśmy we dwie. Owinęłam palce wokół jedwabnych nitek gorsetu i pociągnęłam je z całej siły. Jakimś cudem udało mi się zacisnąć je wokół okazałej talii mojej pani i wyszczuplić ją o co najmniej ćwierć cala. Sięgnęłam po czarną jedwabną suknię kupioną specjalnie na wieczorną kolację i włożyłam ją mojej pani na gorset i koszulkę. Gdy czyściłam suknię szczotką – przeznaczoną tylko do jej pielęgnacji – podziwiałam liczne falbany i hebanowe kryształki, zdumiona kosztem sukni, która wyglądała niemal identycznie jak inne liczne czarne jedwabne sukienki wiszące już w szafie. Pomyślałam, że takie pieniądze mogłyby spowodować, iż żona Patricka przez rok nie musiałaby wyszywać nocami przy świetle świecy, gdy piątka jej dzieci śpi. Pozwoliłyby mojej rodzinie na wynajęcie niewielkiego domku na ponad rok.

Kiedy skończyłam zapinać guziczki na plecach, moja pani wstała, by przyjrzeć się swemu odbiciu w dużym lustrze obok szafy. Stałam u jej boku, gdy poruszała materiałem, żeby kryształki zamigotały w świetle.

– Ładnie wygląda, prawda, Claro? – zapytała, spoglądając na moje odbicie w lustrze. Choć publicznie traktowała mnie chłodno, kiedy byłyśmy same, zabiegała o moje pochwały.

Moim zdaniem ciemna suknia wyglądała tak samo jak wszystkie pozostałe. Ale w oczach mojej pani jedna falbanka czy zakładka stawała się całym światem. Starając się zachować jak najspokojniejszy wyraz twarzy, powiedziałam:

– Jest cudowna, pani Carnegie.

– Czy te falbany i kryształki to nie za dużo? Nie są jak dwa grzyby w barszczu?

Omam się nie roześmiałam, słysząc, jak pani Carnegie – której zazwyczaj udawało się unikać slangu – używa wyrażenia mojej mamy oznaczającego zbyt częste łączenie rzeczy.

– Nie, proszę pani.

Uśmiechnęła się do siebie w lustrze tym dziwnym uśmiechem, który zdarzało jej się ćwiczyć przed spotkaniami towarzyskimi. Potem usiadła z powrotem przed toaletką, bym mogła skończyć polerować jej paznokcie i układać włosy. Gdy umieściłam ostatni kawałek koronki w jej staroświeckiej fryzurze, pożegnałam się.

– Miłego wieczoru, pani Carnegie. Zobaczymy się przed snem.

– Dokąd ty się wybierasz, Claro?

– Mam na panią czekać po kolacji, prawda?

Nie udzieliła mi żadnych instrukcji na wieczór, założyłam więc, że na koniec kolacji będę czekać w swojej sypialni. Sterty znoszonych pończoch wymagały mojej uwagi, a wolałam cerować je w swoim pokoju niż w saloniku pani Stewart, gdzie wolno mi było wchodzić, ale nie byłam tam mile widziana.

– Będziesz musiała pozostać w gotowości, trzymając *châtelaine*[8]. Pani Pitcairn przyjdzie dziś na kolację.

– Proszę wybaczyć. Nie widziałam na liście gości jej nazwiska.

– Na początku tygodnia nie przyjęła naszego zaproszenia z powodu choroby, ale najwyraźniej wydobrzała. Zapewne spodziewa się jakichś plotek, skoro jest gotowa wyzdrowieć z jednej ze swych licznych wymyślonych chorób i dołączyć do nas. – Pani Carnegie, która nigdy nie chorowała, nie miała współczucia dla cudzych słabości.

– Oczywiście, proszę pani. Przygotuję przybory i będę gotowa.

Pożegnałam się i weszłam tylnymi schodami do swojej sypialni, gdzie trzymałam *châtelaine*. Sprawdziłam, czy nici, grzebienie, puder, szczotki i sole trzeźwiące są na miejscu, po czym zamknęłam pojemnik i zeszłam z powrotem na dół. Gdy mijałam kuchnię, pan Ford podniósł wzrok znad stołu, na którym leżała jagnięcina z rozmarynem.

– A zatem pani Pitcairn przyjęła zaproszenie – powiedział z uśmiechem.

Roześmiałam się i uniosłam przybornik.

– Jak pan zgadł?

– Musi się pani przygotować na bardzo długi wieczór, skoro pana nie ma w domu.

– Co ma pan na myśli, panie Ford?

– Czy służyła pani kiedyś przy posiłku, którego gospodarzem nie był starszy pan Carnegie?

Zastanowiłam się chwilę nad przyjęciami w Fairfield i w domach znajomych Carnegieh, w których uczestniczyłam, i pokręciłam głową. Pan Carnegie zawsze był obecny.

– To proszę się zastanowić, kto będzie siedział u szczytu stołu – powiedział, odnosząc się do pani Carnegie i młodego, cichego Toma Carnegiego. Pozostawiając mnie z tą myślą, wrócił do pracy.

Z przybornikiem w dłoni weszłam do oficjalnej części domu i stanęłam w korytarzu przed salonem, gdzie pani Carnegie, młodszy pan Carnegie i ich goście popijali aperitif przed posiłkiem. Słuchałam, że mówią najpierw o jesiennej kampanii w dolinie Shenandoah, a następnie o niedawnej reelekcji prezydenta Abrahama Lincolna. Zdominowana przez mężczyzn konwersacja była swobodna i pełna nadziei, być może ze względu na obecność pań. Gdy grupa ucichła, do salonu wszedł pan Holyrod, ogłaszając porę kolacji.

Pan i pani Carnegie, państwo Wilkinsowie, Pitcairnowie, Dallasowie, a także panna Atkinson i jej ojciec, doktor Atkinson, minęli mnie w korytarzu, idąc do jadalni. Na widok panny Atkinson moje serce zaczęło mocniej bić. Nie spodziewałam się jej: z początku ona i jej ojciec również odrzucili zaproszenie.

Chociaż patrzyłam w ziemię – i nie mogłam być tego pewna – zdawało mi się, że czuję na sobie wzrok panny Atkinson. Policzki mi zapłonęły i modliłam się, bym nie miała racji. Może szukałam kłopotów, gdzie ich nie było?

Odczekałam, aż ustanie przesuwanie krzesel, i zajęłam miejsce w tylnym korytarzyku, w zasięgu głosów dochodzących z jadalni. Było w niej niemal zupełnie cicho, gdy pan Holyrod i jego lokaje podawali pierwsze danie – wytrawną zupę z rukwi wodnej. Srebro brzęczało, kiedy goście zaczęli próbować dzieła pana

Forda, a niezręczną ciszę przerwała wreszcie rozmowa na temat tego znakomitego dania, za które pani Carnegie obiecała pochwalić swojego kucharza.

Gdy wspomniała o panu Fordzie, grupa rozpoczęła rozmowę o służbie, a wszyscy zdawali się zadowoleni, że znaleźli wreszcie temat, którym można było wypełnić ciszę. Ster przejęły damy, które zaczęły analizować zachowania swoich gospodyń, kamerdynerów, lokajów i służących, nawzajem komplementując swoje wybory. Gdy pani Wilkins wspomniała o swojej osobistej służącej, nadstawiłam ucha. Było tylko kwestią czasu, kiedy zaczną rozmawiać o mnie.

– Wygląda na to, że podjęła pani dobrą decyzję, zatrudniając Clare, panno Carnegie – powiedziała pani Pitcairn.

Wstrzymałam oddech, czekając na to, co odpowie moja pracodawczyni.

– Na pewno jest znacznie lepsza od poprzednich służących, które przysyłała do mnie pani Seeley. Jej doświadczenie zdobyte w eleganckich dublińskich domach dało jej oczywiście solidne podstawy, chociaż musiałam wielu rzeczy nauczyć ją od nowa, by mogła być przydatna w amerykańskim domu.

– Doskonale ci się to udało – odparła pani Pitcairn, co potwierdziła pani Wilkins.

Uśmiechnęłam się do siebie, słysząc komplement pani Carnegie i jego potwierdzenie z ust pozostałych dam. Wyglądało na to, że odniosłam w tym swoim nowym, dziwnym życiu, przynajmniej jeden sukces – udało mi się dobrze odegrać rolę doświadczonej służącej Clary Kelley.

Zazwyczaj gadatliwa panna Atkinson była podczas tej rozmowy dziwnie milcząca. Kiedy jednak damy skończyły gratulować sobie nawzajem wysiłków, dzięki którym wszyscy ich służący byli tak kompetentni, postanowiła zabrać głos.

– Twoja Clara rzeczywiście wydaje się znakomitą służącą, choć mogłabym przysiąc, że kilka tygodni temu widziałam ją w parku w samym środku dnia. Pamiętam to dobrze, gdyż wydało mi się zaskakujące, że jest tam o tej porze bez swojej pani.

Mój mglisty, czający się strach stał się nagle wyraźny i kłujący. Panna Atkinson widziała mnie w parku. Postanowiła po prostu poczekać na dobry moment, by mnie wydać. Czy teraz poinformuje wszystkich, że towarzyszył mi pan Carnegie?

– W parku? – spytała pani Carnegie. – To niemożliwe, panno Atkinson. Plan dnia Clary jest ściśle ustalony, a popołudnia spędza ze mną lub na cerowaniu w pokoju gospodyni.

Niemalże usłyszałam śmiech w głosie panny Atkinson, gdy odpowiadała:

– Jestem pewna, że to była ona. Wystarczająco często widziałam ją u pani boku, by rozpoznać ją i jej okropny płaszcz. Chyba mi pani wierzy?

Widziałam, że moja pani nie odważy się wprost zaprzeczyć pannie Atkinson. Jej pozycja w tym towarzystwie była zbyt chwiejna, by mogła wejść w otwarty konflikt z kimś tak dobrze sytuowanym. Tylko przy synach ukazywała swój zadziorny charakter. Honor nakaże jej przedstawić mi zarzut panny Atkinson na osobności, a następnie poinformować ją o wyznaczonej karze. W obliczu publicznego oskarżenia nawet zwolnienie z pracy nie było wykluczone.

Oczami wyobraźni widziałam, jak pani Carnegie nabiera powietrza, przygotowując się do odpowiedzi, kiedy z jadalni dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi.

– Andra, zdążyłeś! – zawołała moja pani z wyraźną ulgą w głosie.

Wyobrażałam sobie, że uśmiecha się szeroko i po raz pierwszy tego wieczora szczerze. Była tym szczęśliwsza, że jego przybycie uwolniło ją od panny Atkinson. Chociaż jego obecność w domu przyprawiała mnie o szybsze bicie serca, byłam wdzięczna, że dzięki niej panna Atkinson nie miała możliwości wygłosić innych szkodliwych rewelacji.

Gdy rozmowny pan Carnegie zajął miejsce krnąbrnego młodszego brata u szczytu stołu, zrobiło się weselej. Dyskusja toczyła się raz wokół biznesu, raz – wokół polityki, by swobodnie zejść na środowiskowe plotki, i nie ustawała ani na chwilę. Wyobrażałam sobie jasne oczy pana Carnegiego i jego optymizm, którym zarażał pozostałych, i mimo własnego niepokoju cieszyłam się, że wrócił.

Pan Holyrod i jego lokaje chodzili w tę i z powrotem, zabierając puste talerze po zupie z rukwi i podając panierowane ostrygi, a następnie jagnięcinę z rozmarynem i ziemniaki tłuczone ze śmietaną, które widziałam wcześniej w kuchni. Wspaniałe zapachy sprawiły, że pociekła mi ślinka, jako że służba dostała dziś na kolację tylko zimną szynkę, kapustę i kilka plasterków jabłka. Wiedziałam jednak, że pójście do kuchni po resztki jest wykluczone. Musiałam poczekać, aż nasi pracodawcy pójdą spać, i liczyć na hojność pana Forda.

Pan Holyrod wraz z Jamesem ruszyli do jadalni z ogromnym *charlotte russe*[9], kiedy dobiegł z niej głośny łoskot.

– Claro, chodź tu natychmiast! – zawołała pani Carnegie.

Popędziłam do jadalni, gdzie pani Pitcairn leżała nieprzytomna na podłodze, otoczona wianuszkami dam. Jej mąż klęczał przy niej. Jej twarz miała niezdrową barwę, a oddech był płytki.

Sięgnęłam do *châteline*, wyciągnęłam sole trzeźwiące i zbliżyłam je do nosa pani Pitcairn. Silny zapach jej nie ocucił, co wyraźnie zaniepokoiło damy. Panie mdlały podczas spotkań towarzyskich całkiem często, rzadko jednak nie dochodziły do siebie po zastosowaniu soli.

Wstałam na chwilę i wyszeptałam pani Carnegie do ucha:

– Może lepiej będzie, jeśli pan Carnegie zaprowadzi gości do salonu. Muszę rozluźnić jej gorset, by ułatwić oddychanie.

Po krótkiej wymianie zdań z matką pan Carnegie poprowadził dżentelmenów i damy – oprócz mojej pani – do salonu. Pan Holyrod posłał po lekarza, a ja rozpięłam pani Pitcairn guziczki z tyłu sukni i rozsznurowałam jej gorset. Rozchylając suknię tak szeroko, jak było to w tej sytuacji możliwe, znów podsunęłam jej sole trzeźwiące. Nie zareagowała. Rozpięłam jej stanik – ukazując znacznie więcej ciała, niż pozwalało na to dekorum – i umieściłam sole tuż pod jej nosem. Tym razem gwałtownie nabrała powietrza i szeroko otworzyła oczy.

– Och, dzięki Bogu – wyszeptała pani Carnegie.

Uniosłam panią Pitcairn i oparłam ją o siebie, by ułatwić jej oddychanie.

– To nie Bogu powinnaś dziękować – wychrypiła pani Pitcairn między jednym a drugim oddechem – tylko swojej Clarze.

[8] *Châtelaine* (fr.) – zawieszanie przymocowywane np. do paska, do którego można było przypinać drobne przedmioty, takie jak: zegarek, klucze, przybory do szycia, składane nożyki, pojemniczki na tabakę czy sole trzeźwiące.

[9] *Charlotte russe* (fr.) – ciasto stworzone przez francuskiego cukiernika i nazwane na cześć rosyjskiego cara Aleksandra I. Składa się z kremu bawarskiego i ułożonych pionowo podłużnych biszkoptów.

Rozdział 21

12 grudnia 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Ostatni goście wyszli. Służba wycofała się do swoich pokoi – nawet pan Ford, który często pracował do świtu, bo miał problemy z zasypianiem. Ja skończyłam przygotowywać panią Carnegie do snu. Ku mojemu zdziwieniu nie powiedziała słowa ani o pani Pitcairn, ani o panie Atkinson. Zastanawiałam się, czy pomagając tej pierwszej, odpokutowałam zarzuty drugiej. Miałam jednak wątpliwości i nie byłam pewna, co myśli sobie teraz o mnie moja pani.

Zamknęłam za sobą drzwi i wykończona ruszyłam ku schodkom dla służby. Deski podłogowe skrzypiały głośno pod moimi stopami, wydało mi się jednak, że słyszę swoje imię. Potrząsnęłam głową, sądząc, że po ciężkim dniu przesłyszałam się. Gdy jednak znów dobiegły mnie słowa „panno Kelley”, nie mogłam dłużej myśleć, że to tylko zmęczenie. Odwróciłam się w stronę pokoju mojej pani, ale zaraz zdałam sobie sprawę, że głos nie dobiega stamtąd, ale ze szczytu głównych schodów.

Starając się stąpać jak najciszej, żeby nie obudzić mojej pani, podeszłam tam, skąd dobiegał dźwięk. U stóp schodów stał starszy pan Carnegie.

– Panno Kelley, mogę panią prosić na chwilę?

Choć instynktownie chciałam odmówić – wiedziałam, że powinnam zrobić wszystko, by uniknąć kolejnego spotkania, które można by uznać za kompromitujące – jak mogłam się nie zgodzić na prośbę mojego pracodawcy, nie ściągając na siebie większych jeszcze kłopotów?

Zamiast poczekać, aż zejdem ze schodów, on ruszył w stronę biblioteki. Szłam za nim ciemnym, pustym korytarzem do pokoju pełnego książek. W bibliotece panował mrok rozświetlony jedynie ogniem płonącym w marmurowym kominku i słabym światłem gazowych lampek ponad jego gzymsem.

Pan Carnegie zamknął za nami drzwi i powiedział:

– Ma pani za sobą trudny dzień. Czy pozwoli mi pani nalać sobie szklaneczkę brandy?

Swobodna relacja, którą nawiązaliśmy podczas popołudni spędzonych razem w parku zniknęła, ledwie przekroczyłam próg biblioteki, a on zamknął drzwi. Chociaż wiele razy spotykaliśmy się w parku, poczułam głęboki dyskomfort, gdy znaleźliśmy się w tych okolicznościach. Spotkanie sam na sam w zamkniętej bibliotece o tak późnej porze zdawało się nieść za sobą większe ryzyko.

– Nie trzeba, panie Carnegie.

– Panno Kelley, proszę. To będzie dla mnie zaszczyt.

Nie poruszyłam się, ale zgodziłam się na drinka.

– Dobrze, sir.

– Panno Kelley, mówiłem już, by nie zwracała się pani do mnie tak oficjalnie. – Uśmiechnął się, nalewając brandy.

Bursztynowy płyn migotał w kryształowych żłobieniach szklanki. Gdy ją wzięłam, uniósł swoją. Kiwnęłam głową i podniosłam szklankę do ust. Płyn smakował jednocześnie jak ogień i niebo.

– Mamy u pani dług, panno Kelley. Uratowała pani naszego gościa.

Mój oddech wydał mi się ognisty jak u smoka.

– Ależ skąd, sir. To znaczy, panie Carnegie. Wykonywałam tylko obowiązki służącej pana matki. – Miałam nadzieję, że zwrócenie uwagi na moją pozycję

odwiedzie nas od potencjalnie niestosownej rozmowy. Tej, którą rozpoczęliśmy w parku, którą chciałam kontynuować i której jednocześnie się bałam, zwłaszcza gdy przypomiinałam sobie o mojej rodzinie.

– Wydawało mi się, że do pani obowiązków należy co najwyżej podanie soli trzeźwiących, a nie cała akcja reanimacyjna. Doktor Morton powiedział, że gdyby nie działała pani tak zdecydowanie, pani Pitcairn mogłaby nigdy nie odzyskać przytomności.

– Cieszę się, że wydobrzała, panie Carnegie. – Dopiliśmy drinka i pomyślałam, że powinnam wyjść z pokoju, kiedy tylko będę mogła to zrobić, nie obrażając go. – Bardzo dziękuję za brandy i za uznanie. Jak pan wspominał, był to męczący dzień, chciałabym więc się pożegnać.

Dygnęłam i ruszyłam w stronę drzwi.

Gdy go mijalam, jego dłoń dotknęła mojego ramienia.

– Proszę zostać, panno Kelley. Jestem pani winien wyjaśnienie. Myślę o pani bezustannie od tamtego dnia w parku.

Zatrzymałam się, ale nie spojrzałam na niego. Czekałam na to, co powie, jednocześnie przestraszona i pełna nadziei, przez cały czas powtarzając sobie w myślach, że nadzieja może być dla mojej rodziny niebezpieczna. Kiedy przemówił, jego dłoń wciąż mnie dotykała.

– Panno Kelley, gdy ostatnio byliśmy w parku, wspominałem pani o tym, jak swobodnie i dobrze czuję się w pani obecności. Powiedziałem, jak bardzo podziwiam pani intelekt. Wyznałem też moje głębokie uczucia do pani. – Przerwał, czekając na moją reakcję.

– Tak.

– Wiem, że mówiłem bezceremonialnie, być może zbyt bezceremonialnie, moje emocje są jednak szczere. Czuję coś do pani, panno Kelley, coś, czego nie czułem wcześniej do żadnej innej kobiety. Wiem, że okoliczności są nietypowe, ale mam nadzieję, że nadejdzie lepszy czas. – Znów zamilkł.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Moje uczucia podpowiadały jedną odpowiedź, a zobowiązania narzucały inną.

Po chwili ciszy rzekł:

– Nie chciałbym jednak snuć przypuszczeń. Czy to możliwe, by czuła pani podobnie?

Odwróciłam się, by na niego spojrzeć. Odsunęłam się, żeby jego dłoń opadła z mojego ramienia, i wyprostowałam na tyle, na ile pozwalał mi mój niski wzrost.

– Panie Carnegie, nie mogę sobie pozwolić na pobłażanie żadnym uczuciom, które mogłabym żywić. Panna Atkinson widziała nas razem w parku. Chociaż nie wspomniała o pana obecności, powiedziała dziś wieczorem pańskiej matce, że spotkała mnie tam w środku dnia. To niewybaczalne nieposłuszeństwo ze strony pilnej służącej.

Spodziewałam się gwałtownej reakcji, lecz on zachował spokój.

– Zajmę się matką, panną Kelley. Proszę nie pozwolić, by panna Atkinson panią niepokoiła. Jeśli podziela pani moje uczucia...

Przerwałam mu.

– Panie Carnegie, pan chyba nie rozumie. Nie mogę zrobić niczego, co zaszkodziłoby mojej pozycji w tym domu. Oskarżenia damy o tak wysokiej pozycji w towarzystwie jak panna Atkinson zrujnują mnie nie tylko w oczach mojej matki, ale w oczach każdej damy. Nie mogę stracić pensji, od której zależna jestem nie tylko ja, ale cała moja rodzina.

– Panno Kelley, nie wierzę, że zobaczenie pani raz na spacerze w parku mogłoby zrujnować pani reputację na zawsze.

– Zobaczenie mnie jeden raz w parku na spacerze z panem z pewnością może mnie zrujnować, panie Carnegie. Sądzę też, że w razie czego panna Atkinson nie zawahałaby się, by wyjawić pana obecność w parku, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że już wcześniej widziała nas razem na Reynolds Street.

Przez jego twarz przemknął niepokój, zaraz jednak jego oczy znów przybrały stanowczy wyraz. Pan Carnegie przyzwyczajony był dostawać dokładnie to, czego

chciał:

– Proszę pozwolić mi się tym zająć, panno Kelley. Istnieje wiele całkowicie akceptowalnych powodów, dla których mogliśmy się tam wtedy razem znaleźć. Nie pozwolę, by małostkowość panny Atkinson odebrała nam nasze popołudnia w parku. – Jego czarne oczy błyszczały w stłumionym świetle kominka. – Ten czas zbyt wiele dla mnie znaczył. Pani zbyt wiele dla mnie znaczy.

Ciepła brandy złagodziła mój nastrój i omal się z nim nie zgodziłam. Czułam z panem Carnegiem związek, jakiego dotąd nie znałam. Popołudnia spędzone w jego towarzystwie były jedynymi chwilami autentyczności w moim sztucznym świecie. Z tych minut budowałam swoje nadzieje. Jak jednak mogłam narażać swoją rodzinę na niebezpieczeństwo? Przypomniałam sobie, że stoi na skraju przepaści – od której odsuwały ją jedynie pieniądze, które przesyłałam – i nabrałam hardości.

– Panie Carnegie, proszę mi pozwolić, że wyjaśnię moją sytuację. Czy mogę mówić równie otwarcie jak pan?

– Oczywiście, panno Kelley.

– Dziesięć lat temu, gdy Irlandię opanował głód, a ja byłam jeszcze młodziutką dziewczyną, matka wręczyła mi kosz świeżo zebranych buraków, bym zniosła je naszym sąsiadom. Tak jak większość mieszkających w okolicy rodzin – poza naszą – Flanaganowie mieli tylko maleńki ogródek, zbyt mały, by uprawiać inne rośliny prócz ziemniaków dotkniętych zarazą. Mama martwiła się, ponieważ nie widzieliśmy Flanaganów od prawie dwóch tygodni i choć nie mogliśmy pozwolić sobie na to, by wciąż dzielić się jedzeniem, wiedzieliśmy, że ich sytuacja jest jeszcze gorsza od naszej. Przeszłam kilka kilometrów przez las do małego domku na wzgórzu. Pukałam i pukałam, ale nikt nie odpowiadał. Nauczono mnie, bym nigdy nie otwierała drzwi domu sąsiadów bez pozwolenia, wiedziałam jednak, że ucieszą się z jedzenia, a nie mogłam zostawić go przed domem, bo ktoś mógłby je ukraść. Popchnęłam więc drzwi.

Łzy napłynęły mi do oczu. Choć wszystko to zdarzyło się ponad dziesięć lat wcześniej, obraz wciąż tkwił żywy w mej pamięci. I w duszy.

– Co znalazłam za drzwiami, panie Carnegie? Cała rodzina Flanaganów – matka, ojciec, czteroletni synek i maleńka córeczka przy matczynej piersi – leżała martwa na podłodze w kuchni. Głód ich zabił. Ich kości wystawały spod wielu warstw ubrań, które mieli na sobie, by uchronić się przed zimowym chłodem, dotkliwszym jeszcze z powodu skrajnego wygłodzenia. – Otarłam łzy, które płynęły mi po policzkach. – Panie Carnegie, wielki głód się skończył, ale irlandzka bieda nie. Moja rodzina codziennie się z nią mierzy. Powiedział pan kiedyś, jak wspomnienie nędzy pana motywuje i wzmacnia poczucie obowiązku wobec rodziny. To samo wspomnienie nęka i mnie, determinując moje wybory.

Podeszłam do drzwi. Położyłam dłoń na klamce, odwróciłam się i spojrzałam na niego.

– Rozumie pan więc, że nie mogę ulec żadnym uczuciom, które mogłabym wobec pana żywić. I nie mogę narażać mojej rodziny na szwank, kontynuując spotkania z panem.

Rozdział 22

14 grudnia 1864 r.

Pittsburgh, Pensylwania

– Matko, nie powinnaś była przeglądać moich dokumentów.

Zamarłam. Szłam właśnie do salonu z przyborami do robienia na drutach, by pomóc pani Carnegie, która dziergała teraz szal dla młodszego syna. Nie ważyłam się jednak wejść do środka. Nigdy dotąd nie słyszałam, by starszy syn odzywał się do pani Carnegie tak ostro. Ich rozmowy przybierały formę bądź łagodnych żartów, bądź poważnych dyskusji biznesowych. Złość była nietypowa i zaniepokoiła mnie. Czy napisał w swoich notatkach coś o mnie?

– Czyżbyś oskarżał mnie o wtykanie nosa w nie swoje sprawy, Andra? Odkąd to nie wolno mi sięgać do twoich dokumentów służbowych? – Moja pani niemal krzyczała na swojego ukochanego syna.

– To nie były oficjalne dokumenty, matko. Przeczytałaś szkic prywatnej korespondencji adresowanej do Toma Scotta.

Słyszając, że adresatem listu był pan Scott, poczułam ulgę, jednak wciąż nie wchodziłam do salonu. Czekałam w tylnym korytarzu. Nie widziałam pana Carnegiego od czasu naszej rozmowy w bibliotece dwa dni wcześniej i nie chciałam, by nasze kolejne spotkanie odbyło się w tak burzliwym momencie.

– Prywatnej korespondencji? – prychnęła. – Nie nazwałabym prywatnym listu do twojego przełożonego w Pennsylvania Railroad, człowieka, który od lat zajmuje

ważne miejsce w naszych dyskusjach biznesowych.

– Akurat ten list był osobisty – mówił pan Carnegie tonem cichym, lecz pełnym złości.

– Doprawdy? Uważasz prośbę o pomoc w znalezieniu dla ciebie stanowiska konsula amerykańskiego w Glasgow za osobistą? To oznaczałoby pozostawienie mnie i Toma samych z prowadzonymi przez ciebie interesami, na których przejęcie Tom nie jest gotowy. Jak możesz nazywać osobistym coś, co dotyczy całej naszej rodziny?

Planował zatem wyjazd do Szkocji? Dlaczego? Dlatego, że go odepchnęłam? Choć starałam się pogrzebać wszelką nadzieję na związek między nami, wizja tego domu – tego życia – bez niego sprawiła mi przykrość. „Dość – przekonywałam samą siebie – tak będzie lepiej”. Gdy go tu nie będzie, żadna pokusa nie odwiedzie mnie od moich obowiązków.

– Matko, jestem odnoszącym sukcesy dwudziestoosmioletnim mężczyzną, który ma własne powody, by wystosować taką prośbę. Stanowisko w Szkocji jest jedynym przedsięwzięciem, jakie mogę teraz rozważyć. Nie musisz wiedzieć nic więcej.

– Andra, wiesz, co mówią. Każdy głupiec potrafi zarobić pieniądze, ale tylko mądry człowiek ich nie straci. Pozostawiając swoją fortunę w rękach niedoświadczonego brata, postępujesz jak głupiec.

– Matko, nie zamierzam wyjechać, nie upewniwszy się wcześniej, że zastosowałem odpowiednie środki, by nie tylko zachować nasze bogactwo, lecz także je pomnożyć. Musisz mi zaufać.

Pani Carnegie zaczęła płakać.

– Andra, ja po prostu nie rozumiem. Zawsze wspólnie omawialiśmy nasze decyzje. Dlaczego ze mną nie porozmawiałaś? Dlaczego teraz też nie chcesz ze mną rozmawiać? Jak możesz opuszczać mnie i Toma?

Pan Carnegie milczał. Mężczyzna, który miał gotową odpowiedź na każde pytanie, był bezradny wobec rozpaczki swojej matki.

Usłyszałam kroki i głos młodszego pana Carnegiego:

– Co tu się dzieje? Słysząc was nawet w moim gabinecie. Wyglądacie na wściekłych.

Chciałam podsłuchać odpowiedź starszego brata, ale usłyszałam kroki pani Carnegie na głównych schodach. Miała dość swojego syna. Popędziłam do kuchni – mijając pana Forda i Hildę, którzy przysłuchiwali się gorącej dyskusji między naszymi pracodawcami – i na górę tylnymi schodami. Wbiegłam do sypialni pani Carnegie, nim ona tam dotarła. Nie chciałam, by wiedziała, że słyszałam ich kłótnię.

– Czy mogę pani pomóc? – spytałam, gdy wdrapała się na ostatni schodek.

– Tak, Claro – powiedziała, mijając mnie i wchodząc do sypialni.

Weszłam tam za nią. Chwyciłam ją pod łokieć i pomogłam usiąść na szeszlunku. Odwróciła się ode mnie, łkając po cichu.

Wyciągnęłam z szuflady świeżo wyprasowaną chusteczkę i zapytałam:

– Czy mogę pani przynieść coś na uspokojenie? Może robótkę ręczną? Albo książkę z biblioteki?

– Nie przychodzi mi do głowy żadna rzecz, która by mnie uspokoiła, Claro.

– W takim razie może herbatę i ciastka? Albo szklaneczkę brandy?

– Jedyne, co mogłoby mnie teraz pocieszyć, to lojalność mojego starszego syna. A tego, jak sądzę, nie możesz mi zapewnić.

Tego byłam pewna. Wyglądało na to, że to mnie należało winić za jego nielojalność.

Rozdział 23

22 lutego 1865 r.

Pittsburg, Pensylwania

Najdroższa Claro,

stanowisk w fabrykach jest mniej, niż się spodziewaliśmy. Przemysł w Galway City pogrążony jest w kryzysie. Biorąc pod uwagę ilość wody płynącej z pobliskiego Lough Corrib, miasto mogłoby zasilić wiele fabryk. Wciąż jednak dominuje rolnictwo, co nie daje nam wielu możliwości pracy. Tata zdołał zdobyć pracę w Persse's Distillery, która położona jest na Nun's Island, w rozwidleniu rzeki Corrib, i produkuje więcej whiskey niż jakakolwiek inna destylarnia poza Dublinem. Będzie jedną z osób ogrzewających płyny w maszynie do zacierania – to niebezpieczna praca. Stanowisko to zwolniło się tylko dlatego, że człowiek, który zajmował je wcześniej, umarł od oparzeń. Mama z początku nie chciała mu pozwolić, szybko jednak zorientowała się, że o jakąkolwiek inną pracę będzie trudno. Musiała ulec.

Dla mnie ani dla mamy nic nie było, będziemy więc musiały dokładać się do rodzinnego budżetu, biorąc robótki od lokalnej krawcowej, ale, o dziwo, Cecelii udało się znaleźć tymczasową pracę, również w Persse's Distillery. Będzie pomagać w sprzedaży zacieru pozostałego w procesie destylacji lokalnym rolnikom, którzy karmią nim swoje bydło. Gdybyś

wiedziała, jak bardzo trzeba ich przekonywać, by ten zacier kupowali – plotki głoszą, że barwi on mleko – zrozumiałabyś, dlaczego wybrano Cecelię. Ze swoimi brązowymi włosami i zielonymi oczami jest ucieleśnieniem niewinności, zdolnej rozproszyć wszelkie wahanie.

Pensje są niskie, oczywiście musimy też kupować jedzenie, bo brak tu ziemi, którą moglibyśmy uprawiać. Starczy nam pieniędzy, by dorzucić się do budżetu domowego ciotki Catherine, ale niewiele zostanie na konieczne rzeczy. Pensja, którą nam przesyłasz, jest teraz ważniejsza niż kiedykolwiek wcześniej i co noc modlimy się o Twoje powodzenie.

Mam nadzieję, że Twój Pittsburgh jest czystszy od tego przedmieścia, które każe się nazywać miastem. Chociaż fabryk i zakładów przemysłowych jest niewiele, dym, który się z nich wydobywa, pozostawia niezmywalne ślady na ulicach, budynkach i ludziach. Rozumiem już, że świeże wiejskie powietrze w Tuam rozpieściło mnie na zawsze. Kaszel – rodziny ciotki Catherine, jej sąsiadów, a nawet mamy, taty i Cecelii – jest teraz dźwiękiem częstszym niż kiedyś skrzypienie łóżek. Czy Ty również pragniesz świeżego oddechu?

Czytając te słowa, zdaję sobie sprawę, że namalowałam ponury obraz naszego życia. Na co dzień nie jest jednak aż tak rozpaczliwie. Mamy siebie, a także wsparcie ciotki Catherine i jej rodziny. A to więcej, niż wielu może powiedzieć w tych głodnych czasach. Nie martw się o nas.

Claro, napisz do mnie, proszę, w szczegółach o swoim nowym życiu w Ameryce. Opowiedz mi więcej o swoich bogatych pracodawcach, bym mogła wyobrazić sobie ich wspaniałe życie.

Na zawsze Twoja Eliza

Zanurzyłam pióro w atramencie, zamierzając wymyślić jakieś historyjki, które by ją rozbawiły. Zapisałam nawet nazwisko pana Carnegiego, zaraz jednak przerwałam. W jego sprawie nie mogłam przed Elizą udawać.

Nie oszukiwałabym jej, opisując luksusy domu Carnegiech, ale kłamałabym, twierdząc, że przynoszą mi one radość. Od czasu naszego spotkania w bibliotece i rozmowy pana Carnegiego z matką o Szkocji, jego służbowe wyjazdy stały się jeszcze dłuższe, a obecność w domu coraz rzadsza. Bez niego i jego wesołego usposobienia Fairfield pogrążyło się w smutku, który odczuwała zwłaszcza moja pani. Drżałam na samą myśl o tym, jak będzie wyglądał ten dom, jeśli panu Carnegieemu uda się objąć stanowisko w Szkocji.

Jedynym pocieszeniem było dla mnie to, że gdy pani Carnegie stawała się bardziej przygnębiona, rosło jej uzależnienie ode mnie. Chociaż powód, który do tego doprowadził, był mi nienawistny, wiedziałam, że udało mi się stać niezbędną. I że to dla mojej rodziny dobra wiadomość.

Rozdział 24

15 kwietnia 1865 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Stanowisko konsula w Szkocji, o które ubiegał się pan Carnegie, okazało się nieosiągalne. Moja pani bardzo się z tego powodu cieszyła, jednak tylko do chwili, gdy jej syn powiadomił ją, że zamierza wyjechać z Pittsburgha tak czy inaczej. Nigdy nie zdradził jej powodu nagłej potrzeby wyjazdu, ale ja go znałam. A on o tym wiedział.

Pan Carnegie wciąż zajęty był swoimi interesami daleko od Fairfield. Przy tych kilku okazjach, gdy musiał się ze mną spotkać, czułam na sobie jego wzrok. Kiedyś rozmowny, teraz milczał. Tylko podczas spotkań towarzyskich wcielał się znów w swoją rolę uprzejmego, pewnego siebie przemysłowca. Ta metamorfoza, zaskakująca przez swoją nagłość, przypominała mi często jedną z niewielu rozmów, jakie odbyliśmy w salonie Fairfield.

– Co widzi pani w tym pokoju? – zapytał mnie.

Z początku to pytanie mnie zaskoczyło. Odpowiedź wydawała się oczywista, ale ja wiedziałam już, że w obecności pana Carnegiego nic nie jest oczywiste. Chodziłam po pokoju, dając proste odpowiedzi.

– Widzę piękne obrazy, jeden nad drugim. Fotele w stylu Ludwika XV, obite czerwonym jedwabiem, z długimi frędzlami i krótkimi, krętymi nóżkami. Marmurową podłogę, a na niej czerwony dywan w kwiaty. Ściany pokryte

karminowym adamaszkiem, pomalowanym w rozkwitające róże. Kominek z marmuru z Carrary, zegar z onyksu, francuskie kandelabry i angielską porcelanę. Na środkowym stole dzban i podstawkę z Austrii, malowany kafel z Niemiec i małe orientalne figurki z kości słoniowej.

Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

– To niezwykle imponująca wyliczanka, panno Kelley. Jakim cudem zna pani ten pokój w tak drobnych szczegółach?

– Wiele razy słyszałam, jak pańska matka opowiada o nim swoim gościom – odparłam z nieco przebiegłym uśmiechem.

– Ależ oczywiście. Jestem głupcem, że w ogóle zapytałem. – Roześmiał się. – Chciałaby pani wiedzieć, jaką jeszcze historię opowiada ten pokój?

– Oczywiście.

– Powinno się go czytać jak książkę, a każdy przedmiot jest jak słowo.

Rozejrzałam się po salonie, próbując wyczytać z niego historię. Gdy patrzyłam na tę zagraconą, chaotyczną przestrzeń, nic nie przychodziło mi do głowy.

– Przyznaję się do ignorancji. Czy wyjaśniłby mi pan jego znaczenie?

– Z przyjemnością.

Podszedł do mnie i wziął mnie pod rękę, jak uczyniłby z każdą damą odwiedzającą Fairfield. Poczułam się jak gość, nie jak służąca.

Wolną dłonią wskazując na środkowy stół i gzymś kominka, powiedział:

– Przedmioty, które pani tak doskonale opisała, podpowiadają oglądającemu go, że rodzina mieszkająca w tym domu jest zamożna i dobrze zna świat.

– Rozumiem. – Nie wspomniałam o tym, że rodzina Carnegiech nie była nigdy na Dalekim Wschodzie, jak mogłyby sugerować figurki, rozumiałam jednak, jak to „słowo” działało w narracji o pokoju i jak gospodarze tymi „słowami” manipulowali, by przekazać swoim gościom konkretną wiadomość.

Przesuwając rękę z mojego łokcia ku dłoni, poprowadził mnie ku najgłębszej wypełnionej obrazami ścianie.

– Ten wybór dzieł sztuki pokazuje, że mieszkańcy Fairfield to ludzie kulturalni.

Gdy precyzyjnie opisywał, co każdy z obrazów mówi obserwatorowi o jego rodzinie, kiwałam głową, ale nie słuchałam uważnie. Potrafiłam myśleć jedynie o ciepłe jego dłoni. Chociaż chciałam, by mocniej ścisnął moją, jeszcze bardziej bałam się, że do pokoju wejdzie Hilda i zobaczy nas w tak kompromitującej sytuacji.

Delikatnie wysuwając swoją dłoń z jego dłoni, spytałam:

– A meble? Ściany pokryte jedwabiem? Jaką rolę odgrywają w tej historii?

– Doskonałe pytanie. Są wystawne i kosztowne, ale nie przesadne. To sugeruje gościom Fairfield, że gospodarze są zamożni, ale nie ostentacyjni. Że są wyrafinowani i dostojni. – Opisywał różne materiały na ścianach i meble, a ja znów przestałam słuchać. Przyszła mi do głowy pewna myśl na jego temat.

„Książka” o Fairfield była jak opowieść o życiu pana Carnegiego, którą sam tworzył. Patrzyłam, jak posługuje się słowami jak malarz pędzlem, a każdy ruch jest niczym mistrzowski krok ku idealnej całości. Pomyślałam, że nie jestem świadkiem tworzenia przeciętnego obrazu. Patrzyłam na przyszłe arcydzieło.

Pani Carnegie zaplanowała w Fairfield uroczystą kolację na piętnastego kwietnia. Wieczór ten miał być zorganizowany na cześć zakończenia wojny domowej – jako że generał Lee poddał się generałowi Grantowi w Appomattox – i europejskiej podróży, którą pan Carnegie planował zamiast pracy konsula w Szkocji. Początkowa wściekłość jego matki na wieść o „wielkiej wyprawie po Europie”, na którą wybierał się z kolegami Harrym Phippsem i Johnem Vandevortem pod koniec miesiąca, już nieco zelżała. Gdy stało się jasne, że starszy pan Carnegie nie zmieni zdania, moja pani złagodniała i zaczęła cieszyć się opowieściami o szczegółach „dżentelmeńskiej podróży”, jak nazywała ją w rozmowach ze swoimi koleżankami. Ku mojej wielkiej uldze w jej kręgu nie bywała ostatnio panna Atkinson. Jej niedawne zaręczyny z dżentelmenem z East Endu skutkowały rzadkim pojawianiem się na spotkaniach towarzyskich. Przynajmniej tego zmartwienia na razie się pozbyłam.

Radosny charakter planowanej kolacji zmienił się w żałobny, gdy czternastego kwietnia zamordowano ukochanego prezydenta Lincolna. Państwo Carnegie postanowili nie odwoływać przyjęcia. Posłali natomiast służących do domów zaproszonych gości z listami, w których oznajmiali, że podczas kolacji obowiązywać będzie nastrój żałoby i że należy postrzegać ją jako uroczystość konsolacyjną na cześć prezydenta Lincolna. Ekstrawaganckie menu, złożone z melonów, *consommé* [10], łososia, mózdzków cielęcych z groszkiem, *chateaubriand*[11], pieczonej kaczki i deseru, zostało mocno okrojone. Wszyscy służący nosili czarne żałobne opaski wokół ramion, a dom spowijały czarne zasłony. Państwo Carnegie włożyli żałobne stroje, chociaż po mojej pani nie było widać większej zmiany, zawsze bowiem ubierała się na czarno.

Goście również byli odpowiednio ubrani i na początku wieczoru dominował ponury nastrój. Z mojego punktu obserwacyjnego w korytarzu dla służby – gdzie jak zwykle czekałam ze swoim przybornikiem – przysłuchiwałam się kolejnym elegiom na cześć Abrahama Lincolna. Dwaj dżentelmeni opowiadali o cudach, jakich dokonał zmarły prezydent, i o tym, jak doprowadził naród do zwycięstwa.

Potem odezwał się starszy pan Carnegie:

– Kiedy pracowałem jako kierownik działu telegrafów, a moim przełożonym był zastępca sekretarza wojny Scott, kilkakrotnie miałem szczęście spotkać prezydenta Lincolna, gdy ten czekał na wiadomości. W jego oczach i mowie dało się poznać taki rodzaj prawdomównej inteligencji, na jaką nie natknąłem się od tej pory ani razu. A jednak najbardziej godną podziwu cechą tego wielkiego człowieka nie był jego intelekt ani nawet odwaga przekonań, lecz sprawiedliwość, która kierowała jego codziennymi działaniami. Każdego napotkanego mężczyznę i każdą kobietę traktował z tym samym poważaniem i szacunkiem, niezależnie od ich społecznego statusu. Wszyscy powinniśmy brać z niego przykład.

– Cześć jego pamięci! – zawołali chórem, stukając się kieliszkami.

Kiedy wszyscy dżentelmeni złożyli już swoje hołdy, zwrócono się z najlepszymi życzeniami do panów Carnegiego, Phippsa i Vandevorta. Brzęk kryształu dało się słyszeć przez niemal godzinę, a humor zebranych poprawiał się

z każdym kolejnym toastem. Zdawało mi się dziwne, że jednocześnie się radują i oplakują zmarłego.

Usłyszałam odgłos przesuwanego krzesła i nagle stanął przede mną pan Carnegie. Jego oczy zasnuwała mgła, której nigdy wcześniej w nich nie widziałam, ale którą znałam dobrze z moich okazjonalnych wizyt w pubach w Galway. Pan Carnegie był zamroczony, co było zaskakujące, biorąc pod uwagę, że zazwyczaj unikał alkoholu.

Byliśmy sami w tylnym korytarzu. Podchodząc do mnie tak blisko, że czułam zapach whiskey na swojej twarzy, złapał mnie za rękę.

– Panno Kelley, proszę wybaczyć, że się ośmielam. Biorąc jednak pod uwagę zbliżający się termin mojego wyjazdu, nie zostało mi wiele czasu. Przebywanie tak blisko pani bez możliwości rozmowy było dla mnie torturą.

Czy mogłam być nieuczciwa? Miałam dość kłamstw, udawania i ukrywania swoich uczuć. Chciałam wyznać prawdę. Chociaż raz.

– Dla mnie również, panie Carnegie.

– Rozumie pani, że to dlatego wyjeżdżam, prawda? Dlatego, że postanowiła pani, iż nie wolno nam przebywać razem? Że nie wolno nam mówić o naszym uczuciu?

– Rozumiem – wyznałam, spoglądając w podłogę.

– Starczy jedno pani słowo, a nie wyjadę. – Uniósł mój podbródek, tak bym musiała spojrzeć mu w oczy. Szukał wzrokiem moich, jakby w nadziei, że odnajdzie w nich słowo „zostań”, nawet jeśli nie wypowiedzą go moje usta.

Tęskniłam za nim straszliwie i kusiło mnie, by zrobić to, o co prosił.

– Naprawdę chciałabym móc poprosić pana, by pan został. Ale nie mogę. Najważniejsze są moje obowiązki wobec rodziny, a to oznacza, że muszę zarabiać i przysyłać im swoją pensję.

– Mógłbym pomóc pani rodzinie. Mam przecież środki.

Usłyszałam w jego głosie błagalną nutę.

Zamilkłam, próbując zrozumieć, co mi właściwie proponuje. Czy chciał, byśmy po prostu kontynuowali nasze potajemne spotkania, a w zamian on pomoże mojej rodzinie finansowo? Nie zaproponował nic bardziej formalnego. Co się stanie, kiedy się mną znudzi albo gdy jego matka odkryje nasz związek i się mu sprzeciwi? Biorąc pod uwagę jego lojalność wobec własnej rodziny, zapewne straciłabym wtedy pracę, a wraz z nią nadzieję na podobne stanowisko. Pani Carnegie z pewnością poprzysięgłaby mi zemstę, a wówczas moja rodzina byłaby stracona. Nie, nie mogłam pofolgować swoim uczuciom. Musiałam podążać własną drogą, ale z szacunkiem, żeby nie urazić pana Carnegiego.

Nie mogłam spojrzeć mu w oczy: mogłabym mu wtedy ulec. Patrząc w bok, pokręciłam głową.

Zdjął dłoń z mojego podbródka, drugą jednak wciąż trzymał mnie za rękę.

– Rozumiem i podziwiam pani bezinteresowne oddanie rodzinie. Czy mógłbym mieć przed wyjazdem jedną prośbę?

Poczułam ucisk w żołądku. O co mnie poprosi? Zawsze sądziłam, że on nie jest jednym z tych panów, o których krążyły plotki. Czy się myliłam?

– Proszę zwrócić się do mnie po imieniu. Muszę choć raz przed wyjazdem usłyszeć, jak wypowiada pani na głos moje imię. Proszę zrobić dla mnie przynajmniej tyle.

Tak drobną prośbę mogłam spełnić.

– Andrew – wyszeptałam, czując, jak mój opór maleje.

Przyciągnął mnie bliżej do siebie, a gdy spojrzałam mu w oczy, z jadalni dobiegło wołanie.

– Andra! Andra! – Rozbrzmiewało coraz głośniej. – Co ty robisz w drzwiach do kuchni?

To była jego matka. A moja pani. Jeśli w ogóle mieliśmy do tej pory jakieś szanse, teraz były one stracone.

[10] *Consommé* (fr.) – klarowany bulion.

[11] *Chateaubriand* – rodzaj befsztyku z polędwicy wołowej.

Rozdział 25

4 listopada 1865 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Sądziłam, że nie ma nic smutniejszego od irlandzkiej zimy. Szare niebo bez śladu słońca. Gołe gałęzie sięgające ku pochmurnemu niebu. Nieustający mróz i wilgoć, których nie potrafił ogrzać żaden ogień. Myliłam się. Nie było nic gorszego od zimy po wyjeździe pana Carnegiego.

Pogoda nie była gorsza niż mojej pierwszej zimy w Fairfield. Zimne temperatury, lodowate wiatry i śnieg, brudny od czarnej sadzy ciągnącej z miasta na wieś, wszędzie były takie same. Jediną różnicą była nieobecność pana Carnegiego. Dopiero gdy wyjechał do Europy, zrozumiałam, jak wiele przynosił mi radości i nadziei, nawet kiedy przestaliśmy już spotykać się popołudniami w parku.

Bez niego moje życie zmieniło się w niekończący ciąg obowiązków wobec wymagającej gospodyni, które stawały się coraz trudniejsze wraz ze zmianą pory roku.

Pani Carnegie bez ukochanego Andra, który potrafił łagodzić jej nastroje, rządziła Fairfield i inwestycjami biznesowymi rodziny pewną ręką. Chociaż starszy pan Carnegie zostawił bratu dokładne instrukcje dotyczące zarządzania rodzinnymi interesami, pani Carnegie nalegała, by z nim współrządzić.

Zamiast towarzyszyć jej w porannych wizytach w Homewood i partyjkach wista u sąsiadów popołudniami, zaczęłam jeździć z nią do biur Carnegiech

w centrum miasta. Stałam u jej boku, gdy brała udział w spotkaniach razem z młodszym panem Carnegiem, by doglądać interesów Cyclops Iron, Iron Forge, Union Telegraph, Lochiel Iron, Keystone Bridge, Central Transportation, Columbia Oil, Pioneer Coal, Adams Express i jeszcze kilku firm zajmujących się produkcją cegieł, węgla, lokomotyw i żelaza. Podczas spotkań moja pani milczała – cały czas świadoma, że powinna wzmocnić wrażenie, iż to młodszy pan Carnegie panuje nad sytuacją – ale jej siła i intelekt wychodziły w pełni na jaw za zamkniętymi drzwiami salonu w Fairfield. W tej nowej roli odżyła. Dopiero teraz w pełni zdałam sobie sprawę, jak jest wybitna. Dowiedziałam się też wiele o tym, jakie siły rządzą przemysłem w powojennej Ameryce.

Nieobecność starszego pana Carnegiego nie tylko dodała energii mojej pani, lecz także w pewnym stopniu wyzwoliła jej młodszego syna z poddańczej roli. Patrzyłam, jak sprzeciwia się rozkazom matki podczas tych prywatnych rozmów. I chociaż ona zachęcała go do związku z panną Lucy Coleman, gdyż było to w interesie rodziny, teraz robił to dla siebie samego. Swoboda wspólnych żartów i wzajemne przyciąganie były oczywiste dla każdego, kto na nich patrzył. Miło mi więc było obserwować go, jak zaleca się do młodej kobiety z własnej woli podczas coraz częstszych wspólnych kolacji Carnegiech i Colemanów.

Tak naprawdę pan Carnegie nigdy nie był całkiem nieobecny. Kilka razy w tygodniu do Fairfield przychodziły długie listy z egzotycznymi znaczkami na kopertach. Moja pani i jej syn czytali je sobie na głos po kolacji. Pani Carnegie zachwycała się opisami Atlantyku, który pan Andrew przemierzył na najnowszym, najszybszym statku o nazwie Scotia; śmiała się, czytając o jego powrocie w rodzinne strony, do Dunfermline, gdzie przez całą noc śpiewał szkockie piosenki z ich krewnymi. Miasteczko wydało mu się teraz „miniaturowe”. Pochłaniała jego opowieści o teatrach, restauracjach, koncertach, muzeach, operach i europejskiej architekturze. Jej starszy syn stawał się dżentelmenem i choć bardzo za nim tęskniła, cieszyła się jego zasłużoną przecież podróżą, a nawet chwaliła ją przed przyjaciółkami.

Mnie jednak listy nie dawały pocieszenia. Przeciwnie – tylko pogarszały mój nastrój. Słuchanie o przygodach, które przeżywał w towarzystwie przyjaciół, a opisywał z zachwytem i radością, czyniło moją sytuację jeszcze smutniejszą, rzucając jasne światło na moje ciągle żywe uczucia do niego.

– Słuchasz, Tom? – warknęła moja pani na swojego syna.

Tom niechętnie opuścił gazetę, którą czytał przy kominku, i udał, że jest zainteresowany. Przypuszczałam, że niezbyt go obchodziły te listy z podróży, gdyż otrzymywał swoją porcję korespondencji od brata, który żądał od niego pisemnych raportów ze stanu udziałów rodziny w poszczególnych firmach i z wykonywania jego poleceń. Młodszy pan Carnegie uważał, że sam jest w stanie podejmować decyzje i często nie podzielał determinacji brata, by nieustannie inwestować zgromadzony kapitał w nowe pomysły. Często skarżył się matce, że gdyby to on był u steru, działałby bardziej zachowawczo, oszczędzając pieniądze lub spłacając zakumulowane długi. Nigdy jednak nie sprzeciwiał się swojemu starszemu bratu, który utrzymywał, że powojenny czas jest doskonały na agresywne inwestycje, gdyż zapotrzebowanie na żelazo i kolej musiało wzrosnąć. Jakby pamiętając o swojej niezdarności, młodszy pan Carnegie nie ważył się kwestionować opinii starszego.

– Słucham cię z całą uwagą, matko – odparł Tom.

Zerknęła na młodego chłopaka, podejrzliwie mrużąc oczy.

– Czyżbym słyszała w twoim głosie sarkazm?

Tom upuścił gazetę na podłogę, położył dłonie na kolanach i powiedział:

– Oczywiście, że nie. Czekam.

– Doskonale – odparła z triumfującym uśmiechem. – Słuchaj zatem.

Najdrożsi matko i Tomie,

jest niedziela, to znaczy dzień pracy pisarskiej, jak nazwaliśmy ją z chłopcami. Jak wiecie, wyznaczyłem sobie zadanie opisywania naszych podróży w formie długich listów do was i mam nadzieję, że cierpliwie zniesiecie tę lekturę.

Nadal podbijamy kontynent. Doskonale bawimy się tu, w Dreźnie, gdyż każdy z nas trzyma się wyznaczonej dla siebie roli. Vandy to nasz naczelny germanista i majsterkowicz; Harry jest naczelnikiem poczty, gdyż zajmuje się wysyłaniem listów i bezpiecznym transportem naszych bagaży; ja służę natomiast za planistę i entuzjastę, co oznacza, że organizuję nam wycieczki i dodaję chłopcom energii. Nie nadążają za mną, męczą się zdecydowanie zbyt szybko: zresztą ty, matko, jako jedyna potrafisz dotrzymać mi kroku. Harry i Vandy jak zwykle na próżno próbują hamować mnie w mojej determinacji, by odwiedzić każde interesujące muzeum, teatr i restaurację.

Dotarliśmy do Drezna dwa dni temu: przywitało nas miasto urocze jak bombonierka. Imponujące kościelne iglice spoglądały na nas sponad krętej rzeki Łaby, po której pływały wszelkiego rodzaju łodzie. Mimo istniejącego tu przemysłu ani na niebie, ani w rzekach, ani na budynkach nie widać ciemnych śladów postępu, tak wszechobecnych w Pittsburghu. Pilny jak zawsze, uczę się języka zapierających dech w piersiach, często fantastycznych drezdeńskich budynków, zwłaszcza struktur barokowych i rokokowych w centrum miasta, takich jak Coselpalais. Kościoły, pałace i budynki rządowe nie przypominają żadnego z tych, które widziałem do tej pory, ani w starym, ani w nowym świecie. Jestem rozdarty, nie wiem, czy moim ulubionym jest kościół Świętej Zofii – jedyny w mieście kościół gotycki, wedle legendy zbudowany na początku XIII wieku – z dwiema wielkimi, bliźniaczymi wieżami, czy przepiękny rokokowy pałac z XVIII wieku, który lokalni mieszkańcy nazywają po prostu Zwinger. Gdybym musiał, prawdopodobnie wybrałbym Sophienkirche, ponieważ w środku znajdują się ogromne organy Silbermanna, na których grał ponoć kiedyś sam Bach.

Czy wolno mi uraczyć Was szczegółami opery, której wysłuchaliśmy w słynnej Semperoper? Ale jako że mówiliśmy dotąd o języku architektury, najpierw opiszę sam budynek, godny odwiedzin, nawet gdy nie słyhać w jego czcigodnych korytarzach przepięknych pieśni. Uznawana za jedną z najpiękniejszych oper na świecie, chwali się swymi trzema

architektonicznymi stylami – renesansowym, barokowym i greckim historyzmem – i jest skarbem dla takiego ucznia jak ja, któremu łatwiej je odróżnić, kiedy widzi je obok siebie. Czy zrobiłem już na tobie wrażenie, matko, znajomością architektonicznej terminologii?

Niemiecki Vandy’ego okazał się tutaj nieoceniony.

Pomaga nam nie tylko w poznawaniu kultury i sztuki, ale i w rozmowach z mieszkańcami, a nie tylko przewodnikami, którzy zazwyczaj opowiadają o odwiedzanych miastach. Wczoraj wieczorem po solidnym posiłku usiedliśmy, by napić się piwa jak prawdziwi Niemcy, a gdy opróżniliśmy już kilka butelek, zaczęliśmy żywo dyskutować z lokalnymi kupcami, a Vandy służył nam za tłumacza.

Choć cieszę się z tej rozległej edukacji, brakuje mi związku, jaki czułem z lokalną historią w Dunfermline. Tam ciotki, wujowie i kuzyni opowiadali nam historie naszych przodków, opisując ich tak barwnie, że miałem wrażenie, iż widzę ich chodzących po ulicach. Tu poznajemy imponujące opowieści o ludach, z którymi nic nas nie łączy, i choć są ciekawe, nie czuję z nimi takiego związku jak ze Szkocją, bo jej historia, tradycja i poezja nie dają się z niczym porównać. Jakże wielkie mamy szczęście, że stamtąd właśnie pochodzimy.

Jak Wasze życie w Fairfield, Matko? Czy wciąż chodzisz i zapraszasz na herbatę panie z Reynolds Street? Czy służąca Clara wciąż spełnia Twoje wysokie wymagania? Czy ona też dobrze się czuje?

Pani Carnegie przerwała i spojrzała na swojego młodszego syna.

– Jakie to miłe, że Andrew pyta o służbę, prawda? Mógłby oszczędzić na papierze. Jakiż to hojny człowiek!

Zastanawiałam się nad pytaniem pana Carnegiego, które – jak rozumiałam – skierowane było do mnie. Jak się czułam w te smutne dni bez niego?

Rozdział 26

2 grudnia 1865 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Pani Vandevort wysunęła rękę z filiżanką w stronę Hildy, by ta naląła jej herbaty. Dziewka kuchenna spojrzała na mnie z niechęcią. Dobrze znałam ten wyraz twarzy oznaczający irytację, że ona musi przygotowywać herbatę, chociaż ma mnóstwo pracy w kuchni, podczas gdy ja po prostu stoję z *châtelaine* w dłoni i nic nie robię. Gdyby nie patrzyła na mnie wilkiem tak często, współczułabym jej ze względu na różnicę w naszych obowiązkach.

– Wygląda na to, że chłopcy wyjątkowo owocnie spędzili czas w Niemczech – zwróciła się pani Vandevort do mojej pani, pań York i Coleman oraz jej córki Lucy. Damy zebrały się w salonie po kolacji na herbatę i ciastka, podczas gdy mężczyźni udali się do biblioteki na cygaro i porto. W słabym świetle gazowych lamp, które spowijało szkarłatne i złote odcienie ścian i mebli w salonie, nawet pomarszczona pani York wydawała się atrakcyjna.

– To prawda. Andra napisał nam list o ich wycieczce po Dreźnie. Wygląda na to, że chłopcom bardzo podobał się wieczór w Semperoper – odparła pani Carnegie.

Skrzywiłam się, słysząc jej nieudolną wymowę nazwy drezdeńskiej opery. Chociaż nie uczyłam się niemieckiego, nawet ja wiedziałam, że brzmi okropnie.

– Tak, to musiało być wspaniałe – zgodziła się pani Vandevort, popijając herbatę.

Moja pani postawiła filiżankę na podstawce, sięgnęła pomiędzy fałdy swojej czarnej jedwabnej sukni i wyjęła list. Wiedziałam, że ten moment nadejdzie. Biorąc pod uwagę, jak często pan Carnegie przysyłał listy, zazwyczaj była najbardziej na bieżąco i chętnie się tym chwaliła.

– Czy mogę odczytać wam fragment listu, który właśnie dostałam od Andra?

Pani Vandevort nie udało się powstrzymać westchnienia – nie wiem, czy był to wyraz frustracji, czy rezygnacji.

– Oczywiście – powiedziała. – Z przyjemnością dowiem się, co słyhać u naszych synów.

Pani Carnegie odkaszlnęła i rzekła:

– Przejdę od razu do najbardziej interesującej części... oto i ona.

Stanąć na szczycie Wezuwiusza w porannej mgle, spojrzeć na wspaniałe kiedyś Pompeje to znaczy spotkać się z historią. Wszyscy trzej niemalże słyszeliśmy huk, które rozległy się tego feralnego poranka, gdy zaczęła się erupcja. Patrząc na błękitny ocean i malownicze góry za naszymi plecami, bez trudu mogliśmy sobie wyobrazić, dlaczego uśpieni mieszkańcy Pompejów nie przejęli się nawet pierwszymi hałasami wulkanu. Kiedy jednak zeszliśmy z góry do miasta, opuścił nas już spokój ducha. Oglądając odkrycia archeologów, czuliśmy ciężar pradawnej niedoli, jakbyśmy sami przeżywali ten dzień razem z nieszczęsnymi mieszkańcami Pompejów. Jako że wulkaniczny pył spadł na nich, chowając ich za życia w nienaruszonym stanie, dokładnie widać, jak żyli i jak umarli. Zwłaszcza Dom Fauna z jego przepięknymi mozaikami stanowi niezwykły przykład wyrafinowania i erudycji tego dawnego ludu. Jakże niespodziewanie zaawansowana była ich cywilizacja! Wizyta w Pompejach skłoniła nas wszystkich do refleksji – historia wydała nam się nagle żywa i bliska – chłopcy pozostawali więc

w powrotnej drodze do Neapolu dziwnie milczący. Wszyscy chyba zastanawialiśmy się nad tym, jak nas widzieć będzie historia.

– To niezwykle poruszający opis tego miejsca – powiedziała pani Vandevort.

Moja pani rozsiadła się w fotelu, a na jej wąskich wargach pojawił się niemal zarozumiały uśmiech zadowolenia.

– Prawda?

– Żałuję tylko, że nie przyniosłam ostatniego listu, który ja dostałam od swojego syna. – Pani Vandevort postawiła swoją filiżankę na stole i sięgnęła po pudding kakaowy – jedną ze słodkości podanych przez Hildę. – Co sądzisz o ich Komitecie Matrymonialnym?

Pani Carnegie przerwała żucie migdałowego ciasteczka.

– Jakim Komitecie Matrymonialnym? – Starła się brzmieć nonszalancko, ale usłyszałam w jej głosie strach.

– Czyżby Andrew dotąd ci o tym nie napisał? – Pani Vandevort zachichotała, ciesząc się, że wyjątkowo to ona ma więcej informacji.

– Oczywiście, że napisał – skłamała. – Po prostu uleciały mi w tej chwili szczegóły.

Słowo „matrymonialny” wyrwało panią Coleman z pozornego uśpienia, być może przez wzgląd na perspektywę ślubu panny Coleman z młodym panem Carnegiem.

– Proszę o tym opowiedzieć, pani Vandevort. My z Lucy bardzo chętnie posłuchamy o tym Komitecie – zachęciła pani Coleman, wtrącając się do konwersacji.

– Wygląda na to, że nasi europejscy podróżnicy stworzyli coś w rodzaju komitetu, sporządzając listy piękności z Pittsburgha i dyskutując o ich zaletach jako potencjalnych żon. – Pani Vandevort zerknęła na Lucy i mówiła dalej. – Ty, moja droga, bez wątpienia znalazłabyś się na szczycie tej listy, gdyby nie to, że jesteś już bardzo blisko małżeństwa.

Jasna cera panny Coleman przybrała żywy, różowy odcień. Chociaż spotykała się już z garderobianą, by zaprojektowała jej suknię ślubną, rumieniła się na myśl o tym, co przyniesie małżeństwo.

Jako że komitet matrymonialny nie zajmował się planami jej własnej córki, zainteresowanie pani Coleman zanikło i dama ta powróciła do typowej dla siebie ospałości. Pani Carnegie wydawała się zbita z tropu.

– Wygląda na to, że młody pan Vandevort robi sobie żarty. Trudno mi sobie wyobrazić, by nasi synowie i młody pan Phipps sporządzali listę panien do wzięcia.

– Ależ nie, pani Carnegie, chłopcy są jak najbardziej poważni. Z tego, co zrozumiałam, przynajmniej dwaj z nich wybrali już sobie obiecujące partie.

Chociaż raz w życiu komuś udało się zszokować moją panią. Nigdy nie myślałam o panu Carnegiem w kontekście małżeństwa i teraz zaniepokoiła mnie myśl o tym, że mógłby poślubić jedną z lokalnych „piękności”, które spotykałam przy różnych towarzyskich okazjach. Przypomniała mi się nasza rozmowa podczas jego pożegnalnej kolacji i poczułam, jak płoną mi policzki. To, jak zareagowałam na wizję pana Carnegiego spotykającego się z kimś innym, podkreślało tylko moje uczucie do niego.

– Jednak z tego, co pisze mój syn – ciągnęła pani Vandevort – można wnosić, że wybrane panny wcale nie muszą jeszcze wiedzieć o ich zamiarach. I mogą się nie zgodzić.

Damy się roześmiały. Przyglądałam się, jak moja pani próbuje śmiać się razem z nimi. Następnie przeszły do rozmowy o kolejnych wyprawach chłopców, aż wreszcie – ku radości mojej pani – młodszy pan Carnegie wszedł do pokoju, by ogłosić koniec przyjęcia. Powiedział, że wcześniej rano czeka go podróż pociągiem.

Kiedy moja pracodawczyni zegnała się z gośćmi, zajęłam się przygotowaniem jej pokoi do wieczornych ablucji. Milczała po przyjściu do pokoju, a ja zdjęłam jej suknię i bieliznę w całkowitej ciszy. Wciąż się nie odzywała, gdy smarowałam jej twarz i dłonie ulubionym kremem z wodą różaną ani gdy dwieście razy przeczesywałam jej włosy i polerowałam paznokcie. Kiedy ona nie miała ochoty na

rozmowę, mnie nie wolno było nic powiedzieć, a wiedziałam przecież, dlaczego jest tak milcząca. Sama nie miałam chęci o tym mówić. Moją głowę wypełniały myśli o małżeństwie pana Carnegiego.

Gdy pani Carnegie patrzyła w lustro, sprawiając wrażenie nieobecnej, dygnęłam i odwróciłam się w stronę drzwi. Poczułam jej dłoń na swoim ramieniu.

– Claro, chyba nie wierzysz, że wróci do domu, myśląc o swojej wybrance?

Miałam nadzieję, że tak nie będzie, ale nie wiedziałam na pewno. Wiedziałam natomiast, że nie chce takiej odpowiedzi.

– Nie sądzę, by interesowało go cokolwiek prócz jego pracy i rodziny – rzekłam.

Spojrzała mi w oczy w lustrze.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Naprawdę.

– Cóż ja bym bez ciebie zrobiła, Claro?

Rok wcześniej słowa te byłyby spełnieniem moich marzeń. Stałam się niezastąpiona. Wszystko się jednak zmieniło.

Rozdział 27

26 grudnia 1865 r.

Pittsburgh, Pensylwania

– Naprawdę widać po tobie, że pracujesz dla Carnegiech, Claro – zawołała Maeve w pokoju, który zajmował cały parter ich maleńkiego domu przy Rebecca Street.

Czyściła ziemniaki i marchew, które przyniosłam na naszą spóźnioną świąteczną kolację, w wodzie, którą trzymała w garnuszku ponad paleniskiem. W żadnym z domów w Slab Town nie było bieżącej wody, a tę, którą wydobywano ze studni, trzeba było gotować, żeby pozbyć się paskudnego zapachu.

– Co masz na myśli, Maeve? Chodzi ci o ten drogi kawałek mięsa? – Niemal krzyczałam, podobnie jak ona, bo inaczej nie dało się rozmawiać wśród krzyków pięciorga dzieci i głośnego huku dobiegającego z fabryki, której tereny służyły im za podwórko. Wiedząc, dokąd się wybieram w jedyny wolny dzień, jaki państwo Carnegie dali mi w święta Bożego Narodzenia, kiedy szłam ku drzwiom dla służby, by zdążyć na pociąg, pan Ford złożył mi życzenia i włożył kawałek pieczonej wołowiny do koszyka, w którym miałam już warzywa i bochenek chleba.

Z rękami pełnymi oczyszczonych ziemniaków i marchewek Maeve podeszła do kuchennego stołu i położyła je do obrania przede mną i swoją najstarszą, prawie już siedmioletnią córką Mary.

– Nie – odparła ze śmiechem. – Chociaż jestem bardzo wdzięczna za wołowinę. Muszę przyznać, że nigdy nie jadłam tak dobrego mięsa i nie mogę się doczekać, kiedy Patrick je zobaczy po powrocie z odlewni.

Pracodawca Patricka nie był równie hojny jak państwo Carnegie. Mój kuzyn pracował nie tylko w Wigilię i drugi dzień świąt, ale nawet w pierwszy. Fabryka miała zaległości, przez co dzień wolny – nawet w Boże Narodzenie – był nie do pomyslenia.

– W takim razie co miałaś na myśli, mówiąc, że widać po mnie, że pracuję dla Carnegiech? – zapytałam, energicznie czyszcząc z brudu kuchenny stół, kiedy Maeve odwróciła się w stronę paleniska. Chociaż nie mogłam znieść widoku czystych ziemniaków i marchewki na pokrytym sadzą blacie, jednocześnie nie chciałam też zawstydić Maeve, myjąc go na jej oczach. Nie zniosłabym, gdybym pomyślała, że surowo oceniam ją czy jej dom.

– Chodziło mi o twój sposób mówienia, Claro. Brzmisz bardzo wytwornie. Nie jak córka rolnika z Galway, ale jak elegancka mieszkanka Dublina – powiedziała, zerkając na mnie. Już szczupła po urodzeniu piątego dziecka, które zajęło miejsce czwartego na jej biodrze, Maeve wciąż miała pod oczami ciemne cienie, być może jeszcze ciemniejsze po kolejnym porodzie. – Nawet zachowujesz się, jakbyś była jedną z nich.

Tak bardzo przyzwyczaiłam się do odgrywania roli osobistej służącej Clary Kelley, że niemal zapomniałam, jak to jest zachowywać się jak prawdziwa Clara Kelley.

– Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Przepraszam.

– Nie musisz przeproszać, Claro. To tylko obserwacja. Wydało mi się to dość zabawne. Patrick zresztą mówił mi, że ty i twoje siostry zawsze byłyście wyjątkowe. Że wasz ojciec wykształcił was jak chłopców.

Słowa Maeve mnie zaskoczyły. W żadnym razie nie chciała mnie obrazić, mówiła po prostu szczerze, powtarzając dość powszechną opinię o mojej rodzinie. Najwyraźniej byłam outsiderką dłużej, niż sądziłam.

– Być może będzie trzeba zbudzić dziewczynę ze wsi, żeby znaleźć ci męża. –
Roześmiała się.

Męża? Przerwałam czyszczenie, modląc się w duchu, by Maeve i Patrick nie zaplanowali na ten wieczór jakiegoś swatania. Maeve patrzyła jednak gdzie indziej. Zajęta była kołysaniem dziecka i jednocześnie smażeniem wołowiny. Może po prostu żartowała.

Drzwi wejściowe otworzyły się, wstrząsając całym rozklekotanym domkiem. Patrick ukląkł na podłodze, żeby Mary, Anthony i John mogli rzucić mu się w ramiona. Kiedy pozwolił, by dzieci wdrapywały się na niego z każdej strony, Maeve uśmiechnęła się, najwyraźniej nie zauważając, że ich twarzyczki pokrywają się brudem z odlewni, który był w każdym porze skóry Patricka. I nie dało się go usunąć, myjąc się we wspólnej studni przed powrotem do domu.

Poczułam ulgę, że Patrick wrócił do domu sam. Po tym, co mówiła Maeve, niemalże spodziewałam się jakiegoś kolegi z odlewni. A ja nie chciałam szukać potencjalnego męża w Slab Town, choć za nic w świecie nie mogłam powiedzieć tego Maeve i Patrickowi.

Patrick wstał, a dzieci wciąż chwyciły się go jak kwitnący jaśmin podpory. Przytulił mnie, pozostawiając czarne plamy na białych mankietach mojej sukni.

– Za rzadko tu bywasz, Claro.

– Przychodzę, kiedy tylko mogę. Sam wiesz, jak niechętnie pracodawcy zgadzają się na wolne dni – odparłam, odnosząc się do jego własnej sytuacji.

– To prawda. Ja musiałem w tym roku świętować zrywami... – Powąchał powietrze. – Co to za zapach?

– Clara przyniosła nam na świąteczny obiad kawałek wołowiny – powiedziała Maeve.

Patrick zagwizdał.

– W takim razie mam dziś dla państwa Carnegiech jedynie komplementy, choć nie pozwalają ci zbyt często nas odwiedzać.

Nie tłumaczyłam Patrickowi, że to nie ich hojności zawdzięczamy mięso.

– Chytrze strzegą mojego czasu, ale nie dóbr doczesnych – powiedziałam.

– A jaki jest twój pracodawca, pan Andrew Carnegie? To równy gość? – zapytał drwiąco, spodziewając się najgorszego. Jak zresztą po wszystkich pracodawcach.

Poczułam, że płoną mi policzki.

– To dobry człowiek. W każdym razie, kiedy jest na miejscu. Na razie wciąż podróżuje po Europie.

– Claro, rumienisz się – zauważyła Maeve.

– Ależ skąd! – Podejrzewałam, że protestując, rumienie się coraz bardziej. – Ciepło tu, Maeve.

– Mam nadzieję, że nic się nie dzieje, Claro. Wiesz, jacy potrafią być ci ludzie z wyższych sfer.

– On nie jest z wyższych sfer. Jego pochodzenie jest podobne do naszego.

– Tyle, że on jest Szkotem, nie Irlandczykiem. I jest dziś bogaty, nie biedny. – Patrick skrzyżował ramiona na piersi. – I jest twoim pracodawcą, nie człowiekiem tobie równym.

– Nic się nie dzieje. Od czasu do czasu miło sobie rozmawiamy. A właściwie rozmawialiśmy, zanim nie wyjechał.

– Wydaje mi się, że to dobrze, że wyjechał, Claro. Z „miłej rozmowy” między panem a służącą nic dobrego nie wyniknie. Nie wspominając już o tym, że twój ojciec by mnie zabił, gdybym cię nie ostrzegł.

– Możemy zatem uznać, że spełniłeś swój obowiązek. Ale zapewniam cię, że strzepisz język bez przyczyny.

Kiedy zabrałam się razem z małą Mary do obierania ziemniaków, a Maeve zajęła się wołowiną, zapadła niezręczna cisza. Patrick połaskotał małego Johna, a gdy jego śmiech wypełnił pokój, napięcie zelżało.

– Masz jakieś wieści z domu, Claro? – zawołał Patrick z patykowatego, drewnianego fotela, który przysunął bliżej paleniska.

Zamarłam. Niepewna, jak dużo wiedzą o sytuacji mojej rodziny, i pamiętając, jaką obsesję ma tata na punkcie prywatności, skłamałam.

– Nic nowego. Pisali o tym, które rośliny dały największe plony i co składują w piwnicy na zimę. Przytaczali jakieś lokalne plotki o rodzinie spierającej się o ziemię.

Patrick i Maeve popatrzyli po sobie.

– Nic więcej? – W jego głosie było coś dziwnego.

Odłożyłam ziemniaki i spojrzałam na kuzyna.

– Coś jeszcze powinnam wiedzieć?

Patrick, który rzadko nie wiedział, co powiedzieć, tym razem milczał. Odezwała się za to Maeve:

– Ma prawo wiedzieć.

Westchnął.

– Fenianie zaplanowali powstania jednocześnie w Nowym Jorku i Irlandii. Pomóc miała im broń przemycona ze Stanów Zjednoczonych i amerykańscy żołnierze, którzy po zakończeniu wojny domowej gotowi byli zostać najemnikami. Angielskie władze dowiedziały się o tym i szukają teraz liderów Fenian. – Zamilkł na chwilę. – Takich jak twój ojciec.

– Patricku, musiało ci się coś pomylić. Tata sympatyzuje z Fenianami, ale nie jest aktywnym członkiem ruchu. A już na pewno nie jest jego przywódcą. Owszem, współpracował z nimi trochę w latach po wielkim głodzie, bo był wściekły na Anglików, że nie chcieli nam pomóc w trudnych czasach. Mówił mi, że przesłanie Fenian o równości i wolności dla wszystkich miało wtedy sens. Ale to było wiele lat temu, choć rzeczywiście plotki o dawnych sympatiach politycznych wystarczyły, by Martynowie odebrali nam niedawno część ziemi.

– A więc o tym wiesz?

– Wiem, że Martynowie się mylą.

– Claro, wydaje mi się, że twój ojciec nic ci nie powiedział, żeby cię chronić. Sądząc po listach, które dostajemy z domu, nigdy nie porzucił roli przywódcy

Fenian. Organizacja po prostu stała się tajna. A teraz, chociaż Martynowie nie mają dowodów, Korona nalega, by wzięli się za twojego ojca. Bardziej niż w przeszłości.

– Co to znaczy? – Głos mi drżał, podobnie jak dłonie.

– To znaczy, że Martynowie unieważnili dzierżawę twojej rodziny. Przykro mi, ale nie macie już ziemi.

– Eliza mi o tym pisała – wyznałam. – Ale nic o obecnej współpracy ojca z Fenianami. Twierdziła, że zrobili to przez wzgląd na dawne plotki.

– Całkiem możliwe, że ona też o niczym nie wie. – Przerwał i pokręcił głową. – Wiem, że odbieranie ziemi to właśnie jedna z praktyk, którym twój ojciec chciał położyć kres. Chciał zapewnienia stałej dzierżawy, a także prawa do posiadania ziemi dla wszystkich. Bardzo mi przykro, Claro. Wszystkim nam przykro. Twój tata jest dobrym człowiekiem.

– Bardzo mi źle z tym, że jestem od nich teraz tak daleko.

Choć przytłaczała mnie bezradność, jednocześnie czułam wściekłość na ojca, który narażał rodzinę, kierując Fenianami w niebezpiecznej rewolcie, i z powodu tego właśnie ryzyka wysłał mnie do Ameryki. Jak mógł żądać od swojej córki takiego poświęcenia? I od całej rodziny? A wszystko to w imię sprawy, która – choć wartościowa – miała niewielkie szanse na powodzenie.

– Nie mogłabyś nic zrobić, Claro – powiedział Patrick, próbując mnie pocieszyć. – Tak naprawdę właśnie praca w Ameryce, z daleka od politycznego szaleństwa Irlandii, i przesyłanie pieniędzy do domu to najlepsza rzecz, jaką możesz zrobić dla swojej rodziny. Gdzie teraz mieszkają?

– Niedaleko Galway City, z krewnymi mamy. – Ze złości i zmartwienia zaczęłam płakać. – Dlaczego nic mi nie powiedzieli? Dlaczego wypełniali swoje listy kłamstwami? Kłamali, pisząc o powodach odebrania nam farmy. Kłamali, pisząc o tym, kim jest tata.

Maeve odłożyła dziecko na kocyk i mnie objęła.

– Wszyscy opowiadamy bajki, Claro. Czasem sami sobie, a czasem innym.

Rozdział 28

26 grudnia 1865 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Kilka stacji przed moją docelową Reynolds Street pociąg zatrzymał się przy Liberty Street. Było ciemno, jeśli nie liczyć światła dobiegającego z okienka biletera. O późnej godzinie peron wydawał się niemal opustoszały. Kiedy pół godziny wcześniej wyszłam z domu Patricka, zamierzałam pojechać prosto na Reynolds Street, teraz jednak czułam, że muszę wysiąść. Pomyślałam, że poszukam pocieszenia w jedynym w Pittsburghu kościele katolickim.

Podeszłam do źródła światła na peronie i spytałam biletera:

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jest Siedemnasta Ulica?

Uniósł głowę znad biletów, które akurat sortował, i popatrzył na mnie pytająco.

– Szuka pani kościoła Świętego Patryka?

– Tak, sir.

– Nie wziąłbym pani za katoliczkę – prychnął. Zaskoczona jego beczelną zniewagą, chociaż wiedziałam, że katolicy nie są w Pittsburghu szczególnie poważani, sądziłam jednak, że panuje tu większa tolerancja niż w moich rodzinnych stronach, odwróciłam się, by odejść. Po chwili usłyszałam jego głos: – Proszę iść na zachód wzdłuż Liberty, po minięciu kilku przecznic dotrze pani do skrzyżowania z Siedemnastą.

Zobaczyłam Liberty Avenue – była na tyle szeroka, by pomieścić kilka pasów ruchu, ale wybrukowana niewiele lepiej od polnej drogi. Panował na niej tłok, jakby był środek normalnego dnia pracy. Latarnie gazowe zapewniały wystarczająco dużo światła, by można było dostrzec, jak bardzo fabryczny dym zniszczył fasady domów i zaczernił śnieg pod stopami. Konie ciągnęły po ulicy przeciążone towarami wozy, które zatrzymywały się raz po raz, by wyładowywać skrzynki i kubły. Potrącali mnie kurierzy, sprzedawcy zamykający swoje sklepy i pracownicy fabryk idący na wieczorną zmianę. Nie robili tego przez złośliwość, po prostu wszyscy byli skupieni na swoich sprawach.

Omam nie minęłam miejsca, którego szukałam. Odwróciłam się dopiero wtedy, gdy zobaczyłam okrągłą wieżę z krzyżem wystającą zza magazynu otoczonego wozami i tłumem ludzi na rogu Liberty i Siedemnastej. W tym zatłoczonym handlowym miejscu stał kościół Świętego Patryka – sześcienny budynek z kamienia i drewna, z kamienną wieżą z boku, stanowiący proste tło dla kolejnego krzyża umieszczonego na drzwiach. Chociaż budowla była prosta i nienarzucająca się w porównaniu z prezbiteriańskimi świątyniami, których w Homewood było wiele, wydała mi się znacznie bogatsza niż te, które znałam z domu. Z powodu rządowego zakazu praktykowania katolicyzmu w Galway kult przeniósł się do prowizorycznych, pokrytych strzechą chat albo – gdy było to bezpieczne – na świeże powietrze. Dopiero w ostatnich latach zbudowano w Irlandii więcej kościołów, a i wtedy służyły one również jako szkoły.

Jak na ironię, to pani Carnegie i jej starszemu synowi powinnam dziękować za to, że dowiedziałam się o tym kościele – jednym z niewielu w całej zachodniej Pensylwanii. Poprzedniej zimy, pewnego wieczoru, gdy moja pani rozmawiała o interesach ze swoim starszym synem, usłyszałam o poprzedniej siedzibie kościoła Świętego Patryka, przy Czternastej Ulicy. Teren ten potrzebny był Pennsylvania Railroad, rozbudowującej kolej – która, jak podejrzewał pan Carnegie, będzie po wojnie domowej niezbędna – zakupiono więc kawałek ziemi przy Siedemnastej Ulicy i rozpoczęto budowę nowego kościoła z zamiarem zburzenia starego i postawienia tam budynków kolei. Kościół Świętego Patryka, przy którym się

teraz znajdowałam, został ukończony i poświęcony bardzo niedawno, piętnastego grudnia, a więc niecałe dwa tygodnie wcześniej.

To, że kościół był nowy, rzucało się w oczy: fasada była wciąż nieukończona, a sterty cegieł i drewna leżały wzdłuż wejścia do niego. Najwyraźniej spieszo się z pracą, by można było odprawić tu bożonarodzeniowe msze, ale budowa nie została jeszcze sfinalizowana. Dębowe drzwi wejściowe były jednak gotowe: widniały na nich kunsztownie rzeźbione sceny z życia Chrystusa i liczne kłódki.

Byłam zdenerwowana. Od wyjazdu z Irlandii nie przekroczyłam progu kościoła katolickiego. Nie mogłam tego zrobić. Wszyscy sądzili, że jestem porządną angloirlandzką protestantką Clarą Kelley, chodziłam więc z resztą służby na nabożeństwa prezbiteriańskie o dziesiątej rano. Mama powtarzała, że za opuszczanie mszy czeka nas kara. Zawsze lekceważyłam jej przestrogi, uznając je za przestarzałe przesady, teraz poczułam jednak niepokój.

Przed budzącymi we mnie grozę drzwiami wejściowymi leżała sterta gazet. Chcąc się uspokoić, wzięłam do ręki jedną z nich. Był to „Catholic Herald”. Przeglądając go, zauważyłam, że prócz kilku artykułów o tym, co dzieje się w poszczególnych parafiach, znajduje się w nim wiele ogłoszeń irlandzkich katolików, którzy szukali w Ameryce swoich zagubionych krewnych.

25 lipca 1865 r.

Poszukiwane informacje o Jamesie Larkinie z County Cork w Irlandii, niewidzianym od około ośmiu lat. Podobno zamieszkiwał głównie w tym mieście. Na jakiegokolwiek informacje na jego temat czeka zaniepokojona matka, która niedawno przyjechała do tego kraju, by go szukać. Adres: do wiadomości redakcji „Catholic Herald”.

4 września 1865 r.

Poszukiwane informacje o Brigid McLeary, czternastoletniej dziewczynce. Opuściła miejsce swojego pochodzenia w hrabstwie Donegal w Irlandii około trzech miesięcy temu z zamiarem emigracji do Ameryki Północnej, prawdopodobnie do Pittsburgha. Każdą informację na jej temat

z wdzięcznością przyjmie matka, Mary Doherty. Podajemy adres ojca Reilly'ego, Washington Parish, Pa.

22 października 1865 r.

Poszukiwane informacje o Josephie, synu Michaela O'Neila, który opuścił swojego ojca w Hoosac Tunnel w 1863 roku w wieku lat około szesnastu, a po raz ostatni odzywał się do brata Jamesa, pracującego nad York Canal. Powiedział wtedy, że jedzie do Pittsburgha. Każdą informację na jego temat z wdzięcznością przyjmie ojciec Condron, Beaver Parish, Pa.

11 listopada 1865 r.

Poszukiwane informacje o Jonathanie O'Rourke'u, mieszkającym ostatnio w hrabstwie Limerick w Irlandii, który przyjechał do tego miasta z Bostonu około siedmiu tygodni temu. Jego żona i troje dzieci znaleźli się teraz w tym mieście bez środków do życia. Każdą informację na jego temat przyjmą z wdzięcznością pod adresem Beechview Avenue 57, gdzie tymczasowo mieszkają.

Gdy czytałam te ogłoszenia, ścisnęło mi się serce. Irlandzkie żony, dzieci, rodzeństwo i rodzice szukali zagubionych bliskich, którzy przyjechali do tego kraju w poszukiwaniu nadziei, ale zaginęli w wielkiej masie imigrantów przybywających na amerykańskie wybrzeże. Gdzie się podziewał Jonathan O'Rourke? Czy jego żona i dzieci go znaleźli, czy może umarli „bez środków do życia”? A co z nieszczęsną czternastoletnią Brigid? Czy po prostu ciężko pracowała w Sewickley i nie miała czasu napisać, czy może stała się ofiarą pozbawionych skrupułów naganiaczy w dokach Nowego Jorku? Czy gdyby prawdziwa Clara Kelley, której miejsce zajęłam, miała w Irlandii rodzinę, to jej krewni zamieściliby podobne ogłoszenie? Mógł mnie spotkać podobny los jak wszystkich tych biedaków. Zbierało mi się na płacz na myśl o każdej z tych zagubionych dusz, jednak łzy nie chciały płynąć.

Otworzyłam drzwi i znalazłam się w kościele. Było ciemno: jedyne światło rzucały świece wotywnie stojące na ołtarzu i ogromny mosiężny żyrandol zwisający

z wysokiego sufitu. Mimo późnej pory dostrzegłam na drewnianych ławach ośmiu parafian. Moje obcasy głośno stukały o podłogę, ale nikt na mnie nie spojrział – wszyscy obecni pogrążeni byli w modlitwie. Domyślałam się, że każdy, kto znalazł się w kościele o tej porze, modli się w jakiejś ważnej intencji. Moja z pewnością taka była.

Zastanawiałam się, jak by to było, gdyby kościół ten wypełniła muzyka, jakiej pan Carnegie słuchał w Europie. W listach opisywał cudowną muzykę, którą wykonywał chór papieski w Rzymie czy której słuchał we francuskich i niemieckich katedrach czy w londyńskim Pałacu Kryształowym. Zapamiętałam słowa, którymi opisywał urządzone tam obchody urodzin Haendla:

Nie potrafię właściwie przekazać, jak majestat muzyki wnikał we mnie, kiedy słuchałem niemal czterech tysięcy muzyków grających oratorium Izrael w Egipcie. Zbudowana na Wielką Wystawę architektoniczna struktura z kutego żelaza i szyb jest ogromna, ma niemal sto tysięcy metrów kwadratowych, użyto do jej stworzenia więcej szkła niż na jakikolwiek inny budynek – i zdawało mi się, że pulsuje boskością.

Zastanawiałam się, czy ja będę umiała odnaleźć boskość w tym kościele, choć nie rozbrzmiewała w nim muzyka.

Weszłam do ławy z tyłu i uklękną na twardej, kamiennej podłodze. Odmówiłam cały różaniec, powtarzając *Ojcze nasz* i *Zdrowaś, Maryjo*, nim pozwoliłam sobie na jakiegokolwiek osobiste modlitwy. Najpierw prosiłam o spokój dla mamy, taty, Cecelii i Elizy, a potem o wskazówki, jak najlepiej im pomóc. Modliłam się o to, by Bóg pomógł mi wybaczyć tacie, że ryzykował bezpieczeństwo swojej rodziny i wysłał córkę na drugą stronę Atlantyku, licząc na to, że odniesie sukces w świecie całkiem różnym niż jej świat rodzinny.

Rozpłakałam się na myśl o ostatnim liście od Elizy i jej nieświadomości przyczyn nieszczęścia, które ich spotkało.

Tata mówi, że nasza sytuacja w żadnym wypadku nie jest tak tragiczna, jak w czasach głodu. Wtedy, tłumaczył, setki ludzi umierały przy drogach, a ich ciała leżały na stertach na rogach ulic, jakby nie starczało dla nich miejsca na kościelnych cmentarzach. Zwraca uwagę na to, że on i Cecelia mają pracę, że na naszych stołach co wieczór jest jedzenie, i twierdzi, że całkiem dobrze dajemy sobie radę. A jednak, Claro, nie jest dobrze. Po prostu udaje nam się przeżyć. Dopiero teraz zdajemy sobie z Cecelią sprawę, jak idylliczne było nasze życie na wsi – nawet ona wspomina z nostalgią zajęcia, na które kiedyś tak narzekała, jak sprzątanie zwierzęcych zagród – i jak bardzo zależni byliśmy od ziemi, którą zgromadził tata. Chociaż wiem, że nienawiść jest grzechem, nienawidzę Martynów za ich nieuzasadnioną zemstę na nas wszystkich. Nie tylko odebrali nam gospodarstwo, ale też odebrali mi Daniela. Dowiedzieliśmy się, że obiecał poślubić córkę Flanaganów, której ojciec ma ponad 400 arów. Kiedy o tym usłyszałam, moje serce pękło powtórnie.

Jedynym błogosławieństwem są pieniądze, które nam regularnie przysyłasz. Przeworność, dzięki której tata wysłał cię do Ameryki, może zostać przypisana jedynie łasce Najświętszej Pani. Droga Siostrze, nie pozwól, by cokolwiek przeszkodziło Ci pisać do nas, chyba że praca, która zapewnia nam wszystkim bezpieczeństwo, jako że w tych trudnych dniach nie ma dla nas większej radości niż czytanie Twoich listów. Być może pewnego dnia, zaciskając pasa, uda nam się zebrać wystarczająco dużo pieniędzy, by wybrać się do Ameryki. Jakże ucieszylibyśmy się, znów widząc Twoją jasną twarz.

Znów wzbierała we mnie złość na tatę, a gdy modliłam się, by Bóg mnie od niej ochronił, prosto z ołtarza dosięgło mnie światło. Nie byłam na tyle zuchwałą, by sądzić, że to znak od Boga. Gdy zmrużyłam oczy i spojrzałam na ołtarz, zobaczyłam jego źródło. Przy ołtarzu stanął ksiądz ze świecą w dłoni, z pateną i dzbanem, które przyniósł zapewne na mszę o północy.

Światło sprawiło jednak, że przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Pomysł, który mógłby wyznaczyć drogę mojej rodzinie. Pomyślałam, że ratunek przed rozpacą może znajdować się nie na zewnątrz, lecz wewnątrz. Być może wystarczy, że podążę szlakiem pana Carnegiego.

Zmęczona wydarzeniami tego dnia i emocjami, których doświadczyłam, wróciłam na stację kolejową. Kiedy dotarłam na Reynolds Street, poprosiłam mleczarza, by podwiózł mnie do Fairfield, które znajdowało się na jego trasie. Wykończona i zmarznięta, stanęłam w końcu przed drzwiami dla służby domu Carnegich. Przy stole w kuchni siedział pan Ford. Często nie spał jeszcze po północy, ale wtedy pracował, przygotowując się na następny dzień. Nie tym razem.

– Jak miło widzieć przyjazną twarz po powrocie do domu, panie Ford.

Pokiwał głową, ale się nie uśmiechnął. Wciąż siedział nieruchomo.

– Jeszcze raz dziękuję za wołowinę. Moja rodzina rzadko cieszy się takim mięsem. To była dla nas wszystkich wielka przyjemność.

Znów kiwnął głową. I nadal milczał.

– Co się stało, panie Ford?

Leżała przed nim otwarta koperta. Bez słowa przesunął ją w moją stronę.

– Rozumiem, że już pan przeczytał tę wiadomość? – spytałam.

– James mi ją przeczytał. Ja nie umiem.

– Chciałby pan, żebym przeczytała ją panu na głos jeszcze raz?

– Nie. Nie zniósłbym tego.

Ostrożnie wyjęłam list z koperty i zobaczyłam, że jest napisany przez pracownika Biura do spraw Wyzwoleńców, nowej agencji federalnej, która miała za zadanie pomoc byłym niewolnikom. Jednym z jej głównych celów było łączenie członków rodziny, którzy zostali rozdzieleni w czasie wojny. Znałam sytuację pana Forda, więc zrobiło mi się słabo.

„Odpowiadamy na pańskie pytanie dotyczące miejsca pobytu pana żony, Ruth Ford, i córki Mabel, które po raz ostatni widziane były na Francis Plantation” – przeczytałam. Potem napisano kilka zdań na temat roli Biura do spraw

Wyzwoleńców, a na koniec: „Z przykrością zawiadamiamy pana, że nie zidentyfikowano byłych niewolników o takich nazwiskach na Francis Plantation”.

Chwyciłam dłoń pana Forda i spojrzałam mu w oczy. Iskierka, która zazwyczaj je rozświecała, teraz zgasła. Pozbawiony nadziei, która przez lata była jego kotwicą, zdawał się teraz bezradny i bezbronny.

– Może opuściły już Południe i są w drodze na Północ?

– Wygląda na to, że Ruth i Mabel nigdy nie było na Francis Plantation. Nie wiem, gdzie jeszcze ich szukać.

Zrobiło mi się równie smutno jak wtedy, gdy czytałam ogłoszenia w „Catholic Herald”. Tak wiele ludzi zaginęło na tej ziemi.

– To straszna wiadomość, panie Ford, ale jestem pewna, że jeszcze nie wszystko stracone. Na pewno Biuro do spraw Wyzwoleńców potrafi szukać ludzi na jeszcze inne sposoby. Jestem też pewna, że państwo Carnegie pomogą...

Uniósł rękę, żeby mi przerwać.

– One odeszły, panno Kelley. Byłem durniem, sądząc, że może być inaczej. Od czasu, gdy zgubiliśmy się w tunelu wiele lat temu, wiedziałem, że odeszły.

Rozdział 29

24 marca 1866 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Pochylona nad żarem gasnącego ognia w ciemnej bibliotece, próbowałam odczytać maleńkie literki w „Allegheny Business News”. Gdy słowa stały się wyraźne, zobaczyłam znajome nazwiska dawnych przełożonych pana Carnegiego w Pennsylvania Railroad, Scotta i Thomsona, którzy związani byli z niemal wszystkimi inwestycjami i przedsiębiorstwami Carnegiech. Uporządkowałam swoją tabelkę, dodając nazwiska panów Scotta i Thomsona jako partnerów w kolejnym przedsięwzięciu biznesowym.

Skomplikowana tabelka, długa teraz na dwanaście stron, zaczynała powstawać jako zwyczajna lista przedsiębiorstw i pakietów kontrolnych Carnegiech. Gdy słuchałam mojej pani, jej syna i ich gości oraz biznesmenów, z którymi się spotykali, lista rozrosła się w tabelę. Następnie rozpisałam związki między przedsięwzięciami Carnegiech a stojącymi za nimi ludźmi. Proces ten nie różnił się tak bardzo od skomplikowanych konspektów historii Europy, które kazał mi przygotowywać tata, czy rekapitulacji angielskiego prawa obowiązującego w Irlandii, którego uczyłam się razem z siostrami. Jedynie temat i główni gracze byli inni.

Kiedy dobrze już poznałam sieć powiązań, zaznaczyłam związki Carnegiech z handlem w całym regionie, a następnie pogłębiłam swoją wiedzę na temat

wpływu wojny domowej – jej trwania i zakończenia – na cały naród. Dowiedziałam się, że choć umowy federalne na żelazo, węgiel i inne towary wygasły po wojnie, wydolność wytwórców znacznie wzrosła i byli oni chętni do działań na rzecz rozwoju przemysłu. Rozwój połączeń kolejowych przyczyniał się do tego przemysłowego boomu, gdyż powiązano krótkie drogi transportowe i stworzono sieć prowadzącą ze wschodu na zachód i z północy na południe, dzięki której można było taniej przewozić ludzi i towary, co wpływało na ożywienie handlu. Wraz z rozrastaniem się sieci kolejowej rosło również zapotrzebowanie na żelazo, a także na stal, silniki, koła i mosty.

Wszystko toczyło się tak, jak przewidział pan Carnegie. Zdałam sobie sprawę, że rezygnacja z pracy na kolei i wyjazd do Europy pozwoliły mi na wykorzystanie jego znajomości przemysłu kolejowego – oraz relacji z panami Scottem i Thomsonem – by rozpocząć współpracę z niemal wszystkimi przedsiębiorstwami zajmującymi się rozwojem kolei. Był przygotowany do tego, by stać się jednym z najważniejszych biznesmenów w kraju, zajmujących się – co najmniej – koleją, żelazem i stalą.

Gdy pracowałam nad swoją tabelą, doszłam do wniosku, że bycie niewidzialną przynosi wyraźne korzyści. Odgrywając rolę doskonałej służącej, z definicji głuchej i ślepej na wszystko, co działo się wokół, byłam obecna przy najbardziej poufnych rozmowach. Moją nagrodą stały się informacje, którymi wypełniałam swoją tabelę i na których opierałam przewidywania. Oczywiście nie miałam pieniędzy, które mogłabym zainwestować, jednak utrata rodzinnego gospodarstwa i kłopoty, jakich narobił nam tata, stały się początkiem pewnego planu. Zamierzałam co miesiąc oszczędzać trochę pieniędzy i inwestować je, jak to uczynił pan Carnegie. Być może uda mi się zgromadzić tyle, by móc bezpiecznie sprowadzić moją rodzinę do Ameryki. Czyż pan Carnegie nie zdobył wielkiego bogactwa w podobny sposób? Wiedza o tym dawała mi nadzieję.

Drzwi zaskrzypiały za moimi plecami. Odwróciłam się i spojrzałam zza skórzanego fotela, za którym się ukryłam. Drzwi biblioteki były zamknięte. Być

może poruszył nimi wiatr towarzyszący wiosennej burzy. Wróciłam do swoich notatek.

Znów usłyszałam skrzypienie. Tym razem wstałam – z gazetą, zeszytem i podręcznikiem ekonomii w rękach – gotowa do ucieczki. Nie mogłam pozwolić, by pan Holyrod czy pani Stewart mnie tu zastali. Z przyjemnością donieśliby o tym pani Carnegie.

Drzwi otworzyły się, a ja straciłam możliwość ucieczki. Nim intruz mi się pokazał, zaczęłam przygotowywać w myślach wytłumaczenie swojej obecności w bibliotece. Uznałam, że najlepszą wymówką będzie ta o poszukiwaniu książki dla pani Carnegie.

Nie usprawiedliwiłam się jednak, bo nie byłam w stanie się odezwać – do biblioteki wszedł pan Carnegie.

– Panna Kelley – powiedział. Brakowało mu tchu, jakby wbiegł tam po schodach. – Nie spodziewałem się pani.

– Pan... pan Carnegie – wydukałam. – Nie miałam pojęcia, że wrócił pan już z Europy. Bardzo przepraszam za swój wygląd. – W koszuli nocnej, szlafroku i z rozpuszczonymi włosami czułam się naga. Wygładziłam fałdy materiału, jakby mogło to coś pomóc.

– Nie ma za co przepraszać, panno Kelley. Wygląda pani bardzo dobrze. – Uśmiechnął się. – Nie mogła się pani mnie spodziewać. Zamierzałem zrobić swoim powrotem niespodziankę.

– Przyjechał pan znacznie wcześniej, niż się spodziewaliśmy. W pańskim ostatnim liście, wysłanym, jak sędzę, z Anglii, z której zamierzał pan wyruszyć do domu, napisał pan, że wróci późną wiosną z eleganckim sprzętem do łucznictwa w walizce.

– Zacytowała pani zdanie z mojego listu prawie dosłownie.

– Niemal co wieczór miałam przyjemność słuchać, jak pańska matka czytała je młodemu panu Carnegiemu.

– Miałem nadzieję, że znajdzie pani jakiś sposób, by je przeczytać. Lub usłyszeć. – Obniżył głos do szeptu. – Czasem zwracałem się w nich do pani.

Udając, że nie słyszałam tej uwagi, powiedziałam:

– Pańska matka będzie zachwycona. Czy mam ją zawołać?

– Nie, dziękuję, panno Kelley. Mam zamiar pokazać się jej dopiero na śniadaniu. Chciałbym zobaczyć jej minę, kiedy wejdzie do jadalni i ujrzy mnie spokojnie czytającego gazetę przy stole – powiedział ze śmiechem.

– Zawsze potrafiliście się rozweselić – odparłam, uśmiechając się.

– Mam nadzieję, że wywołam śmiech, a nie przestech.

– Pańska obecność może jej przynieść jedynie radość. Ogromnie za panem tęskniła.

– Czy tylko ona? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Nie – odpowiedziałam szczerze, choć mgliście. – Wszyscy w Fairfield za panem tęskniliśmy.

Gdy już wymieniliśmy się uprzejmościami, zapadła cisza. Tykanie zegara stawało się coraz głośniejsze. Bałam się jednak odezwać, by nie zabrzmiało to zbyt wzniośle czy konwencjonalne, biorąc pod uwagę konfesyjny charakter naszej ostatniej rozmowy.

Wreszcie pan Carnegie się odezwał.

– Jak się pani miała przez tych ostatnich dziesięć miesięcy, panno Kelley?

– Ufam, że dobrze służyłam pańskiej matce, panie Carnegie.

– Nie pytam o moją matkę. Pytam o panią.

Jego niespodziewane przybycie i szczerłość zdenerwowały mnie, odpowiedziałam więc, kontrolując się mniej niż zwykle.

– To był trudny czas.

– Mam nadzieję, że nikt w naszym domu nie traktował pani źle? – zapytał, patrząc badawczo.

– Ależ nie – uspokoiłam go. – Było mi trudno ze względu na pewne sprawy osobiste.

– Mnie również nie było łatwo, panno Kelley.

– Bardzo mnie to dziwi. Pańskie listy aż kipiały od przygód i zachwyków. Nie dostrzegłam śladu trudności.

– Te listy pisałem, by uspokoić matkę – powiedział. – Prawda niepotrzebnie by ją zmartwiła.

– Jestem pewna, że była to mądra decyzja. Komitet matrymonialny i tak wystarczająco ją zaniepokoił.

Pan Carnegie zmarszczył brwi.

– Jaki komitet?

– Matrymonialny – odparłam nonszalancko, jakby na mnie wiadomość o nim nie zrobiła wrażenia, jakby na samą myśl o tym komitecie nie ogarniała mnie zazdrość. – Zdaje się, że pański towarzysz podróży, pan Vandevort, wspomniał o nim w liście do swojej matki, a ona opowiedziała o nim pani Carnegie.

– Vandy zawsze był gadułą – jęknął. – Nawet o takim głupim pomysle, na który wpadliśmy pewnej nocy, musiał opowiedzieć swojej matce. Pewnie będę musiał naprawić wyrządzone szkody jutro rano.

– Rzeczywiście, pańska matka martwiła się, że wróci pan i będzie miał już wybraną przyszłą pannę młodą. – Uśmiechnęłam się pod nosem, wspominając jeden z najbardziej teatralnych popisów mojej pani. – Albo, co gorsza, z zagraniczną panną młodą pod ramię.

Zaśmiał się i znów zamilkł.

– W kwestii matrymonialnej nic się nie zmieniło – rzekł po chwili.

Nie odrywałam wzroku od podłogi. Bałam się spojrzeć mu w oczy, choć jakaś część mnie bardzo chciała się dowiedzieć, co w nich jest. Czy zarozumiałstwem było odbieranie tego stwierdzenia jako skierowanego do mnie? Pragnęłam odpowiedzi, ale też wiedziałam, że mogła ona przynieść mi tylko kłopoty. Z nerwów zgniatałam w dłoni gazetę i książki, które chowałam w fałdach szlafroka.

– Co tam pani chowa, panno Kelley? Mam nadzieję, że to jakieś nowe wiersze Elizabeth Barrett Browning.

– Obawiam się, że to nic tak interesującego. To gazeta, notes i dokumenty – powiedziałam, nie pokazując ich.

– Mogę zobaczyć?

Zawahałam się. Jak zareaguje, widząc, że studiuje portfele jego akcji? Z jednej strony chciałam poznać jego opinię, z drugiej jednak bałam się jej.

Nie miałam wyboru. Podałam mu książkę i gazetę.

– Rozumiem, że wybrała pani „Allegheny Business News”, ale *Ekonomia polityczna* Alonza Pottera? – Uśmiechnął się na widok książki. – To trudna lektura, panno Kelley, i napisana znacznie gorzej niż wiersze pani Browning.

– Staram się dowiedzieć czegoś więcej o świecie biznesu. By zakończyć edukację, którą pan rozpoczął – odpowiedziałam, nie wyjaśniając, oczywiście, dlaczego ta wiedza była dla mnie tak ważna.

– Ach. Niuanse świata interesów lepiej poznawać od ludzi, nie z książek.

– Mój nauczyciel przebywał akurat w Europie – odparłam z uśmiechem. – Zresztą, czy pan nie uczył się w bibliotece pułkownika Andersona?

– I tu mnie pani ma. – Odwzajemnił uśmiech, po czym wyjął mój notatnik spod *Ekonomii politycznej*. – Mogę przejrzeć? – zapytał.

Pokiwałam głową.

Pierwszych kilka stron przejrzał dość szybko, potem jednak każdej zaczął przyglądać się uważniej.

– To wspaniałe, panno Kelley. Jak udało się pani zdobyć taką wiedzę? Wykazała się pani znajomością nie tylko interesów Carnegiech, ale też przemysłu Pittsburgha, a nawet przedsiębiorstw kolejowych, żelaznych i stalowych.

– Szukałam informacji. I słuchałam. Także wtedy, gdy, być może, nie powinnam była słuchać.

Uniósł głowę znad mojej tabeli.

– W taki sposób zdobywa się najważniejsze informacje, panno Kelley.

– Pańska matka i pani Seeley nie zgodziłyby się z panem. Dobra służąca żyje tylko po to, by usługiwać swojej pani. Nie podsłuchuje jej rozmów.

– Osoba o pani umyśle nie jest w stanie zignorować toczących się wokół rozmów – wyśmiał moje protesty. – W każdym razie jest pani kimś więcej niż tylko służącą pani domu. Widzi pani w świecie to, co ja w nim widzę. Związki między przemysłem a historią, synergii między firmami. Większość biznesmenów ma wąski ogląd świata. Myślałem, że tylko ja patrzę w taki sposób.

Poczułam gorąco na policzkach i z wdzięcznością pomyślałam o słabym świetle kominka. Znał mój słaby punkt – była nim potrzeba docenienia mojej inteligencji.

– Zaszczyc mnie pan komplementami, panie Carnegie.

– To nie czcze pochlebstwo, panno Kelley. Zauważyła pani powiązania, o których nawet ja nie pomyślałam. Gdyby była pani mężczyzną, zatrudniłbym panią. – Przerwał, a gdy odezwał się znowu, jego głos był łagodniejszy i bardziej empatyczny. – Ale nie jest pani mężczyzną. Proszę więc pozwolić mi sobie pomóc, a kto wie? Może później to pani pomoże mnie.

Dałam się skusić tą propozycją. Czy to się mogło udać? Czy razem mogliśmy dodać mojej tabeli precyzji i blasku? Czy moglibyśmy planować przyszłe inwestycje, opierając się na zebranych informacjach, i zarobić pieniądze, które pozwolą ocalić moją rodzinę? Czy też relacja służbowa zostanie przykryta przez nasze uczucie?

Rozdział 30

2 maja 1866 r.

Pittsburgh, Pensylwania

– Panie Scott, zawsze był pan niepoprawnym złośliwcem! – zawołała moja pracodawczyni.

Jej nieco nieśmiałe zachowanie w towarzystwie dawnego mentora, a dziś partnera pana Carnegiego w interesach zawsze mnie zaskakiwało, gdyż przyjmowała taką postawę tylko w jego obecności. Swoją drogą, nie było nikogo, kto przypominałby przystojnego pól Szkota, pól Irlandczyka, który wspinał się w hierarchii branży kolejowej jak jej Andra i który pociągnął jej syna za sobą. Jego jedynie obdarzała swoim niegdysiejszym urokiem, a pan Scott był na tyle uprzejmy, by go odwzajemnić.

– To pani mnie do tego skłania – odparł pan Scott.

Pani Carnegie, kiedy przestała wreszcie chichotać jak dziecinka, zadzwoniła po poobiednie napoje. Pan Holyrod wszedł do środka ze srebrną tacą zastawioną kolorowymi likierami w kryształowych karafkach. Nalał whiskey dostojnemu, siwowłosemu panu Thomsonowi, prezesowi Pennsylvania Railroad, i sherry panu Scottowi. Pan Carnegie, jak zwykle, odmówił, a pani Carnegie wyjątkowo poprosiła też o sherry.

– Pyszna kolacja, proszę pani – powiedział pan Thomson, pochylając się do przodu, by stuknąć się z nią kieliszkiem. Przez cały wieczór nie wypowiedział tylu

słów. Po pierwszym spotkaniu z nim przypisywałam to milczenie wyniosłości, ale pan Carnegie wyjaśnił mi, że ten wybitny biznesmen naprawdę jest dość nieśmiały.

– Cała przyjemność po naszej stronie, sir – odparła poważnie pani Carnegie. Podobnie jak pan Scott, pan Thomson również był narzędziem, którego Andrew użył, by osiągnąć sukces, dlatego też jego matka traktowała go zawsze ze szczególną troską. Jemu nigdy nie rzuciła złośliwych spojrzeń.

– Jak rozumiem, będą dziś panowie dyskutować o Union Iron Mills i Keystone Bridge Company – powiedziała moja pani.

Panowie Scott i Thomson spojrzeli na pana Carnegiego pytająco, zastanawiając się, czy zgadza się, by jego matka prowadziła rozmowę o interesach, zwłaszcza dotyczącą dwóch firm, w których mieli sekretne udziały. Pokiwał głową. Jedną z cech, które najbardziej w nim podziwiałam, była wiara, że kobieta jest w stanie dorównać mu w interesach. Pogląd ten podzielało niewielu z jego kręgów.

– Nie śmiałabym się wtrącać, a jeśli już, to tylko po to, by życzyć wam wszystkiego najlepszego w zabezpieczaniu umów koniecznych do zapewnienia sukcesu waszym przedsięwzięciom – ciągnęła. – Dobranoc panom.

Kiedy moja pracodawczyni ruszyła schodami na górę, a panowie skierowali się do biblioteki, by zapalić cygara, poszłam za panią Carnegie do jej sypialni, świadoma, że jej syn patrzy na mnie. Gdy dotarłam na szczyt schodów, uśmiechnęłam się do niego. Podczas naszych rozmów biznesowych zdałam sobie sprawę, że moje uczucie do niego nie osłabło, i domyślałam się, że jego uczucie do mnie również, jednak rozmawialiśmy o tym. Rozmawialiśmy natomiast o przemyśle, lekceważąc wszelkie emocje, które mogłyby nam przeszkadzać.

Czy to z powodu sherry, czy zainteresowania pana Scotta, pani Carnegie nuciła sobie pod nosem, gdy zdejmowałam z niej części ubrania, wkładałam koszulę nocną, dwieście razy przeczesywałam włosy i wsmarowywałam krem w jej dłonie. Idąc do łóżka, powiedziała:

– Claro, zapomniałam książki, którą chciałam poczytać przed snem. Jest na kredensie w bibliotece. Idź po nią.

– Dobrze, proszę pani.

Nie chciałam przeszkadzać w męskiej rozmowie, zesłam więc cicho po schodach dla służby, uważając na szczególnie skrzypiący schodek.

Będąc w tylnym korytarzu, zastanawiałam się, jak wejść do biblioteki niezauważona.

Z biblioteki dobiegł krzyk. Instynkt podpowiadał mi, by popędzić do niej i upewnić się, że nikomu nic złego się nie stało, kiedy jednak usłyszałam, że to pan Carnegie krzyczy, zatrzymałam się. Czyżby panowie się pokłócili? Zwolniłam kroku i zaczęłam się przysłuchiwać słowom dochodzącym z biblioteki.

– Czy nie do mnie należy połowa twojego pakietu akcji w Keystone Bridge? – Poznałam łagodny zazwyczaj głos pana Scotta, który kipiał teraz z wściekłości.

– Owszem, należy. Ale to nie daje ci prawa do dyktowania mi decyzji – odparł pan Carnegie równie gniewnie. Jeśli nie liczyć kłótni między nim a jego bratem, której byłam niegdyś świadkiem, nigdy nie słyszałam w jego głosie podobnej złości. – Twoje pięć procent tym bardziej, Edgarze.

– Nigdy nie mówiłem, że daje – odpowiedział pan Thomson. W jego głosie nie było takiego gniewu jak u panów Scotta i Carnegiego.

– Pozwól, że przypomnę ci o naszej umowie – wycedził przez zęby pan Carnegie. – Pennsylvania Railroad pod twoim kierownictwem zamawia mosty, podpisując umowy z Union Iron Mills i Keystone Bridges. Union Iron Mills zapewnia żelazo, z którego Keystone Bridge buduje mosty. Panowie zarabiacie na umowie między Pennsylvania Railroad a Keystone Bridge, a potem drugi raz, kiedy Keystone Bridge kupuje konieczne żelazo od Union Iron Mills, ponieważ posiadacie udziały zarówno w Keystone Bridge, jak i w Union Iron Mills. Tajne udziały, oczywiście.

– W porządku – powiedział po chwili pan Thomson, paląc swoje cygaro. Chmura gryzącego dymu wydostała się na korytarz. Stłumiłam kasznięcie. – Pod warunkiem, że to uczciwe.

– Jak najbardziej, Edgarze. Cały proceder jest jak najbardziej legalny. Poza tym wy dwaj niczym nie ryzykujecie, a spijacie całą śmietankę. To ja ponoszę ryzyko, aranżując umowy i finansowanie, upewniając się, że projekt spełnia wymogi bezpieczeństwa, i nadzorując budowę mostu oraz przecinających go torów. Wy dwaj macie tylko akceptować zlecenie. A kiedy znajdziemy się poza zasięgiem Pennsylvania Railroad, nawet tego nie będziecie musieli robić. W naszej umowie nie ma słowa o tym, byście mieli podejmować decyzje. To moja prerogatywa. – Jego głos był twardy i nieustępliwy. Wydało mi się szokujące, że przemawia takim tonem do dwóch mężczyzn, którzy byli od niego wyżej. W każdym sensie.

Gdzie się podział dobrotliwy mężczyzna, którego znałam? Czyżby człowiek, który znów stał się moim cierpliwym nauczycielem, nagle zniknął? Po jego powrocie przed sześciu tygodniami uznaliśmy, że mury Fairfield zapewniają wystarczająco dużo możliwości, by raz na jakiś czas można było poświęcić kwadrans na dyskusję o biznesie, mimo ciągłej obecności jego matki, brata czy innych służących. Było tu znacznie bezpieczniej niż na zewnątrz, czego dowiodło spotkanie z panną Atkinson i to, że opowiedziała o nim pani Carnegie. Mijając mnie w korytarzu, mówił o nowinach z branży stalowej, żelaznej czy kolejowej, a ja zapisywałam je w swoim zeszycie. Gdy znosiłam pościel jego matki, na schodach po cichu rozmawialiśmy o otrzymanym przez niego liście. Kiedy goście przechodzili z jadalni do salonu, on wracał do mnie, by przedyskutować zasłyszaną opinię o nowym sposobie wzmacniania żelaznych i stalowych szyn. Chowałam notatnik w dużych kieszeniach sukni, gotowa na wyjęcie go w razie potrzeby.

Pan Scott nalegał:

– Projekt związany z budową mostów, w który chcesz się zaangażować, jest zbyt duży i skomplikowany. Trzymaj się tych lokalnych. Marże może są i niższe, ale ryzyko, którego ponoszeniem lubisz się popisywać, również jest mniejsze.

– Nie sądziłem, że jesteś tchórzem, Tomie – zagrzmiał pan Carnegie. – Jeśli nie przedstawimy naszej oferty, kiedy na rynku pojawi się duże zlecenie na mosty, umowę bez wątplenia podpiszą nasi rywale. A potem kolejną i kolejną. Nie

zamierzam stracić ani jednego dużego zlecenia, rozumiecie? Podejmę wszelkie kroki, by przedsięwzięcia te zakończyły się sukcesem.

Sprężyny fotela zapiszczały, gdy jeden z mężczyzn wstał.

– Dosyć tego, Andrew. Wiesz, że podziwiam twoją ambicję, ale nie zapominajmy, że bez nas, ludzi kolei, twoje plany nie przyniosłyby owoców – oświadczył pan Thomson.

– Nie zapominajmy też, że beze mnie żaden z tych planów w ogóle nie mógłby zostać zrealizowany – odparł pan Carnegie. Nie miał najmniejszego zamiaru ustąpić tym potężnym mężczyznom i postępować zgodnie z ich wolą.

Tykanie zegara stało się głośniejsze, gdy w bibliotece zapadła cisza. Czyżby panowie znaleźli się w impasie? Czy straciłam szansę, by wejść do środka przez nikogo niezauważona? Kiedy usłyszałam dobiegające z pokoju szelest i tupanie, uznałam, że to moja szansa, i zaczęłam odsuwać się od głównych drzwi biblioteki. I na kogoś wpadłam.

Odwróciłam się: to był pan Carnegie. Najwyraźniej wyszedł z biblioteki drzwiami, które znajdowały się obok kominka.

– Podśluchiwała pani, Claro? – wyszeptał.

Odskokczyłam i uderzyłam plecami o ścianę. Czy złościł się na mnie? Chociaż nie słyszałam w jego głosie gniewu, jego rozmowa z panami Scottem i Thomsonem zaniepokoiła mnie. Doszłam do wniosku, że wcale go nie znam. Był zmiennym niczym *síofra*. Czy naprawdę mogłam mu zaufać?

Uchwyciłam się myśli o książce.

– Nie, przyszedłam po książkę dla pańskiej matki. Czeka na mnie, muszę się pospieszyć.

– Czy słyszała pani moją rozmowę z panami Scottem i Thomsonem?

– Nie.

– To stracona szansa. – Wydawał się rozczarowany.

– Co ma pan na myśli? – Nie rozumiałam, dlaczego miałby chcieć, bym słyszała tę niestawiającą go w dobrym świetle rozmowę.

– Odbyłem właśnie dość burzliwą dyskusję z panami Scottem i Thomsonem o tym, jak ma wyglądać zawieranie umów między Pennsylvania Railroad, Union Iron Mills i Keystone Bridge. Postarałem się, by zrozumieli, że zrobię wszystko, by odnieść sukces. A oni, jeśli chcą ze mną współpracować, muszą postępować podobnie.

– Przykro mi, że nie słyszałam waszej rozmowy, panie Carnegie. Proszę wybaczyć, ale naprawdę muszę iść do pańskiej matki. – Dygnęłam i pobiegłam korytarzem dla służby w stronę relatywnie bezpiecznej sypialni mojej pani.

Kiedy byłam na schodach, myślałam o tym, jak w ciemności mojego pokoju, po długim dniu usługiwania nieprzewidywalnej pani Carnegie, będę znów myśleć o jej synu jak o kimś więcej niż tylko nauczycielu. Gdy nastał dzień, odegnałam od siebie te myśli, obawiając się, by nie zdradzić się z nimi w jego obecności. Musiałam zachować równowagę między różnymi rolami, które codziennie odgrywałam. Rolami, od których tak naprawdę zależało przetrwanie mojej rodziny. Teraz jednak, poznawszy zmienną naturę pana Carnegiego, musiałam pracować ciężiej, by trzymać swe uczucia na wodzy. Chodziłam po cienkiej linii i musiałam zachować ostrożność, gdyż jeden jego kaprys mógł ją zerwać.

Rozdział 31

3 maja 1866 r.

Pittsburgh, Pensylwania

– Claro, pomóż paniom, proszę. Pogoda zniszczyła im fryzury – rozkazała mi pani Carnegie, gdy do foyer wkroczył tłumek pań zaproszonych na popołudniową herbatkę i wista.

Wiosenna burza z gwałtownym deszczem szalała w okolicy. Wystarczyło kilka kroków z powozów do drzwi Fairfield, by damy z Homewood całe zmokły.

– Zapraszam panie. – Wskazałam gestem główne schody prowadzące na drugie piętro, gdzie znajdowała się luksusowo urządzona gościnna sypialnia, przeznaczona właśnie do podobnych celów. Ruszyłam na górę, sprawdzając, czy panie podążają moim śladem. Usłyszałam za plecami ich narzekania na pogodę, która sprawiła im kłopot przecież tylko przez chwilę. Przypomniałam sobie codzienne ulewy w Galway i pomyślałam, że damy te są niezwykle rozpieszczone.

Panie Pitcairn, Wilkins i Coleman ruszyły za mną do sypialni, której ściany pokrywała tapeta w kolorze zielonego jabłuszka. Pani Pitcairn opadła na pikowany szezlong, by uspokoić oddech – musiała odpocząć po wejściu po schodach w ciasnym gorsecie. Pani Coleman przejrzała się w złoconym lustrze, poprawiając swoje eleganckie uczesanie – ta dama fryzurami nadrabiała swoją małomówność. Zaproponowałam, że osuszę lawendową suknię pani Wilkins, a po chwili pozostałe damy prosiły mnie o to samo.

Kłęcząc przed paniami, które ustawiły się do mnie w kolejce, najpierw słuchałam narzekania na pogodę pani Wilkins, która – jako żona jednego z najbogatszych ludzi w regionie, sędziego Williama Wilkinsa, i córka byłego wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych George’a W. Dallasa – była zawsze najbardziej szanowanym gościem w domu pani Carnegie. Gdy wyczyściłam jej sukienkę, pani Coleman zaczęła mówić na swój ulubiony temat. Głędziła i głędziła o planowanym na lato ślubie jej córki Lucy z Tomem Carnegiem, obmyślonym przez nią w najmniejszych szczegółach, chociaż miał się odbyć w Fairfield. Wreszcie, uspokoiwszy oddech na szezlongu, głos zabrała pani Pitcairn. Narzekała na pogodę, na swojego kamerdynera, florystkę, pastora, zdrowie, a przede wszystkim na kontakty z zamężną córką, stanowiące dla niej wyzwanie, gdyż córka mieszkała w Filadelfii. Pozostałe panie słuchały tych skarg ze współczuciem, przejmując się szczególnie trudnościami komunikacyjnymi. Twierdziły, że na usługach telegraficznych nigdy nie można było polegać. Nawet najmniejsza zmiana pogody potrafiła spowodować obalenie słupa telegraficznego, co utrudniało przekazywanie kluczowych wiadomości na temat ważnych wydarzeń towarzyskich. Zastanawiały się, jak to możliwe, że cywilizacja tak zaawansowana jak amerykańska ma tak nieudolny system telegraficzny.

Gdy skończyłam czyścić suknię pani Pitcairn, przyszła mi do głowy pewna myśl. Pennsylvania Railroad miała ziemie w całym stanie, a kiedy potrzebowała więcej, po prostu wykupywała ją od mieszkańców, jak w przypadku kościoła Świętego Patryka. Miała też własne linie telegraficzne, ciągnące się wzdłuż torów. A gdyby otworzyć przedsiębiorstwo, które zarządzałoby publicznymi liniami telegraficznymi na tej trasie – oczywiście za pozwoleniem Pennsylvania Railroad?

Łatwiej byłoby wtedy sprawdzać stan linii telegraficznych, jako że wciąż jeździły tamtędy pociągi, jak również naprawiać te zniszczone przez pogodę, gdyż pracownicy mogliby szybko docierać do nich po torach. Doskonale wiedziałam, kto będzie potrafił zdobyć pozwolenie od Pennsylvania Railroad i stworzyć podobną firmę telegraficzną.

– Claro, chyba nie wyczyściłaś lewej strony mojej sukni – zauważyła pani Pitcairn, sprowadzając mnie natychmiast na ziemię. Stan jej sukni z błękitnego jedwabiu z jasnoszarymi frędzlami był sprawą najważniejszą.

Wróciłam do szczotkowania, uśmiechając się pod nosem. Niesamowite, jak niespodziewanie mógł przyjść pomysł, kiedy już zrozumiało się, jak działa lokalny biznes.

Uśmiech nie schodził mi z ust, gdy szłam za paniami z powrotem na dół, jak zwykle z *châtelaine* w dłoni. Wyobrażałam sobie, jaką minę zrobi pan Carnegie, gdy podzielę się z nim swoim pomysłem.

– Och, przyjechał mój wnuk – zawołała pani Pitcairn.

Wnuk? Nic nie słyszałam o tym, by ukochany wnuk pani Pitcairn – o którym często opowiadała, zanudzając moją pracodawczynię – miał pojawić się na herbacie, na którą zaproszone były tylko panie. Pani Carnegie nie będzie zadowolona.

Mając przed sobą damy idące jedna za drugą, nie widziałam podestu. Dopiero gdy pani Pitcairn zeszła z ostatniego stopnia, zobaczyłam młodego chłopca w białym stroju marynarskim, trzymanego za rękę przez służącą. Moje przewidywania potwierdziły się, kiedy pani Carnegie przyszła, by ponownie przywitać damy, i skrzywiła się na jego widok.

– A kogo my tu mamy? – zapytała, choć doskonale wiedziała, kim jest chłopiec. Pani Pitcairn bez przerwy opowiadała o swoim wnuku, odkąd jej syn Robert wrócił do Pittsburgha po pobycie w Nowym Jorku. Narzekała też przy okazji, że postanowił zamieszkać z rodziną w Sewickley zamiast w Homewood.

– Oczywiście to mój mały Robert junior – zaświergotała pani Pitcairn. – Kiedy dowiedziałam się, że będzie w okolicy, nalegałam, by jego niania, panna Quinn, przyprowadziła go tu na chwilkę. Wiem, że bardzo chciały go panie zobaczyć – powiedziała, na co damy otoczyły go ze wszystkich stron.

Panna Quinn? Pomyślałam, że to dość popularne nazwisko, choć nie słyszałam go od czasu podróży powozem z Filadelfii do Pittsburgha. Kiedy panie odeszły, by

napić się herbaty i skosztować słodyczy, zobaczyłam znajomą twarz i równie znajomą suknię z szerokimi rękawami.

Poczułam ucisk w żołądku, przypominając sobie niemiłe zachowanie panien Quinn i Coyne podczas tamtej podróży i to, w jakim stanie się wtedy znajdowałam. Czy przywołane w niewłaściwym momencie wspomnienie mojej zniszczonej sukni mogło zaszkodzić teraz mojej pozycji? Postanowiłam, że najbezpieczniej będzie trzymać się roli drugiej Clary Kelley. Tak naprawdę, czyż nie stałam się właśnie nią?

– Panna Quinn, jak miło. Dawno się nie widziałyśmy – powiedziałam z najbardziej wytwornym akcentem, na jaki potrafiłam się zdobyć, jakbym witała przyjaciółkę sprzed lat.

– Panna Kelley? – Zdawała się oszołomiona, widząc mnie elegancką i opanowaną. Trzymała się dłoni swojego młodocianego podopiecznego niczym liny ratunkowej.

– Ależ tak. Ta sama panna Kelley, którą poznała pani w powozie z Filadelfii.

– Dom Carnegiech chyba przyniósł pani szczęście. Bardzo się pani zmieniła, panno Kelley. – Patrzyła na moją spokojną twarz, odświeżoną fryzurę i wyprasowaną, czarną wełnianą suknię.

– Uznam to za komplement, panno Quinn.

– Taka była właśnie moja intencja – odparła szybko, lekko drżącym głosem. Czyżby się mnie bała? Czy sądziła, że zamierzam zemścić się za wcześniejszą gburowatość? Czy rzeczywiście aż tak bardzo się zmieniłam?

– Jak radzi sobie pani na służbie? Pamiętam, że przydzielono panią do domu na East Endzie, dziś słyszałam jednak, że pani Pitcairn wspomina o Sewickley. Mówiła też, że jest pani nianią Roberta, a sądziłam, że przyjechała tu pani z panią Coyne, by zostać nauczycielkami.

– Gdy objęłam pierwszą posadę, pani Seeley zdecydowała, że lepiej sprawdzę się jako niania. – Spojrzała na Roberta juniora.

– To musiało boleć – wyrwało mi się, zanim zdążyłam pomyśleć.

– Bolało, ale uznałam, że muszę albo się dostosować, albo wrócić do domu. A w Dublinie trudno o pracę zarówno dla nauczycielek, jak i dla niań.

– To prawda. – Pokiwałam głową. Zdolność do adaptacji nas łączyła.

Rozejrzała się dokoła.

– Miała pani szczęście, panno Kelley. Nianie, które poznałam, często mówią o waszym panu Carnegiem.

– To znaczy? – Poczułam, że się rumienię. Dlaczego lokalna służba rozmawiała o „moim” panu Carnegiem? Zaskoczyła mnie ta zazdrość i zaborczość. Do tej pory uważałam, że moje uczucia do niego są łagodne i pełne melancholii.

– Słyszałam, że pan Carnegie ma szansę stać się magnatem kolejowym. Niektórzy twierdzą, że będzie kiedyś najbogatszym człowiekiem na świecie.

– To miejsce rzeczywiście okazało się dla mnie bardzo łaskawe. – Uśmiechnęłam się.

– Panno Kelley – Usłyszałam męski głos, a potem zbliżające się kroki. Szeroki uśmiech i jasne oczy pana Carnegiego rozświetliły pokój. – O, tu pani jest. Czy rozstrzygnie pani zakład między mną a Tomem na temat Elizabeth Barrett Browning? W końcu jest pani ekspertką.

Panna Quinn patrzyła zszokowana, z jak dużym szacunkiem odnosił się do mnie mój pracodawca, słynny pan Carnegie. Ukłoniłam się jej na pożegnanie, po czym odwróciłam się do niego z uśmiechem, myśląc sobie, że panna Quinn miała rację. Rzeczywiście bardzo się zmieniłam.

Rozdział 32

14 czerwca 1866 r.

Pittsburgh, Pensylwania

G oście wiwatowali, gdy starszy pan Carnegie uniósł kryształowy kielich. – Za cudowną pannę młodą Lucy, żonę mojego drogiego brata Thomasa. Witamy cię w rodzinie Carnegiech. – Mówiąc to, patrzył na swoją matkę zamiast na dość bladą, nerwową pannę młodą.

Moja pani uśmiechnęła się do niego szeroko, co nie zdarzało się zbyt często. Wreszcie udało jej się zrealizować swoje aspiracje i doprowadzić do ślubu młodszego syna z jedną z pań należących do elity Pittsburgha, a co szczególnie ważne – z córką żelaznego magnata. Być może cieszyła się też dlatego, że komitet matrymonialny, którego tak się bała, okazał się pustym gadulstwem i wciąż miała u boku swojego Andra.

Z mojego miejsca za panią Carnegie przyglądałam się państwu młodemu. Nowa pani Carnegie miała na sobie koronkową suknię koloru kości słoniowej – blady odcień stał się modny, gdy suknię w tym kolorze włożyła na swój ślub królowa Wiktoria – a jej tradycyjny krój wzbogacała kaskada falban na spódnicy i pasy szkockiej koronki na gorsecie. Również wzorując się na angielskiej królowej, brązowe włosy miała rozpuszczone i ozdobione wiankiem z symbolizujących czystość kwiatów pomarańczy oraz mirtu, który z kolei oznaczać miał miłość i szczęście i dodawał niewinnego uroku dość zwyczajnej pannie młodej. Te same

kwiaty tworzyły jej bukiet, wypełniały też wszystkie wazony na stole w jadalni. Intensywny, cytrusowo-ziołowy zapach kwiatów wypełniał pokój, podkreślając ciepło letniego dnia.

Goście weselni, zebrani wokół stołu przykrytego obrusem z tłoczonej belgijskiej koronki i lnu, na którym stała nowa porcelana, grawerowana inicjałami pary młodej, unieśli wysoko kielichy. Słońce wnikało do środka przez szyby w oknach jadalni, zmieniając karmazynowe cabernet, które wypełniało kieliszki, w świetliste rubiny. Pan młody pochylił się ku żonie, w której opuszczonych oczach wciąż było wahanie, i pocałował ją delikatnie, być może po raz pierwszy.

Gdy kryształły zabręczwały, pan Holyrod i lokaje postawili na stole pierwsze danie: panierowane ostrygi. Goście – niemal sami dobrzy znajomi z Homewood, jeśli nie liczyć dwójki szkockich krewnych, którzy zostali z tej okazji odpowiednio wystrojeni i posadzeni w odległym rogu stołu – uradowali się. Miałam uszy i oczy szeroko otwarte, licząc na coś interesującego, wszystkie rozmowy kręciły się jednak wokół ceremonii i nadchodzącej wystawnej uczyty.

Pomiędzy daniami ojciec panny młodej odkaszlnął i wstał. Pani Carnegie spojrzała z niepokojem na starszego syna. Ja również zastanawiałam się, co zamierza pan Coleman. Wygłosił już pierwszy toast i na tym kończyły się jego obowiązki. Wyglądało jednak na to, że postanowił wygłosić jeszcze jeden.

Pan Coleman uniósł kieliszek.

– Nieczęsto zdarza się postrzegać rodzinę, której częścią staje się twoja córka, jako własną, zwłaszcza gdy rodzina ta pochodzi z odległej Szkocji. – Przerwał, gdy zebrani wybuchnęli śmiechem. – Ale pani Coleman i ja tak właśnie czujemy. Jesteśmy szczęśliwi, że rody Carnegiech i Colemanów dzisiaj się łączą, i chcielibyśmy wznieść toast za ich owocny związek.

Chociaż wiedziałam, że pan Coleman pozornie ma na myśli inny typ relacji, omal nie roześmiałam się, myśląc o tym, jak „owocny” jest związek pana Colemana i pana Carnegiego, którzy razem zajmowali się produkcją żelaza

i wydobyciem ropy. Było to jedno z niewielu przedsięwzięć pana Carnegiego poza interesami, jakie robił z panami Scottem i Thomsonem.

Pan Coleman i starszy pan Carnegie spojrzeli sobie w oczy, a ja zdałam sobie sprawę, że toast ten nie dotyczy pary młodej. Moja pani uśmiechała się szeroko do starszego syna. W jej oczach, podobnie jak w oczach pana Colemana, Andrew był tego dnia równie ważny jak jego młodszy brat.

Pan Holyrod i ekipa jego lokajów zebrali talerze i postawili na stole kolejne danie – sałatkę z homara. Parada ta powtarzała się w ciągu kolejnych dwóch godzin siedem razy – podano sałatkę z ananasa, *consommé royale*[12], pieczoną polędwicę z sosem chrzanowym, duszony szpinak i szparagi, *quenelles*[13] z pstrągiem, duszonego bakłażana i pieczoną przepiórkę z sosem chlebowym. Gdy goście z niedowierzaniem podziwiali kolejne obfite dania, ja widziałam tę ucztę inaczej. Wystawny posiłek nie różnił się w moich oczach w zamyśle od dekoracji Fairfield, o której opowiadał mi pan Carnegie: każde z dań miało być dla gości komunikatem o gospodarzach.

Po ostatnim daniu zaplanowana była prezentacja tortu weselnego, ale pan Holyrod i lokaje wystawili srebrne półmiski z bezami nadziewanymi kremem kawowym, kanapczkami z kawiozem, sufletami serowymi i truskawkami ze śmietaną. To zakłócenie starannie przygotowanego planu zdenerwowało moją panią – po tym, jak zaciska szczękę i prostuje ramiona, poznałam, że jest zła. W dniu ślubu swojego syna chciała jednak zrobić jak najlepsze wrażenie, dlatego nadal spokojnie rozmawiała z siedzącą po jej prawej stronie panią Wilkins, jakby to srebrne półmiski miały się pojawić przed tortem.

Widząc, że moja pani bardzo dobrze odgrywa swoją rolę, rozejrzałam się po pokoju, zastanawiając się, jakie role przypadają gościom. Colemanowie sprawiali wrażenie usadowionych wygodnie w świecie handlu żelazem i ropą. Czy jednak było tak naprawdę? Czy pani Coleman była tak bezbarwna, a pan Coleman tak bezwzględny, jakimi się wydawali? Być może za zamkniętymi drzwiami swojej posiadłości byli zupełnie innymi ludźmi. Może podobnie było ze wszystkimi

gośćmi. Ze mną było tak na pewno: moja własna rodzina miałaby trudności z rozpoznaniem Clary Kelley.

– Claro – wyszeptła moja pani, odwracając się od gości. Nie mogła znieść dalszych zakłóceń, kazała mi więc udać się do pana Forda i zapytać, co się dzieje z tortem weselnym.

Ukloniłam się i wyszłam. Tylnym korytarzem popędziłam do kuchni. Przyjęcie weselne dobiegało końca, co oznaczało, że wszyscy służący, oprócz pana Forda, znajdowali się w komórce przy kuchni, zajęci zmywaniem góry porcelany i srebra, na których podano dziewięć dań. Większość pracy była już za nimi, więc najwyraźniej odetchnęli z ulgą, bo docinali sobie żartobliwie – nawet pani Stewart. Dawno porzuciłam nadzieję, że zostanę przyjęta do ich kręgu.

Tort weselny stał na środku kuchennego stołu. Była to wspaniała konstrukcja składająca się z trzech leżących na sobie ciast, z których każde było nieco mniejsze od tego poniżej. Elegancko przystrojone zakrętasami i pętelkami z białego kremu, piękne ciasto było prawie gotowe – brakowało jeszcze tylko krystalizowanych płatków róż, które miały zdobić górną warstwę. Leżały na talerzu obok ciasta. Pan Ford stał nad nimi nieruchomo.

Zrozumiałam, dlaczego pan Holyrod przyniósł srebrne tace różnych przysmaków, łamiąc polecenia pani Carnegie. Nie miał wyboru: tort nie był gotowy.

– Panie Ford, dobrze się pan czuje? Pani Carnegie pyta, gdzie podziewa się tort. Miał zostać podany przed ciasteczkami. – Nie odpowiedział. Stał dalej nieruchomo, wpatrując się w przestrzeń. – Panie Ford – powtórzyłam. Położyłam dłoń na jego ramieniu i spojrzałam mu w oczy. – Słyszysz mnie pan?

Jego oczy skupiły się na jakimś punkcie, ale wciąż jeszcze patrzył jak przez mgłę.

– To ty, Claro. To znaczy panno Kelley.

– Panie Ford, młodszy pan Carnegie wziął dzisiaj ślub, a goście czekają na tort weselny. Jeśli mi pan powie, co trzeba jeszcze zrobić, zajmę się tym, a pan sobie

odpocznie.

Nie odpowiedział na moje pytanie. Jakbyśmy kontynuowali inną, przerwana rozmowę, powiedział:

– Widzi pani, to wesele przypomniało mi moją żonę. Moją Ruth. Nie mogę przestać o niej myśleć.

– Rozumiem, że ślub pana Carnegiego przywołał wspomnienia, ale... – Zamilkłam.

Czy cierpienie pana Forda nie było ważniejsze od precyzyjnej pory podania tortu? Postanowiłam podzielić się z nim pewną informacją, mając nadzieję, że mu ona pomoże.

– Po naszej rozmowie o liście, który przyszedł do pana zeszłej zimy z Biura do spraw Wyzwoleńców, postanowiłam poinformować o sprawie starszego pana Carnegiego. Wiem, że zna on generała Olivera Howarda, który kieruje tym biurem. Pan Carnegie osobiście interweniował u generała Howarda w sprawie miejsca pobytu pańskiej rodziny. Generał ponownie bada tę sprawę.

– Generał Howard? – zapytał niewyraźnym, jakby zaspanym głosem pan Ford.

– Tak. Jeśli ktokolwiek jest w stanie panu pomóc, to właśnie on.

Zaczął chodzić po kuchni, wciąż pogrążony w przeszłości.

– To dobrze. To dobrze.

Do kuchni wbiegł pan Holyrod.

– Gdzie jest to cholerne ciasto? Powinniśmy je byli podać już dawno temu.

Nigdy dotąd nie słyszałam, by pan Holyrod przeklinał, choć czasem złościł się na swoich podwładnych. Zaskoczona, aż znieruchomiałam. Szybko się jednak uspokoiłam i usprawiedliwiłam pana Forda.

– Jest prawie gotowe, panie Holyrod. Pan Ford musi dodać jeszcze tylko kilka płatków róż i miał to właśnie uczynić.

Pan Holyrod spojrział na pana Forda, który nie odezwał się ani nie podszedł do stołu, by skończyć dekorowanie. Domyślając się, że coś jest nie w porządku, pan Holyrod mnie przekazał swoje instrukcje.

– Zbierzemy talerze i wrócimy po tort za niecałą minutę. Liczę na to, że będzie gotowy.

– Będzie gotowy, panie Holyrod.

Kiedy wyszedł, zaczęłam pospiesznie układać krystalizowane płatki róż na cieście, starając się stworzyć jakiś wzór. Nie prosiłam pana Forda, by mi dawał wskazówki, bo wciąż zdawał się być w innym świecie.

[12] *Consommé royale* – klarowny bulion z mlekiem i jajkami.

[13] *Quenelles* – podłużne kluski z mieloną rybą.

Rozdział 33

14 czerwca 1866 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Odcienie kobaltu rozświetliły smoliście czarne niebo, gdy wreszcie zamknęłam za sobą drzwi sypialni pani Carnegie. Tylko nadejście świtu mogło skłonić biesiadników do zakończenia weselnego przyjęcia. Po przeciągającej się kolacji nastąpił koncert kwartetu smyczkowego, później przyniesiono napoje, a także kolejne tace pełne delikcji, i kolejne, a potem hucznie pożegnano państwa młodych. Rozmowa trwała, póki pani Pitcairn nie zobaczyła jaśniejącego nieba i nie ogłosiła, że goście powinni wyjść.

Zatrzymałam się na schodach. Chciałam sprawdzić, jak się czuje pan Ford. Czy przyjdzie do siebie do rana? Nie zdziwiłabym się, gdyby o tej porze piekł chleb czy sprzątał w spiżarni, ale ponieważ pani Carnegie po kolacji podziękowała służbie kuchennej, miał szansę na normalny, nocny odpoczynek. W odróżnieniu ode mnie. Na szczęście pani Carnegie zaskoczyła mnie, zwalniając z obowiązków następnego poranka. Być może sama planowała spać do południa.

Poszłam tylnymi schodami do kuchni. Nawet słabe lampy gazowe, które pan Ford zapalał nad ranem, były zgaszone. Najwyraźniej wciąż spał. Odwróciłam się i wpadłam prosto na pana Carnegiego.

Serce waliło mi w piersi tak mocno, że bałam się, że on je usłyszy.

– Przestraszyłam się.

Kilka tygodni wcześniej poprosił, bym przestała mówić do niego „panie Carnegie” i zaczęła nazywać po prostu Andrew – oczywiście na osobności – ale nie potrafiłam przekroczyć tej granicy poufałości. Rozmawiając z nim, starałam się więc w ogóle nie zwracać do niego bezpośrednio. On zresztą zazwyczaj robił podobnie.

– Przepraszam. Zakradłem się do kuchni jak złodziej. – Roześmiał się.

– Tak, chociaż nie mogę mieć tego za złe: sama czaiłam się w ciemności.

– To prawda. A z jakiego powodu? Ja, przyznam, miałem ochotę na więcej eklerek z kremem kawowym.

– Dlaczego nie zadzwonił pan po służbę?

– Przez ostatnie dwa tygodnie mieli – za sprawą mojej matki – mnóstwo pracy i zasłużyli na odpoczynek.

– Z przyjemnością przyniosę eklerki – powiedziałam, kierując się do spiżarni, w której trzymał je pan Ford.

– Nie rób tego. – Chwycił mnie za rękę. – Sam też umiem je sobie przynieść.

Układając eklerki na jednym z półmisek, powiedział:

– Nie powiedziałaś mi w końcu, dlaczego przyszedłaś do kuchni, skoro dawno już powinnaś leżeć w łóżku.

– Chciałam sprawdzić, jak się czuje pan Ford.

– Coś się stało? – zapytał, przysuwając w moją stronę talerz z eklerkami i zachęcając, bym się poczęstowała.

Pokręciłam głową i odpowiedziałam:

– Wesele wprowadziło go w melancholijny nastrój.

– Biedak. Mówiłaś mu o śledztwie generała Howarda?

– Tak. Mam nadzieję, że gdy odpocznie, humor nieco mu się poprawi.

– Dobrze. Mam nadzieję, że uda nam się odnaleźć jego rodzinę. Generał Howard ma możliwości, by przejrzeć dokumenty z wielu plantacji i przeprowadzić dochodzenie na dużą skalę.

Między nami stał talerz z podłużnymi eklerkami, zdobionymi identycznymi kwiatkami z lukru. Żadne z nas nie sięgnęło jeszcze w ich stronę, choć po długim, męczącym dniu miałam wielką ochotę na ciastko.

– Proszę, częstuj się – powiedział.

Zazwyczaj stawiałabym opór jako dobra służąca, ale teraz byłam zbyt zmęczona. I za bardzo pragnęłam spróbować ciastek, którym przyglądałam się przez cały dzień.

– *À propos*, mam pewne ekscytujące wieści – powiedział.

Moje usta wypełniło słodkie kremowe nadzienie, więc nie mogłam się odezwać.

– Twój pomysł zostanie zrealizowany.

Wytarłam usta serwetką i spytałam:

– O czym mówisz?

– O twojej firmie telegraficznej.

– Mojej firmie telegraficznej?

– Tak. Nazywa się Keystone Telegraph Company. – Wypiął pierś z dumy. – Pani pomysł, by rozwiesić publiczne linie telegraficzne wzdłuż torów, był genialny. Opowiedziałem o nim Scottowi i Thomsonowi, którzy bez wahania zgodzili się na wydanie pozwolenia w imieniu Pennsylvania Railroad, oczywiście pod warunkiem, że zostaną tajnymi partnerami. Stworzyłem więc Keystone Telgraph, a Pennsylvania Railroad podpisała z nową firmą umowę na zlecenie Thomsona, tym samym dając jej prawo rozciągnięcia kabli na słupach należących do Pennsylvania Railroad za cztery dolary za milę rocznie.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Zakryłam usta dłonią.

– Proszę uwierzyć. – Uśmiechnął się. – Pozwoliłem sobie przekazać ci pięćdziesiąt akcji w nowej firmie. To tyle samo, ile przekazał mi ponad dziesięć lat temu pan Scott, gdy pomogłem mu zawrzeć umowę między Pennsylvania Railroad i Adams Express na transport paczek między Filadelfią a Pittsburghiem.

– Pięćdziesiąt akcji? Dla mnie? – Omal nie wybuchnęłam śmiechem. Wysoce niestosownym śmiechem na samą myśl o tym, że do mnie, Clary Kelley, dziewczynki z irlandzkiej wsi, należy część firmy telegraficznej. Przykryłam usta dłonią, żeby się powstrzymać.

– Dla ciebie. A to jeszcze nie koniec wspaniałych wieści.

– Panie Carnegie, niemożliwe, by jakieś wieści były wspanialsze!

– Czy nie mówiłem, byś nazywała mnie Andrew?

– Andrew – powiedziałam, choć nazywanie go po imieniu wydało mi się nieprzyzwoite. Powstrzymałam przymus rozejrzenia się wokół w obawie, że ktoś jest świadkiem mojego niestosownego zachowania.

– Firma Pacific and Atlantic Telegraph Company dowiedziała się o pani pomysł, a potrzebuje połączenia telegraficznego z Filadelfią.

Nie rozumiałam, dlaczego pan Carnegie – Andrew – mówił mi o aspiracjach Pacific and Atlantic Telegraph. Co mieli oni wspólnego z „moją” firmą, Keystone Telegraph?

– A zatem, żeby móc rozwiesić linie z Pittsburgha do Filadelfii wzdłuż trasy, którą Pennsylvania Railroad użyczyła twojej firmie, Keystone Telegraph, ludzie z Pacific and Atlantic Telegraph postanowili wykupić ją w zamian za sześć tysięcy akcji Pacific and Atlantic i umowę na rozwieszenie linii z Pittsburgha do Filadelfii, czym zajmie się jedna z moich firm i za co weźmiemy dodatkową zapłatę. A to wszystko stanie się, zanim jeszcze wykopujemy jeden dół na słup telegraficzny, zanim rozwiesimy chociaż jeden kabel i zanim wydamy choćby dolara.

– Dlaczego chcesz... chcemy to zrobić?

– Bo Pacific and Atlantic Telegraph płacą nam, właścicielom Keystone Telegraph, ogromną premię. Każda z twoich akcji Keystone Telegraph jest teraz akcją Pacific and Atlantic Telegraph, wartą dwadzieścia pięć dolarów, co daje w sumie tysiąc dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Nie poczułam, jak szczęka opada mi na dźwięk tej sumy. Nie spodziewałam się zarobić tyle przez całe życie, ale najwyraźniej tak się właśnie stało, ponieważ pan

Carnegie – Andrew – podszedł do mnie, dotknął palcem mojej brody i zamknął mi usta.

– Minie jeszcze trochę czasu, nim będziesz mogła sprzedać swoje akcje – jeśli rzeczywiście zechcesz to zrobić. Ale pieniądze należą tylko do ciebie.

Myślałam tylko o Elizie, Cecelii, mamie i tacie. Ta niespodziewana łaska mogła ich uratować. Absurdalna suma pieniędzy spokojnie wystarczała, by uwolnić moją rodzinę od rozpaczliwego życia w Galway City i sprowadzić ją tutaj. A nim „minie trochę czasu”, mogłam przynajmniej dać im nadzieję. Nie mogłam się doczekać, kiedy napiszę do Elizy.

Nie zastanawiając się nad stosownością tego, co robię, przytuliłam się do niego. Nie wiedziałam, czy był to wyraz wdzięczności za to, co zrobił dla mojej rodziny, ogromnej radości, czy może czegoś więcej. Jego ciało, z początku sztywne, rozluźniło się i on również mnie objął. Najwyraźniej go zszokowałam. Mówiąc szczerze, zszokowałam samą siebie.

– Mówiłem, że mam dobre wieści, Claro – wyszeptał. – Teraz możesz pomóc swojej rodzinie.

– Patrzyliśmy sobie w oczy, a ja zastanawiałam się, co się wydarzy. W tej chwili. I w nadchodzących tygodniach.

A wtedy do kuchni wszedł pan Ford.

Rozdział 34

8 sierpnia 1866 r.

Pittsburgh, Pensylwania

W tygodniach, które nastąpiły po weselu, Fairfield wypełniło się ciszą. Młodszy pan Carnegie był spokojnym człowiekiem, nie sądziłam więc, że jego nieobecność będzie miała podobny efekt. Kiedy jednak wyjechał ze swoją świeżo poślubioną żoną na miesiąc miodowy do Europy, wraz z nimi dom opuściło podniecenie towarzyszące planowaniu ślubu i wesela, pozostawiając przygnębienie.

Częste podróże pana Carnegiego – Andrew, jak starałam się o nim myśleć – sprawiały, że dom wydawał się jeszcze bardziej pusty. Prezydent Johnson autoryzował niedawno budowę siedmiu mostów na rzece Missisipi i w dole rzeki Missouri, niedaleko Kansas City. Biorąc pod uwagę zyski, jakie przyniosła budowa mostów zarówno dzięki Keystone Bridge, jak i Union Iron Mills, panowie Thomson i Scott ustąpili ambitnemu Andrew i zgodzili się, że Keystone Bridge powinno konkurować o zlecenie na budowę tych mostów. Znając te ustalenia, nie zdziwiłam się, kiedy Andrew i jego tajni partnerzy uznali, że całą energię powinien poświęcić na zapewnienie im tych kontraktów. Oznaczało to, że musiał jeździć na Środkowy Zachód, do Waszyngtonu i Nowego Jorku na rozmowy z firmami, które miały podjąć się budowy mostów, oraz, sprzedając akcje i obligacje, gromadzić kapitał, który pozwoliłby zapłacić Union Iron Mills za żelazo. Wracał do

Pittsburghu tylko po to, by konsultować się w sprawach dotyczących konstrukcji mostów z inżynierami i wytwórcami żelaza. W czasie jego nieobecności wieczorami, gdy wypełniałam już swoje obowiązki wobec pani Carnegie, pracowałam nad pomysłami biznesowymi. Czułam się jednak samotna i pozbawiona nadziei, którą czułam przy nim. Zastanawiałam się też, kiedy dostanę pieniądze z akcji, gdyż Eliza w ostatnim liście opisała sytuację rodziny jako „w najlepszym razie niewesołą”. Czy mogłam jednak zapytać go o to, nie wyjawiając mojej rzeczywistej sytuacji?

– Matko, wydaje mi się, że podróż do Nowego Jorku to dobry pomysł – ogłosił Andrew zza waszyngtońskiej gazety „Daily Morning Chronicle”. U jego stóp leżały już porzucone wycinki z „New York Timesa” i „Pittsburgh Daily Gazette”. Sądząc po wysokości sterty, zebranie się na odwagę i rozpoczęcie tej rozmowy zajęło mu trochę czasu.

Moja pani, nim odpowiedziała, spróbowała zajrzeć za jego gazetę. Poluzowałam włóczkę, która nas łączyła. Andrew nie chciał opuścić „Daily Morning Chronicle” ani o milimetr, musiała więc mówić do strony z wiadomościami politycznymi, w których przedstawione zostały ustawy zaproponowane przez prezydenta Johnsona.

– Do tego siedliska występku? Gdzie Boss Tweed kontroluje rząd, a skorumpowani finansiści, jak Fiske i Gould, kontrolują pieniądze? Nie podoba mi się to, Andra.

– Keystone Bridge nie będzie w stanie konkurować o projekty na Missisipi bez dodatkowych funduszy, a sama dobrze wiesz, że to w Nowym Jorku najłatwiej znaleźć inwestorów – powiedział, opuszczając gazetę na tyle, by sponad niej zerknąć nie tylko na nią, ale i na mnie. – Wiesz też, że Tom i Lucy powinni pobyć trochę sami, by urządzić dom po swojemu.

Czyżby Andrew planował przekazać Fairfield swojemu młodszemu bratu? Być może po ślubie zasłużył na nowy dom, ale czy musiał to być właśnie ten dom? Co się stanie ze mną? Rzadko rozmawialiśmy o tematach innych niż biznes, a właściwie nigdy o jego matce i bracie.

Pani Carnegie wydawała się zaskoczona, a znając moją panią, podejrzewałam, że nigdy nie brała pod uwagę, że Tom i Lucy mogliby przejąć Fairfield, choć zgodnie z podobnym wzorcem postępowano wielu ich znajomych. Rezydencja należała do niej, w mniejszym zaś stopniu – do Andrew. Sądziła, że Tom i Lucy wtopią się po prostu w istniejącą już strukturę. Albo kupią sobie własny dom.

– Dlaczego muszą zająć nasze miejsce, Andra?

– Wydaje mi się, że tak właśnie postępują bogate amerykańskie rodziny. Uważam zresztą, że powinniśmy zobaczyć coś poza Pittsburghiem. Może spędzimy jesień w Nowym Jorku? To powinno dać nowożeńcom wystarczająco dużo czasu, by przyzwyczać się do nowego domu i trybu życia. My tymczasem będziemy się cieszyć nowojorskimi rozrywkami i kulturą.

Staralam się trzymać ręce nieruchomo, gdy pani Carnegie ciągnęła nitkę z motka wełny, który trzymałam, ale omal nie zaczęłam drżeć z podniecenia na myśl o wyjeździe do Nowego Jorku. Miałabym więcej sposobności, by rozmawiać z Andrew o naszych interesach, i więcej szans na zdobycie informacji. Czy będę miała możliwość zwiększyć swoje udziały? Omal się nie roześmiałam, myśląc o tym, jak moje aspiracje wzrosły, bo chciałam dorównać Andrew.

Moja pani nie odpowiedziała od razu. Poczułam ucisk w żołądku, czekając na jej reakcję, i w duszy modliłam się, by się zgodziła.

– Matko? – spytał niecierpliwie Andrew. – Słyszałaś, co powiedziałam o jesieni w Nowym Jorku?

– Oczywiście, że tak, Andra. Mówisz tak głośno, że nie dałoby się nie usłyszeć.

– Jej druty zabrzączały. – Zastanawiałam się nad twoją propozycją. Matka ma do tego prawo. Wyjazd do Nowego Jorku i przekazanie domu Tomowi i Lucy to poważne zmiany. Potrzebuję czasu, by się nad tym wszystkim zastanowić.

Choć przypominanie o prawach przysługujących matce było w ogóle ulubioną taktyką mojej pani, gdy chciała uciszyć syna, teraz na jej miejscu zrobiłabym to samo.

– Nie wspominając o tym – ciągnęła – że mamy wiele zobowiązań tutaj, w Pittsburghu. Musimy wprowadzić Toma i Lucy w towarzystwo.

– Żadne zobowiązania towarzyskie nie powinny wpłynąć na podróż do Nowego Jorku. Wyobraź sobie jesień w towarzystwie prawdziwej amerykańskiej elity.

Brzęk drutów ustał. Andrew doskonale wiedział, jaki jest czuły punkt matki.

– Zapewne możemy dać im czas, by sami znaleźli swoje miejsce w towarzystwie. A Colemanowie będą tutaj, gdyby potrzebowali pomocy. W Nowym Jorku spędzimy tylko kilka miesięcy, a wyjechać możemy zaraz po przyjęciu powitalnym. – Zauważyłam, że nie zgodziła się przekazać nowożeńcom domu, a tylko zaaprobowwała wyjazd do Nowego Jorku.

– Świetna decyzja, matko – powiedział Andrew, jak zwykle pozwalając jej myśleć, że cały ten plan był jej zasługą.

– Chciałabym napić się herbaty – oświadczyła. – Claro, powiedz w kuchni, żeby podali ją już teraz, a nie o zwykłej porze.

Stąpając korytarzem dla służby, zastanawiałam się nad tym, jak bardzo moja pani lubiła wydawać mi rozkazy. U stóp miała przycisk wzywający służbę kuchenną, wołała jednak patrzeć, jak spełniam jej życzenia.

Spodziewałam się, że zastanę w kuchni Hildę, lecz był tam tylko pan Ford, który przygotowywał kolację.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Wiem, że jest dość wcześnie, ale państwo Carnegie życzą sobie herbatę.

Bez słowa czy charakterystycznego uśmiechu podszedł do stołu, na którym stały już przygotowane bezy, tartaletki z jabłkami i kanapeczki z pstrągiem. Sięgnął po dzbanek i podszedł z nim do kominka, gdzie przez cały dzień gotowała się woda.

– Jak mija panu dzień? – spytałam, ale nie odpowiedział. Pokręcił tylko głową.

Nie wiedziałam, co więcej mogłabym powiedzieć. Odkąd pan Ford przyłapał mnie i Andrew w objęciach, odzywał się do mnie wyłącznie wtedy, gdy było to konieczne. Próbowałam wytłumaczyć, że był to niewinny gest, instynktowna

reakcja na dobre wiadomości, ale pan Ford pozostał niewzruszony. Po prostu mnie ignorował. Tracąc go, straciłam swojego jedyne przyjaciela w tym domu – w całym mieście – jeśli nie liczyć relacji z Andrew, która była zbyt skomplikowana i zbyt ryzykowna, by w ogóle można ją było nazywać przyjaźnią.

Rozdział 35

20 września 1866 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Trzymając się jak zwykle dwa kroki za panią Carnegie, weszłam po schodkach do wagonu pociągu jadącego do Nowego Jorku. Podążając za maszynistą, ruszyliśmy chwiejnie ku wskazanym przez Andrew kuszetkom korytarzem tak wąskim, że bałam się, iż moja pani – postawna i szersza jeszcze za sprawą wielu spódnic – w nim się nie zmieści. Kiedy udało jej się przecisnąć, maszynista otworzył drzwi z mahoniem i szkła, mówiąc:

– Witam panią w wagonie Woodruff Silver Palace.

Za przyzwoleniem mojej pani weszłam do kuszetki, która wyglądała jak wnętrze rezydencji w miniaturze. Na podłodze leżały orientalne dywany, z sufitu zwisały mosiężne żyrandole, a na podłodze stały dwa obite czekoladową tapicerką fotele, za którymi kryły się, jedno nad drugim, dwa bliźniacze łóżka, ledwo widoczne zza czerwonych adamaszkowych zasłon, które w razie potrzeby zapewniały odosobnienie.

Ledwie powstrzymałam okrzyk zachwyty: wagon był naprawdę niezwykły. Te, do których byłam przyzwyczajona, wyposażone były w twarde drewniane ławy i miały brudne okna. A czasem w ogóle nie było w nich gdzie usiąść. Instynktownie pomyślałam, co moja rodzina powiedziałyby o tych luksusach.

Poczułam smutek, wyobrażając sobie, czym muszą zadowalać się na co dzień. Miałam poczucie winy, ciesząc się zbytkiem Carnegiech.

– Jest wspaniały, prawda? – spytał Andrew za moimi plecami. Zaskoczona dźwiękiem jego głosu, odwróciłam się. Nie wiedziałam, że dotarł już na stację z biura.

– Niesamowity, sir – powiedziałam, dodając „sir”, ponieważ pani Carnegie była zajęta przez tragarza, ale wciąż mogła nas słyszeć.

– To wyjątkowy wagon, który nazywa się Woodruff Silver Palace. Zazwyczaj jeździ inną trasą, ale zamówiłem go na naszą podróż.

Pani Carnegie, słysząc głos Andrew, podeszła do niego, by przytulić go zaborczo.

Uśmiechnął się do mnie ponad jej głową. Wiedziałam, że Silver Palace miał sprawić przyjemność nie tylko mojej pani.

– Dlaczego rozmawiasz z Clarą? – spytała, zerkając na mnie podejrzliwie.

– Mówiłem jej właśnie, że to wagon Woodruff Silver Palace. Pamiętasz, jak zacząłem dla nich pracować? – zapytał, wysuwając się z jej objęć.

Stała naprzeciw niego, tak by wyłączyć mnie z rozmowy.

– Oczywiście. To było w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym albo dziewiątym roku, prawda?

Zrobił krok do tyłu, żeby móc zwrócić się także do mnie.

– Tak. Podróżowałem do pracy pociągiem Pennsylvania Railroad, a wtedy podszedł do mnie sam T. T. Woodruff, by podzielić się pomysłem na wagony sypialne. Pokazał mi zbudowany przez siebie model, który ja z kolei pokazałem panom Scottowi i Thomsonowi.

Pani Carnegie przerwała mu, nie zmieniając pozycji i znowu mówiąc tylko do syna.

– A panowie Scott i Thomson byli pod tak wielkim wrażeniem Woodruffa i twoim, Andra, że zaproponowali Woodruff Sleeping Cars podpisanie umowy na

umieszczenie dwóch wagonów na trasie Pennsylvania Railroad, a tobie zaoferowali udziały w ramach podziękowania.

Zauważyłam, że moja pani nie wspomniała o udziałach, które panowie Thomson i Scott sobie zapewнили w Woodruff Sleeping Car Company, podpisując umowę z Woodruffem. Andrew podzielił się ze mną tą informacją, kiedy kończyłam swoje notatki dotyczące udziałów Carnegiech. Czy to możliwe, by jego matka była nieświadoma roli panów Thomsona i Scotta w machinacjach syna? Czy mogła nie wiedzieć, że często używali poufnych informacji, by inwestować w firmy, z którymi mieli podpisać umowy? Nie tylko oni zresztą: także prezesi innych firm, łącznie z jej synem. Wydawało mi się niemożliwe, by kobieta znająca się na interesach tak dobrze, jak moja pani, nie znała tej praktyki, którą sama zresztą kiedyś kwestionowałam. Być może po prostu chciała uwznioślić rolę swojego syna w całym przedsięwzięciu.

– Twoja pamięć i wnikliwość są jak zwykle godne podziwu, matko – Andrew rozejrzał się po kuszetce, kiwając głową z dumą. – Przeszliśmy daleką drogę od tamtego czasu, prawda?

Moja pani pogładziła palcami jedwabne frędzle, które zwisały z podłokietników foteli.

– O tak, Andra – powiedziała, ale zaraz zmrużyła oczy i zacisnęła wargi. – Teraz musisz wygrać z tym wstrętnym Pullmanem w batalii o wagony sypialne. Zrobisz to, prawda?

– Czyż nie wygrywam zawsze, matko? – odparł z wyrazem twarzy równie pełnym determinacji.

Zabrałam się za przerabianie Silver Palace w miniaturową sypialnię pani Carnegie, rozkładając jej ulubione kosmetyki, skrapiając perfumami powietrze i chowając bieliznę do szuflad. Nikt nie pokazał mi, gdzie ja będę spała, a nie podejrzewałam, by moja pani zamierzała dzielić ze mną piętrowe łóżko. Fotel czy nawet mniej luksusowa ława również by się nadały. Moje łóżko w domu w Galway było bez wątpienia twardsze niż którykolwiek z tych mebli.

Na wspomnienie łóżka w domu w Tuam wstrzymałam oddech. Tego domu już nie było. Już nigdy nie miałam zobaczyć gospodarstwa, krętego potoku i szmaragdowych wzgórz, wznoszących się niczym fale, ani naszego bielonego domu z dachem pokrytym strzechą. Czyżbym dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę? Wciąż martwiąc się sytuacją mojej rodziny w Galway City, nie zastanawiałam się nad utratą domu, w którym dorastałam. Wydawało mi się to nieistotne, gdy moi najbliżsi ledwo wiązali koniec z końcem, a ja, przeciwnie, otoczona byłam bogactwem Carnegiech.

– Claro – pani Carnegie przerwała mi rozpakowywanie bagaży – Zapytaj mojego syna, o której godzinie będzie kolacja. Chciałabym się wcześniej przebrać.

– Oczywiście, proszę pani – odparłam.

Gdy pokonywałam krótką trasę do kuszetki Andrew, poczułam nagły niepokój. Staralam się ignorować jego źródło i cieszyć się niespodziewanym luksusem, lecz ciągle pamiętałam pożegnalną rozmowę z panem Fordem i nie mogłam tego dłużej lekceważyć. Zwłaszcza teraz, kiedy mieliśmy rozmawiać na osobności.

Kilka godzin wcześniej przyszłam do kuchni po kosz z jedzeniem na podróż. Podejrzywałam, że pan Ford wręczy mi go bez słowa. Kiedy jednak wzięłam kosz i podziękowałam, powiedział:

– Nie powinna pani jechać do Nowego Jorku, panno Kelley.

Zaskoczona, że w ogóle się do mnie odzywa, nie zrozumiałam:

– Muszę jechać tam, gdzie jedzie moja pani, panie Ford.

– Na pewno wie pani, co mam na myśli. Uważam, że nie powinna pani podróżować z panem Carnegie.

Surowość, którą widziałam w jego oczach w miesiącach, które nastąpiły po ślubie młodego pana Carnegiego, złagodniała. Zrozumiałam, że nie unika mnie ze złości, ale się o mnie martwi. Nie mógł już znieść bólu, gdy dowiedział się, że mimo toczącego się śledztwa jego nadzieje na połączenie się z żoną i córką mogą okazać się płonne.

– Panie Ford, bardzo liczę się z pana zdaniem. Jak już jednak wyjaśniałam, między mną a panem Carnegiem nie dzieje się nic niestosownego.

– Chce mi pani powiedzieć, że obejmowanie go było stosowne?

Zarumieniłam się.

– Zgadza się, że był to błąd. Ale nic podobnego nie wydarzyło się już od tamtej pory, a i tamta sytuacja była impulsywną reakcją na pewną wiadomość dotyczącą interesów. To wszystko.

– Jakież to łączy was interesy zdolne wywołać podobną reakcję? – spytał z niedowierzaniem.

– Pan Carnegie uczył mnie świata biznesu i nagroził za pomoc, jakiej mu udzieliłam.

– Nagroził? – Omal się nie roześmiał.

– Przekazał mi udziały w jednej z firm, warte całkiem sporą sumę.

– Czy dał pani do ręki dolary? Czy też udziały, czymkolwiek one są?

– Nie – odparłam cicho.

Kwestia podniesiona przez pana Forda mnie również niepokoiła – zastanawiałam się, kiedy faktycznie otrzymam udziały, o których mówił Andrew – ale nie przyszło mi nawet do głowy, by go o to zapytać. Bałam się, że posądzenie o chciwość może mi tylko zaszkodzić.

Pan Ford mocno ścisnął moje dłonie.

– Panno Kelley, proszę mnie posłuchać. Byłem już świadkiem podobnych sytuacji i chciałbym, by wzięła sobie pani do serca radę zmęczonego starca, który widział już zbyt wiele razy, jak panowie i służące przekraczają bezpieczne granice. To nigdy nie kończy się dla służących dobrze.

Zapukałam do drzwi kuszетки Andrew, wiedząc, że sam je otworzy. Wielu mężczyzn o jego pozycji podróżowało w towarzystwie kamerdynerów, lecz nie on. Lubił podkreślać, że wychowywał się w skromnych warunkach, i podróżować po świecie lubił równie skromnie.

Przywitał mnie swoim rozbijającym uśmiechem.

– Proszę, Claro, wejdź.

Słowa pana Forda wciąż dudniły mi w uszach, postanowiłam więc nie przekraczać progu.

– Przyszedłam zadać tylko jedno pytanie w imieniu pańskiej matki. Chciałaby się dowiedzieć, o której będziecie państwo jeść.

– Kolacja będzie o szóstej – odparł. – Proszę poświęcić mi kilka minut. Chciałbym pokazać ci pewne szczególne udogodnienie, które zaprojektował dla mnie Woodruff.

Jego zaproszenie przywiodło mi na myśl taką właśnie sytuację, przed jaką ostrzegał mnie pan Ford.

– Doskonale widzę całą kuszetkę stąd. Nie sądzę, by rozważnie było wchodzić do środka, kiedy kuszетка pani Carnegie znajduje się tak blisko – zwróciłam uwagę.

Bez troski jak dziecko, zademonstrował mi mahoniowe biurko, które składało się, gdy pasażer potrzebował więcej miejsca. Przyglądałam się mu z korytarza.

– To genialne, Andrew – obdarowałam go komplementem, na który liczył.

Rozsiadł się wygodnie w obitym aksamitem fotelu, jakby chciał podkreślić jego miękkość.

– Kiedy po raz pierwszy wpadłem na pomysł luksusowych podróży tymi wagonami, zbliżała się wojna i nie było komu nimi jeździć. Teraz jednak, gdy rozwija się kolej transkontynentalna, ludzie będą szukać wygody.

– Ci ludzie, których na to stać.

– To prawda. Niestety, podobne podróże są zbyt drogie dla większości. A wagony Pullmana są jeszcze droższe niż te Woodruffa.

– Rozmawialiście o Pullmanie z matką. Kto albo co to jest?

– Pullman to nasz konkurent. Jako że Woodruff ma osiemdziesiąt osiem działających wagonów, podpisał kontrakty z Pennsylvania Railroad i większością Stanów Środkowoatlantyckich i do tej pory dominował w branży wagonów sypialnych. Wagony Pullmana zaczęły przejmować teraz kontrolę na terenach, na

które chcieliśmy rozszerzyć naszą działalność na Środkowym Zachodzie. A teraz pojawiły się plotki, że Union Pacific Railroad chce udzielić koncesji na wagony sypialne w swoich pociągach transkontynentalnych.

– Chcecie więc wyeliminować Pullmana z umowy z Union Pacific.

– Właśnie tak.

– Wy tłumacz mi, czym wagony Pullmana różnią się od tych Woodruffa?

Andrew wyjaśnił mi w skrócie budowę wagonów, różnice w ich strukturze i wielkości, przyznając, że te Pullmana są solidniejsze, cichsze, a nawet nieco wygodniejsze. Zakrawało jednak na ironię, że Pullman oparł projekty części swoich wagonów na szkicach sporządzonych przez Woodruffa.

– Wygląda na to, że Woodruff jest pod presją, by pokonać Pullmana. Może trzeba się z nimi dogadać?

– Rozmawiałem z Pullmanem, złożyłem nawet hojną propozycję połączenia firm. Myślałem, że pieniądze go przekonają, bo wiem, że potrzebuje ich do dalszej ekspansji. Jest jednak uparty. I nieufny.

– To chyba godny przeciwnik – zażartowałam.

– Aż zbyt godny.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł: nie mogłam uwierzyć, by Andrew sam na niego nie wpadł i nie odrzucił z jakiejś przyczyny. Czy wyśmieje mnie, gdy mu go przedstawię? Bałam się, że to zbyt oczywiste.

– Wspomniałeś, że Pullman zbudował swoje wagony na podstawie projektów Woodruffa.

– Tak.

– Czy Woodruff ma patent na te projekty?

Andrew wstał i zaczął przechadzać się po kuszetce.

– Ma ich kilka.

– A może wnieść pozew, oskarżając Pullmana o wykorzystanie patentów Woodruffa? Jak taka sprawa się nazywa?

– Naruszenie praw patentowych. Hm, ciekawe.

– Tak. Zamiast rozmawiać z nim po dobroci, można by wyjaśnić mu, że pozwicie go o naruszenie praw patentowych, jeśli nie połączy się z Woodruffem. Nie będzie chciał teraz wydawać pieniędzy na sprawy sądowe. Odbierzesz mu możliwość wyboru: będzie musiał poddać się i zgodzić na twoje warunki.

Wydało mi się, że słyszę swoje imię, ale gdy się skupiałam, nie usłyszałam go po raz drugi, z powrotem przeniosłam więc uwagę na Andrew.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. Bałam się jego reakcji. Zanim jednak wypowiedział choćby jedno słowo, wybuchnął histerycznym śmiechem. Nie wiedziałam, co zrobić, póki wreszcie się nie uspokoił.

– Claro, nad sprawą Pullamna pracuje co najmniej dziesięciu doradców, a to ty, służąca mojej matki, wpadłaś na właściwe rozwiązanie. W niecałą minutę. Jesteś genialna!

– Claro! – Głos mojej pani rozbrzmiał prawie za moimi plecami. Szła wąskim korytarzem Silver Palace w stronę kuszetki swojego syna. Była zła.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam jej czerwoną twarz. Dygnęłam i przeprosiłam.

– Co ty tu robisz? Wysłałam cię do mojego syna z jednym pytaniem. Nie ma powodu, byście tracili czas na zbędne konwersacje.

Andrew podszedł do drzwi z książką w dłoni.

– To moja wina, matko. Poprosiłem, by poczekała, kiedy szukałem tej książki. Pomyślałem, że to interesująca lektura na podróż.

– No dobrze – prychnęła. – Claro, weź książkę i wróć ze mną do pokoju. Andrew, kiedy mam być gotowa na kolację?

Spojrzał na zegarek i odparł:

– Za pół godziny.

– Chodź, Claro. Straciłaś tyle czasu, stojąc tu w drzwiach, że musimy teraz pędzić, by zdążyć na kolację. – Oczywiście obwiniała mnie, a nie swojego ukochanego Andrew.

– Tak, proszę pani – odparłam, zerkając na książkę, którą miałam w dłoniach.
Był to należący do Andrew egzemplarz *Aurory Leigh*.

Rozdział 36

26 września 1866 r.

Nowy Jork, stan Nowy Jork

Pociąg zwolnił, zbliżając się do stacji przy nowojorskiej Trzydziestej Ulicy. Po sześciu dniach podróży z Pittsburgha do największego miasta w kraju, zamieszkiwanego przez ponad osiemset tysięcy ludzi, wreszcie wysiadaliśmy. Podróżowaliśmy ubrani w stroje podróżne, a naszymi bagażami zajmował się tragarz. Chociaż odgrywałam rolę uległej służącej, byłam podekscytowana przyjazdem na Manhattan.

Z mojego miejsca u boku pani Carnegie wychylałam się, by zobaczyć, jak pociąg wjeżdża w labirynt torów znajdujących się na tyłach stacji. Nawet przez szybę widziałam dym, sadzę i żar, które przypominały mi Pittsburgh. Nie spodziewałam się tego: myślałam, że stacja będzie wystawna i czysta, podobnie jak całe miasto.

Kiedy stanęliśmy, zrozumiałam, że się myliłam. Wszystkie tory prowadziły do zwyczajnego budynku z czerwonej cegły, który wyglądał jak jeden z wielkich magazynów znajdujących się w okolicach kościoła Świętego Patryka. Cały pokryty był niezmywalnymi śladami industrializacji.

– Widzę, że pętla New York Central i Hudson River Railroads jest zaskakująco przeciętna – prychnęła moja pani.

– Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że prezesem linii jest komodor Cornelius Vanderbilt, najbogatszy człowiek w Ameryce – odparł Andrew. – Pan Thomson nigdy nie pozwoliłby, by tak wyglądała główna stacja Pennsylvania Railroad.

– Cóż, dobrego smaku nie da się kupić – skomentowała pani Carnegie, jakby ona, imigrantka ze Szkocji, która przyjechała do Ameryki bez grosza przy duszy i nosiła staroświeckie stroje, była arbitrem elegancji. Omal się nie roześmiałam.

Gdy przepychaliśmy się do wyjścia wąskim korytarzem Silver Palace, Andrew powiedział:

– Wiesz, że pogrzebowy pociąg prezydenta Lincolna dotarł na tę właśnie stację, jadąc wzdłuż Wschodniego Wybrzeża? Wyobraź sobie, że jego trumna przejeżdżała przez ten budynek.

– To dość makabryczne, nie sądzisz?

– Nie ma nic makabrycznego w historii, matko – odparł Andrew.

Zerknęłam na niego, zastanawiając się, dlaczego wypowiedział te słowa. To właśnie historia była przecież źródłem najohydniejszych opowieści. To, że zdarzenia należały do przeszłości, nie czyniło ich bardziej znośnymi. Zastanawiałam się, jak by zareagował, gdyby słyszał opowieści Patricka i Maeve o tym, co spotykało irlandzkich imigrantów w Nowym Jorku w ciągu ostatniej dekady. Co powiedziałby na to, że moi rodacy, płacąc cztery dolary – tyle, ile zarabiali przez tydzień – mieszkali w dziewięć osób w jednym pomieszczeniu w slumsach w Five Points, bez okien i kanalizacji, ale za to z mnóstwem szczurów? Czy bagatelizowałby to, że moja najbliższa rodzina żyła w czwórce w jednym pokoju na wilgotnym strychu w domu mojej ciotki, a najbliższy wychodek znajdował się pół kilometra dalej?

Czy Andrew zapomniał, kim jest i skąd pochodzi? Sam był imigrantem i do czasu, gdy nie odniósł sukcesu, nie różnił się od tysięcy biedaków zamieszkujących ten kraj. Skarciłam samą siebie, ledwie ta surowa opinia przyszła mi do głowy. Kim byłam, by go krytykować? Nie wolno mi było go oceniać, gdyż sama cieszyłam się przywilejami wynikającymi z pracy dla jego matki. Czyżbym zapomniała, że

pomagałam mu w interesach i służyłam jego rodzinie, udając, że jestem kimś innym? I kto tu się zapomniał? Moja chęć zdobycia pieniędzy sprawiła, że zafałszowałam swoją imigrancką historię.

Podszedł do nas mężczyzna w mundurze z błyszczącymi, mosiężnymi guzikami. Zapytał z wahaniem:

– Pan Carnegie?

– Tak.

– Pozwoli pan zaprowadzić się do powozu.

Wyszliśmy ze stacji na rogu Dziesiątej Alei i Trzydziestej Ulicy, a kiedy tragarz zajmował się kuframi państwa Carnegieh i moją lichą torbą, wsiedliśmy do powozu. Ruszyliśmy na południe, do hotelu St. Nicholas, podskakując na nierównym bruku. Miasto rozciągało się przed nami, a ja próbowałam dostrzec atrakcje turystyczne, które mijaliśmy. Wysokie, eleganckie budynki stały na pustych działkach obok biednych drewnianych chat. Mężczyźni i kobiety z wózkami zachwalali małże, kwiaty, kasztany i egzotyczne artykuły spożywcze na tle pasiastych markiz sklepów, w których witrynach prezentowano najnowsze kapelusze i rękawiczki. Eleganckie damy i dżentelmeni spacerowali po chodnikach tuż obok krów i kóz pasących się na splachetkach ziemi. Przez otwarte okno powozu do środka wnikała mieszanina zapachów perfum, prażonych orzechów, fabrycznego dymu i zwierzęcych odchodów. Nie mogłam się doczekać, kiedy w liście do mojej rodziny opiszę ten przedziwny tygiel. Być może pozwoli im to na chwilę zapomnieć o kłopotach.

Zbyt szybko zatrzymaliśmy się przed wejściem do hotelu St. Nicholas na skrzyżowaniu Broadwayu z Broome Street. Po drodze Andrew poinformował matkę, że hotel jest tak luksusowy – był pierwszym budynkiem, który kosztował ponad milion dolarów – iż zdetronizował Astor House, stając się najlepszym hotelem w mieście. Przyzwyczaiałam się do jego pełnych zachwyty hiperboli, ta opinia okazała się jednak usprawiedliwiona.

Ledwie zerknęliśmy na białą marmurową fasadę, ponad którą powiewały amerykańskie flagi, i weszliśmy do *lobby*, a już zaczęliśmy snuć domysły o niezwykłym bogactwie, jakie zastaniemy w hotelu. Białe dębowe schody prowadziły na górne piętra, elegancki kryształowy żyrandol rozświetlał podest na parterze, nad *lobby* górował flamandzki obraz, boazeria z orzecha i mahoniu pomalowana była na złoto: St. Nicholas wydawał się raczej zamkiem niż hotelem. W każdym razie tak wyobrażałam sobie współczesny zamek.

Kiedy konsjerż poprosił Carnegiech do recepcji, by zameldować ich w pokoju, ja czekałam obok romańskiej kolumny przy bagażach pani Carnegie. Patrzyłam na hotelowych gości jak zahipnotyzowana: damy ubrane były w suknie tak modne, że nie potrafiłam nawet nazwać ich fasonów, panowie mieli krawaty i poszetki w żywych kolorach, dzieci nosiły stroje, w których mogłyby pójść na wesele. Byłam tak przejęta, że pani Carnegie twierdziła, iż musiała wołać mnie trzy razy. Choć często przesadnie krytykowała moją pracę, tym razem gotowa byłam jej uwierzyć.

Hotelowi tragarze ruszyli za nami, gdy konsjerż prowadził nas do apartamentu, który składał się z dwóch salonów, dwóch sypialni i dwóch łazienek z garderobami. Dżentelmen w czarnym garniturze zrobił krok w tył, by wpuścić nas do pokoi obitych orzechową i mahoniową boazerią, z wielkimi oknami wychodzącymi na Broadway, obramowanymi zasłonami wykończonymi złotą nicią. Na ścianach wisiały nowoczesne lampy i lustra, a w głębi dostrzegłam obudowaną orzechowym drewnem wannę. Poczynając od systemu umożliwiającego łączność gości z recepcją, a kończąc na centralnym ogrzewaniu – były tu wszystkie nowoczesne udogodnienia.

Moja pani, choć zawsze tak przekonująco udawała zblazowaną i wyrefinowaną, tym razem wykrzyknęła:

– Och, Andra, tak bardzo bym chciała, żeby twój ojciec mógł to zobaczyć.

Zaskoczyło mnie wspomnienie zmarłego pana Carnegiego. Nikt nigdy o nim nie mówił. Był niczym duch – jednocześnie wszechobecny i niewidzialny.

– Ja też, matko. – Andrew wyciągnął rękę, by ścisnąć dłoń matki. – Zaslugujesz na wszystko, co najlepsze – powiedział, zerkając także na mnie.

Kiedy tragarze zanieśli bagaże do wyznaczonych pokoi, jeden z nich uniósł moją małą torbę podróżną i zapytał:

– A to, madam?

– To torba mojej służącej – powiedziała pani Carnegie, wskazując na mnie palcem.

– Gdzie ją umieścić?

– W kwaterze służących.

– Pójdzie pani ze mną? – zwrócił się do mnie tragarz. – Dzięki temu będzie pani wiedziała, gdzie jest pani łóżko i rzeczy.

– Mogę, pani Carnegie? – spytałam zaciekawiona, jak jest zakwaterowana służba. Pomyślałam, że nasze pokoje też muszą być ładne, skoro hotel urządony był tak luksusowo.

– Tak, Claro, ale wróć szybko, żeby pomóc mi się rozpakować.

Dygnęłam i poszłam za bagażowym ku zwyczajnym drzwiom na końcu korytarza. Ciemne schody, które znajdowały się za nimi, były zbudowane z prostego drewna sosnowego, zupełnie niepodobne do głównych schodów w *lobby*. Prowadziły na najwyższe piętro, gdzie mieściły się rzędy sypialni dla służby. Czysty, ale skromnie urządony pokój, z jednym łóżkiem, umywalką, kredensem z trzema szufladami i wąską szafą, przypominał ten, który zajmowałam w Fairfield.

Czy to miał na myśli Andrew, gdy spojrzał na mnie i powiedział, że zasługuję na to, co najlepsze? Służąca oczywiście nie powinna spodziewać się niczego więcej, ale kontrast między pokojem Andrew a moim sprawił, że znów przypomniły mi się słowa pana Forda o granicy między służącymi a panami. Choć powtarzałam sobie, że nasza relacja jest inna, że nie mam się czym martwić, pomodliłam się do Świętej Pani, by przewidywania kucharza okazały się

niesłuszne. Bo gdybym upadła, nie upadłabym sama. Pociągnęłabym za sobą na dno całą moją rodzinę.

Rozdział 37

2 października 1866 r.

Nowy Jork, stan Nowy Jork

Zdaniem mojej pani Nowy Jork wymagał nowych sukni. Andrew umówił najlepszych projektantów, by odwiedzili jej pokój w hotelu St. Nicholas. Podczas gdy Andrew spędził kilka pierwszych dni na rozmowach z inwestorami i kierownikami firm kolejowych, ja przebywałam w hotelowym pokoju, oglądając rysunki sukien i próbki materiałów w towarzystwie mojej pani i kilku projektantów. Rezultatem całego tego zamieszania były cztery nowe sukienki, które moim zdaniem wyglądały mniej więcej tak samo jak te stare, jeśli nie liczyć kilku falban i drobnych poprawek przy turniurze. Staralam się nie myśleć o tym, co moja rodzina mogłaby zrobić z pieniędzmi, które pani Carnegie zapłaciła za te ubrania.

Wiedziałam jednak, że moja pani nie wkroczy w nowojorskie towarzystwo, nie mając idealnej sukni, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że piątek niósł za sobą perspektywę wieczornego koncertu w Academy of Music, na który – jak nam powiedziano – wybierała się dostojna socjeta. Dowiedzieliśmy się, że wyższych sfer strzegą w tym mieście kobiety. Nie przypadkowe, oczywiście, ale żony i córki z małej grupy rodzin, które nazywano *Knickerbockers*. Rodziny te były potomkami wczesnych holenderskich osadników, którzy zdobyli swoje fortuny, zajmując się handlem, a pochodzące z nich kobiety trzymały na dystans nowobogackich, którzy

zarabiali na ropie, kolei czy giełdzie – jak państwo Carnegie – zwłaszcza gdy byli oni imigrantami. Andrew i jego równie ambitna matka nie zamierzali oczywiście poddawać się bez walki.

– Jak tam twoje suknie, matko? – Głos Andrew dotarł aż do garderoby, w której zajęta byłam cerowaniem. Czasami miałam wrażenie, że nie robię nic innego.

– Doskonale, Andra. Na pewno będziesz zadowolony.

– Świetnie. Chcę, byś wyglądała w Academy of Music jak najpiękniej.

– I po co tyle wysiłku? W Homewood przyjaźniliśmy się z najlepszym towarzystwem, wystarczał mi wieczór na kolacji u kogoś i partyjka wista.

– Ale matko, stać nas na rozrywkę i kulturę, które oferuje Nowy Jork. Czemuż nasze życie miałyby tylko „wystarczać”?

– Och, Andra – zachichotała moja pani. – Nigdy nie jesteś w pełni zadowolony.

– Pogoda jest piękna. Może pójdziemy na spacer? Od tak dawna siedzisz uwięziona w hotelu na spotkaniach ze szwaczkami i projektantami sukienek.

– Nie nazywałabym St. Nicholas więzieniem. Andra, czy wiesz, że w *lobby* znajduje się poczta, księgarnia, biuro podróży, biuro telegraficzne i cztery restauracje? Nie wspominając o tym, że jest tu co najmniej pięć wielkich salonów. W jednym z nich wiszą zasłony ze złotego brokatu i codziennie wymieniane są bukiety ze świeżych kwiatów! Wyobraź sobie, ile to kosztuje – westchnęła. – I jakie to marnotrawstwo.

– Nie musisz się tym już przejmować, matko. Nie musisz oszczędzać. – Narzuta kanapy zaszeleściła, odgadłam więc, że Andrew się podniósł. – Chodźmy się przejść po Broadwayu.

– Wspaniały pomysł. Poproszę Clarę, żeby przyniosła moje rzeczy.

– Może pójdzie z nami? – zaproponowałam.

Serce zabiło mi mocniej na myśl o takiej wyprawie.

– Dlaczego mielibyśmy brać Clarę ze sobą? – Głos mojej pani brzmiał surowo.

– Pomyślałam, że to może być pomocne.

– Nie wydaje mi się, by było to konieczne, Andra. Nie potrzebuję jej pomocy na zwykłym spacerze. W razie potrzeby mogę się oprzeć na twoim ramieniu.

– Nie zrozumiałaś mnie, matko. Może powinna wiedzieć, gdzie znajduje się apteka i handlarze: kapelusznicy, krawcy, projektanci, perfumiarze i tym podobni.

– To prawda. Clara powinna wiedzieć, gdzie robić zakupy.

Wezwana, narzuciłam płaszcz i wyszłam na zatłoczony Broadway. Tym razem nie złościłam się, że muszę kroczyć za moją panią: cieszyłam się, że mam kotwicę, która utrzymywała mnie na powierzchni. W przeciwnym razie w jednej chwili mogłabym się zgubić, otumaniona łoskotem kopyt, skrzypieniem kół powozów, okrzykami ulicznych sprzedawców i rozmowami setek różnych ludzi.

Od czasu do czasu Andrew pokazywał sklep swojego ulubionego rękawicznika czy dobrze zaopatrzoną aptekę, ale szliśmy dość długo, nim dotarliśmy do małego, lecz dobrze utrzymanego parku, ocienionego rzędami paulowni, z serpentynowymi alejkami i mnóstwem ławek, na których można było usiąść. Na prośbę Andrew przekroczyliśmy bramę z kutego żelaza.

– Matko, jeśli będziesz kiedyś potrzebowała wytchnienia od cudownych wnętrz St. Nicholas, polecam ci ten park. Często przychodzę tu późnym popołudniem, by nacieszyć się przyrodą przed powrotem do hotelu – Spojrzał na mnie, dzieląc się z matką tą pozornie niewinną sugestią. Zrozumiałam, co chciał powiedzieć.

Powietrze wypełniły dźwięki *Normy* Vincenza Belliniego. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, by muzyka mnie pochłonęła. Zapomniałam, że nie siedzę na widowni, ale na długiej ławie przeznaczonej dla służby za drzwiami audytorium. Chociaż nie znałam tej opery, niektóre melodie przywiodły mi na myśl chwile, gdy ćwiczyłam razem z siostrami klasyczne kompozycje. Kiedy nasi sąsiedzi brzdąkali irlandzkie ballady, łamiąc prawo zakazujące kultywowania gaelickiej tradycji, mój ojciec nakłaniał nas, byśmy na naszych instrumentach grały wznioślejszą muzykę. Był to kolejny powód, dla którego nie byłam szczególnie popularną partią dla chłopców z Galway.

Od wielu tygodni nie dostałam listu od Elizy. Rozumiałam, że może to potrwać nieco dłużej, jako że musiał być przekierowany z Pittsburgha, ale minęły już dwa tygodnie od czasu, gdy powinien do mnie dotrzeć. Myślałam o nich – jak im się wiedzie. Złościłam się, że w swoich listach muszę udawać, że nie wiem o feniańskich powiązaniach taty, i powstrzymywać gniew na niego. Mimo zamętu i zwątpienia, które mi towarzyszyły, wiedziałam, że powinnam cieszyć się, że mam co jeść, gdzie mieszkać i że zarabiam wystarczająco dużo, by móc wspierać moją rodzinę. A może i więcej, jeśli pieniądze, o których mówił Andrew, wreszcie się zmaterializują.

Służąca po mojej prawej stronie kaszlnęła. Zerknęłam na nią, chcąc się uśmiechnąć, ale nie chciała na mnie spojrzeć. Odwróciła się i zaczęła rozmawiać z dziewczyną siedzącą obok niej po drugiej stronie. Czyżbym ją czymś uraziła?

Muzyka ucichła, a bileterzy otworzyli drzwi audytorium. Widzowie w eleganckich sukniach i smokingach zaczęli wychodzić z sali i kierować się do baru, gdzie w czasie przerwy serwowano aperitify. Wiele dam się znało, bo witały się, obejmując ostrożnie, by nie pognieść sobie sukienek, a mężczyźni ściskali sobie dłonie.

Andrew i pani Carnegie wniknęli w tłum, a ja zeszywniałam, patrząc na nich. Wydawali się mali wśród tłumu przeważnie wyższych ludzi, a z wyglądu dziwnie staroświeccy, choć upewniali się wcześniej, że zarówno surdut Andrew, jak i suknia mojej pani odzwierciedlają najnowsze trendy w modzie. Udając, że popija szampana z kryształowego kieliszka, Andrew spróbował rozpocząć rozmowę z dżentelmenem stojącym obok niego. Przyglądałam się im zdenerwowana.

– Spójrz na tę dwójkę. – Usłyszałam słowa służącej, z którą próbowałam nawiązać kontakt. Mówiła do dziewczyny po swojej prawej stronie, patrząc na panią Carnegie i Andrew.

– Że też mają czelność pojawiać się pośród *Knickerbockers* – odparła tamta.

– Nigdy nie zostaną zaakceptowani.

– Spójrz tylko na długość rękawów u sukni tej pani. Musiała znaleźć ten projekt w jakiejś kiepsko poinformowanej rubryce towarzyskiej. Żadna dama spośród *Knickerbockers* nie włożyłaby sukni z rękawami, które dotykają dłoni. Zakrywają jej nadgarstki – powiedziała, oburzona myślą, że ktoś mógłby pogwałcić tę świętą zasadę.

– Wyobraź sobie tylko, co moja pani Van Rensselaer mówi do swojej przyjaciółki, pani Morris. Spójrz, jak plotkują, patrząc na nich.

– Ale kto miałby uświadomić tę biedną kobietę co do właściwej długości rękawów? Jak zawsze powtarza moja pani Rhineland. – Dziewczyna uniosła głos, przyjmując niemal angielski akcent. – Naszych zwyczajów nie należy przesadnie szerzyć. To byłoby zbyt demokratyczne i spowodowałoby dopuszczenie do towarzystwa wszelkich ludzi, którzy do niego nie przynależą.

Drugie dziewczę się roześmiało.

– Moja pani mówi dokładnie to samo. Pani Van Rensselaer i pani Morris na pewno rozmawiają o sylwetce tej pani. Spójrz tylko, jak się garbi. Łabędziej szyi to ona nie ma.

– Nic dziwnego, że się gapią. Rzadko opuszczają swoje kamienice z piaskowca. Ta matka i jej syn muszą być dla nich niczym egzotyczne ptaki.

Gdy służące śmiały się z Carnegiech, ja w myślach modliłam się do Najświętszej Pani, by przerwa skończyła się jak najszybciej, a wraz z nią – bolesne komentarze. Jakby moja modlitwa została wysłuchana, rozległ się litościwy dźwięk gongu.

Rozdział 38

24 listopada 1866 r.

Nowy Jork, stan Nowy Jork

– Claro, czy sądzisz, że wieczór okazał się sukcesem?

Pytanie, którego się obawiałam, zadała, gdy czesałam jej włosy. Każdego poranka po koncercie, operze czy kolacji w Delmonico's poprzedniego dnia pytała mnie o to.

W salach koncertowych, teatrach i restauracjach słuchałam, jak inne służące plotkują o nowojorskiej socjocie i wyśmiewają wysiłki Carnegiech nawet wtedy, gdy wiedziały, że dla nich pracuję. Zrozumiałam, że ich uczestnictwo w wieczorach, które spędzali na marginesie towarzystwa – i w jedynych miejscach, gdzie *Knickerbockers* pojawiali się publicznie – jest źle widziane przez tych naturalizowanych cudzoziemców, którzy strzegli jego bram. Nie miało znaczenia, że fortuna Andrew była pewnie większa niż dużej części z nich. Nie zamierzali wpuścić Carnegiech do swojego kręgu.

Byłam zmuszona kłamać.

– Pani suknia była najpiękniejsza w całej restauracji.

Na jej twarzy pojawił się ostrożny uśmiech.

– Na pewno były tam młodsze damy w piękniejszych sukniach, Claro.

– Ich fasony są dla mnie zbyt frywolne, proszę pani. Wolę suknie doskonałej jakości, solidnie wykonane i dobrze skrojone. W tej kategorii pani strój był

najwspanialszy.

Nagrodziła mnie lekkim uśmiechem.

– Sposób podawania jedzenia w Delmonico's, *à la carte* zamiast *table d'hôte*^[14], wymaga przyzwyczajenia – zauważyła.

– Panie, którym służyłam w Irlandii, wołały dokonywać samodzielnych wyborów, na co pozwala serwowanie dań *à la carte*. – Z tego, co słyszałam, ten sposób podawania posiłków wzorowany był na europejskich restauracjach, więc ufałam, że ten komentarz nie wzbudzi podejrzeń.

– Zastanawiam się, kiedy zostaniemy zaproszeni na kolację z prawdziwymi nowojorczykami. Większość naszych towarzyszy to pracownicy branży kolejowej mieszkający w St. Nicholas albo przyjeżdżający tu w interesach. Gdyby nie oni, byłibyśmy tu z Andra dość samotni. – Mówiła to jakby do siebie. – W Pittsburghu znacznie łatwiej było poznawać właściwych ludzi. Po prostu przeprowadziliśmy się do właściwej dzielnicy i zaprzyjaźniliśmy się z nimi. Zaraz potem były kolacje, koncerty i gry.

Co mogłam powiedzieć? Że tak, najwyraźniej, wygląda Nowy Jork? Że żadna z bogatych od dawien dawna rodzin Rockefellerów czy Rhinelandów nie zaprosi ich na herbatę do swojej kamienicy przy Czternastej Ulicy? Czy w ogóle o to chodziło w pobycie w Nowym Jorku? Kiedy myślałam o prawdziwych problemach, z jakimi mierzą się ludzie – brakiem pieniędzy, jedzenia czy domu, które znała przecież kiedyś pani Carnegie – jej dylematy zdały mi się niepoważne.

Nic nie powiedziałam.

– Chcę, by Andra obracał się w najlepszym możliwym towarzystwie. Zasłużył na to – stwierdziła, gładząc swoje włosy i spoglądając w lustro.

Zastanawiałam się, czy Andrew pragnie tego samego. Jeśli chciałam zachować wobec niego emocjonalny dystans i skupić się jedynie na interesach, jego poglądy na nowojorskie towarzystwo nie powinny mieć dla mnie znaczenia. Jednak to, że odpowiedź na to pytanie wydawała mi się ważna, było wymowne.

Później tego samego popołudnia zdobyłam się na odwagę. Pani Carnegie, zmęczona porannymi poszukiwaniami idealnych zimowych rękawiczek, poszła odpocząć wcześniej niż zwykle. Kiedy hałasy w jej pokoju ucichły, wyszłam z St. Nicholas na Broadway. W razie odkrycia mojej nieobecności zamierzałam wymówić się wyprawą do apteki.

Chociaż zazwyczaj spotykałam się z Andrew nieco później, byłam pewna, że go zastanę. Dobrze znałam jego plan dnia – co rano omawiał go z matką w mojej obecności – i wiedziałam, że jego spotkanie z bankierami w Atlantic National Bank skończyło się godzinę wcześniej. Przez kilka ostatnich tygodni pracował nad listą potencjalnych inwestorów w przedsięwzięcia kolejowe, odnajdując kluczowych graczy na wielkim, trudnym rynku. Pojawiły się między nami nieporozumienia – ja uważałam, że lepiej byłoby szukać finansowania w lokalnych bankach, czyli tam, gdzie mosty będą budowane, podczas gdy Andrew twierdził, że to państwowe banki zapewnią projektom większy prestiż, a w konsekwencji – finansowanie. W końcu jednak doszliśmy do konsensusu, a ja byłam pod wrażeniem poważania, jakie u niego miałam.

Dzisiaj nękała mnie jednak inna myśl. Kim był ten mężczyzna, w którego ręce złożyłam przyszłość swojej rodziny? Jakimi wartościami się tak naprawdę kierował?

Andrew już siedział w cieniu na naszej ulubionej ławce. Uśmiechnął się na mój widok i wstał, by mnie przywitać. Kiedy usiedliśmy, rozmawialiśmy swobodnie o jego ostatnim spotkaniu, nie martwiąc się, że ktoś nas zauważy, gdyż nie mieliśmy w tym mieście wielu znajomych. W Nowym Jorku czułam się wolna po raz pierwszy od przybycia do Ameryki. W anonimowym gwarze wielkiego miasta, oddaleni od ciekawskich spojrzeń, mogliśmy dzielić się ideami i spostrzeżeniami. Podeszłam do tematu okrężną drogą.

– Jesteś więc zdeterminowany, by szukać finansowania w nowojorskich bankach?

– Twój sprzeciw był uzasadniony, sadzę jednak, że wsparcie tutejszych prestiżowych banków doda naszym projektom powagi – powiedział, paląc cygaro.

– Jesteś pewien, że chodzi ci jedynie o powagę?

– Co masz na myśli?

– Czy nie zależy ci na nich, bo chcesz zapewnić sobie i swojej rodzinie miejsce w nowojorskim towarzystwie?

Zarumienił się, potwierdzając moje podejrzenia.

– O co pytasz, Claro?

– Twoja matka wydaje się zdeterminowana, by stać się częścią ekskluzywnego towarzystwa *Knickerbockers*. Wiem, że lubisz sprawiać jej przyjemność. Może uważasz, że relacje biznesowe są do niego kluczem?

– Te dwa dążenia nie są ze sobą sprzeczne – odpowiedział ostrożnie.

– Ale jedno nie jest gwarancją drugiego.

– Nie wiesz tego.

Jego głos przybrał nieco bojowy ton, podobny do tego, jaki słyszałam, gdy kłócił się z panami Scottem i Thomsonem. Wyraz jego twarzy również się zmienił, jakby gniewna maska zakryła przyjazne zazwyczaj rysy.

Nasza nietypowa relacja i obietnica czekających mnie funduszy sprawiły, że zapomniałam o swojej pozycji służącej, która rozmawia ze swoim panem. Odsunęłam się od niego i powiedziałam:

– Bardzo przepraszam. Przekroczyłam granicę.

Mroczna maska zniknęła i ponownie wyłonił się spod niej Andrew, którego znałam.

– Claro, nie ma między nami żadnych granic. Relacja między nami jest najprawdziwszą w moim życiu, a twoją szczerą cenę ponad wszystko. Jeśli twierdzisz, że drzwi do nowojorskiej socjety są dla nas zamknięte niezależnie od moich umów biznesowych z bankierami, wierzę ci.

– Służący w swoim towarzystwie rozmawiają bardziej otwarcie i wypowiadają sądy, do których ich pracodawcy nigdy by się nie przyznali.

– Czyżbyś coś słyszała?

– Nie chodzi o to, co słyszałam, ale o to, czego się domyśliłam z komentarzy służby. Nowojorska socjeta nie ma tytułów takich jak europejska arystokracja, musi więc wymyślać sposoby na odróżnienie się od reszty mieszkańców. Drobne, sekretne sposoby, jakby tworzyli sekretne towarzystwo, którego zasady znają tylko członkowie.

– O jakich sekretnych sposobach mówisz?

– Chodzi o pozornie nieistotne rzeczy, których nie dostrzegają ludzie z zewnątrz. Długość rękawów. Fason sukni czy smokingu. Specyficzna postawa. Szczególne wyrażenia. Wszystko to w powiązaniu z zaproszeniami na właściwe przyjęcia do właściwych kamienic. Strzegą tych obyczajów i zaproszeń, żeby niewłaściwi ludzie nie dostali się do ich świata. – Przerwałam, zastanawiając się, czy wypowiedzieć kolejne bolesne słowa. Czy mam zaryzykować, nie znając jego reakcji? Wiele mi ona powie o jego prawdziwej naturze. Odetchnęłam głęboko i zdobyłam się na odwagę. – Andrew, być może będą robić z tobą interesy, ale nigdy nie uznają cię za równego sobie. Komodor Vanderbilt próbuje od lat, ale jego wysiłki wciąż są lekceważone. A jest przecież prezesem New York and Harlem Railroad i nie przyjechał tu niedawno, co czyniłoby jego próby jeszcze trudniejszymi. Być może powinieneś skupić się na panu Vanderbilcie i jego towarzystwie. Zaproszenie do jego kręgu wydaje mi się przynajmniej osiągalne.

Zmrużył oczy, przyjmując znajomy, zdeterminowany i skoncentrowany wyraz twarzy. Budziła się w nim potrzeba rywalizacji.

– Jak poznać zwyczaje tych *Knickerbockers*?

Jego pytanie zaskoczyło mnie i rozczarowało. Spodziewałam się, że będzie równie oburzony tą towarzyską barykadą jak ja, że zezłości go to lekceważenie nowo przybyłych. Jeśli pragnął obracać się w wyższych sferach, jak moglibyśmy planować wspólną przyszłość? Chociaż nalegałam, by nasza relacja skupiała się na interesach, a nie uczuciach, głęboko skrywałam prawdziwe emocje i marzenia. Biorąc pod uwagę, że dla byłej służącej nie ma miejsca w eleganckim towarzystwie, musiałam pogodzić się z inną perspektywą przyszłości.

– Chcesz poznać ich sekrety, by stać się częścią ich świata? Dlaczego?

Zaskoczony otworzył szeroko oczy.

– Dlaczego miałbym pozwolić, żeby mnie pokonali?

Nigdy dotąd nie słyszałam, by równie otwarcie mówił o swoich ambicjach. Uniosłam głos.

– Ta stara nowojorska elita uważa, że ludzie nie są sobie równi, że jest lepsza od pozostałych klas. Myślałam, że wierzysz w wolność i szansę dla wszystkich ludzi. Ten pogląd jest antytezą wszystkiego, co ci ludzie sobą reprezentują.

– Jak dotąd nie pozwalałam, by bieda, brak wykształcenia czy różnice kulturowe powstrzymały moją wspinaczkę na szczyt.

– Ale dlaczego chcesz wspinać się ku ludziom, którzy mają przeciwne poglądy? Wrogo do ciebie nastawionych? Ich sprzeciw wobec ciebie jest emblematyczny dla ich niedemokratycznych poglądów.

– Bo to wyzwanie, Claro.

– Czy nie mówiłeś mi kiedyś, że podoba ci się amerykański etos równości i wiara w to, że można wspiąć się ponad swój społeczny status? To o te prawa walczyli twoi przodkowie czartyści i o nie walczy mój ojciec, a ty udowodniłeś, jak wysoko można zejść, gdy się je otrzyma. Proszę, Andrew, znajdź inną drogę.

Wstał i popatrzył na mnie. Jego szeroka twarz stwardniała niczym wyryta z kamienia, a oczy zapłonęły gniewem.

– Nie przywykłem, by ktokolwiek mówił mi, co mam robić, Claro. Ani Scott i Thomson, ani moja matka, a już na pewno nie ty.

[14] *Table d'hôte* to serwis, w którym wszyscy goście dostają te same dania w ustalonej kolejności; serwis *à la carte* pozwala każdemu gościowi wybrać z menu, czego sobie życzy.

Rozdział 39

8 grudnia 1866 r.

Nowy Jork, stan Nowy Jork

Odziana w uniform pielęgniarka delikatnie zamknęła drzwi pokoju mojej pani.

– Jej kaszel ustępuje, sir, ale układ oddechowy będzie wymagał regularnego leczenia.

– Czy mamy wzywać panią przez recepcję? – Andrew zmarszczył brwi, zmartwiony o matkę.

Kilka dni wcześniej moja pani zachorowała, co rzadko zdarzało się tej energicznej kobiecie. Wczoraj pojawił się suchy kaszel, który zaniepokoił syna, ale który ona przypisywała zwykłemu osłabieniu. Długie wieczory i szybkie tempo spacerów po Nowym Jorku męczyły ją i potrzebowała odpoczynku. Tylko choroba mogła jej go zapewnić.

– Zostanę z nią przez cały wieczór, sir. Aż do poranka, kiedy znów sprawdzimy, w jakim jest stanie – powiedziała pielęgniarka, zerkając na mnie. – Ale nie wydaje mi się, by to było coś poważnego.

– Jest pani pewna? – Twarz Andrew się rozluźniła. Jego matka rzadko okazywała jakąkolwiek słabość, więc jej choroba, chociaż łagodna, zaniepokoiła go.

– Tak, sir – powiedziała. – Chciałby ją pan zobaczyć, nim zaśnie?

– Tak – westchnął głęboko i poszedł do jej sypialni.

Poczułam ulgę, gdy opuścił pokój. Od czasu rozmowy w parku nasze stosunki były napięte. Odrzuciła mnie zarówno szorstkość, jaką mi okazał, jak i jego przekaz. Chciał zapewnić sobie przyjęcie do elity, w której nie było dla mnie miejsca. Musiałam pozbyć się resztek swoich fantazji, że pewnego dnia Andrew i ja będziemy mogli kierować się swoimi uczuciami i skupić się na swoich obowiązkach wobec rodziny. Moje uczucie do niego mogło mi zagrozić, a nie byłam pewna, czy potrafię oddzielić od niego naszą relację biznesową. Musiała mi wystarczyć pensja i hojny pakiet akcji, które obiecał mi Andrew. Bardzo taktownie, tak aby nie miał powodu, by zemścić się na mnie, unieważniając moje udziały, trzymałam się na dystans, uchylając się od jego powtarzających się propozycji, byśmy się spotkali na osobności.

Zostałam w pokoju z pielęgniarką. Patrząc na jej śnieżnobiały mundur i podziwiając sprawne, bezpośrednie zachowanie, zastanawiałam się nad jej statusem.

– Od dawna jest pani pielęgniarką?

– Kiedy byłam dziewczynką, inspirowały mnie artykuły o Florence Nightingale. Słyszała pani o niej?

– Tak. Dorastając w Irlandii, słyszałam historie o jej pracy podczas wojny krymskiej.

– Jej praca była niebezpieczna i inspirująca. – Uśmiechnęła się. – Jako młoda kobieta szukałam podobnego zajęcia do pracy pani Nightingale, ale w naszym kraju zajmowały się tym głównie zakonnice. Nie miałyśmy tu szkoły pielęgniarstwa, jaką pani Nightingale założyła w Anglii. Kiedy wybuchła wojna domowa, armia Unii ogłosiła, że poszukuje kobiet, które ucząc się w szpitalach polowych, stworzyłyby korpus sanitariuszek. Zgłosiłam się od razu.

– Nie miałam pojęcia, że kobiety służyły w wojsku.

– Nie dziwi mnie to. Byłyśmy wolontariuszkami, więc wszystko działało się nieoficjalnie. Z tego, co wiem, nie pisano o naszej pracy w żadnej z gazet.

Byłam pod wrażeniem jej inicjatywy i odwagi.

– Dziękuję za pani służbę, panno... – Zdałam sobie sprawę, że nie znam jej nazwiska.

– Nazywam się Carlyle.

Ukloniłam się i przedstawiłam.

– Panna Kelley. To przyjemność i zaszczyt móc panią poznać, panno Carlyle.

Cierpliwie cerowałam dziury w czarnych jedwabnych pończochach pani Carnegie. Przekręciłam się na moim wąskim łóżku. Nie było mi wygodnie w ciemnym, pozbawionym okien pokoju służącej. Łatwiej by mi się pracowało w fotelu w garderobie mojej pani, przy świetle słońca czy gazowej lampy. Nie miałam jednak wyboru, gdyż pani Carnegie odesłała mnie do mojego pokoju, kiedy pani Carlyle przejęła nad nią opiekę. Dzięki tej chwili wytchnienia miałam czas, by rozmyślać o profesji pielęgniarki. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, czy poza służbą i małżeństwem kobiety mogłyby wykonywać jakieś inne zawody – o ile małżeństwo można w ogóle nazwać zawodem. Co jeszcze mogłyby robić? Wiedziałam, że Andrew zatrudniał kobiety jako telegrafistki, co było jedną z nielicznych innych możliwości.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zawahałam się, nim odpowiedziałam, nikt bowiem dotąd tu do mnie nie przychodził. Mijałam w korytarzu inne służące – mężczyźni mieli osobne skrzydło – ale nikt nie starał się z nikim zapoznać, bo wszystkim wciąż brakowało czasu.

– Panno Kelley – Usłyszałam kobiecy głos. – Kurier przyniósł dla pani paczkę.

Dla mnie? Któż, na Boga, mógłby wysłać do mnie paczki? Na pewno nie moja rodzina, a z nikim więcej nie korespondowałam. Wzięłam pakunek z rąk matrony, która nadzorowała piętro służących i, zamknąwszy za sobą drzwi, położyłam długie, prostokątne pudełko na mojej cienkiej, niebieskiej narzucie. Pudełko obwiązane było różową satynową wstążką i pachniało lawendą.

Pociągnęłam za wstążkę i patrzyłam, jak supeł sam się rozwiązuje.

Delikatnie uniosłam palcami wieczko. W środku znajdowała się błyszcząca, błękitna suknia, której jedwabne spódnice i gorset wciśnięte zostały ostrożnie do środka. Wokół talii miała nieco ciemniejszą aksamitną wstęgę, która przecinała gorset i sięgała aż do dekoltu. Zdobily go małe, lazurkowe kryształki tworzące iluzję naszyjnika z szafirów.

Ta piękna, elegancka suknia, nadająca się na bal czy koncert w Academy of Music, najwyraźniej została dostarczona do mojego pokoju przez pomyłkę. Nie rozumiałam jednak, jak kurier wysłany przez krawca mógł popełnić tak oczywisty i rażący błąd. Zwłaszcza że podał moje nazwisko.

Chciałam już zamknąć pudełko z powrotem i odnieść je do recepcji, kiedy między fałdami sukni zauważyłam mały bilecik. Na kopercie nie było nazwiska, nie była też zapieczętowana, wyciągnęłam więc liścik.

Dla Clary – by pomogła mi znaleźć inną drogę. Wybacz mi. Proszę, spotkaj się ze mną o siódmej w lobby, skąd pójdziemy na koncert w Academy of Music. Andrew.

Czy odważę się przyjąć zaproszenie? Czy odważę się mieć nadzieję? Czy może zbyt długo już folgowałam swoim dziewczęcym, niewinnym fantazjom?

Rozdział 40

8 grudnia 1866 r.

Nowy Jork, stan Nowy Jork

Z konieczności szłam po schodach hotelu St. Nicholas drobnymi kroczkami. W wielkiej, błyszczącej sukni rzucałam się w oczy. Nie byłam niewidzialna jak zwykle. Instynktownie starałam się skurczyć, co było niemożliwe w kreacji zaprojektowanej tak, by zwracała uwagę.

Miałam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą. Czy widzieli irlandzką wieśniaczkę w kostiumie eleganckiej nowojorskiej damy? Czy rozpoznawali moje oszustwo? Jakaś część mnie chciała odwrócić się i pobiec z powrotem do sypialni dla służby, w której żyłam tylko jednym kłamstwem. Długo zastanawiałam się, czy przyjąć zaproszenie Andrew, myślałam też, co oznacza ono dla nas razem i dla każdego z nas z osobna. Koniec końców, zrozumiałam swoją pozycję, wiedziałam, co muszę zrobić dla siebie i swojej rodziny, i pamiętając o tym, wyraziłam zgodę.

Stojący u stóp schodów Andrew wpatrywał się we mnie. Zaczęłam zastanawiać się, czy z suknią jest wszystko w porządku. Nie mogłam sprawdzić tego sama, gdyż na mojej szafce stało tylko małe lusterko.

Zawiązanie wyszukanego gorsetu, ściśnięcie się mocno w talii i zapięcie maleńkich guziczków na plecach było dużym wyzwaniem, które wyeliminowało wszystkie moje wątpliwości w sprawie konieczności posiadania osobistej służącej przez damy. Miałam nadzieję, że oddaję tej sukni sprawiedliwość.

Kiedy dotarłam na ostatni stopień, nie wziął mnie pod ramię, jak to było przyjęte, ale patrzył dalej.

– Coś nie tak? – zapytałam.

– Absolutnie nic. – Zarumienił się. – Po prostu... wyglądasz inaczej.

– Nienaturalnie?

– Wręcz przeciwnie, Claro. Wyglądasz bardziej jak ty. Jakby strój służącej był kostiumem, a ten – twoim właściwym odzieniem.

Tym razem to ja się zaczerwieniłam.

– Dziękuję ci za tę suknię, Andrew. Nie jestem pewna, czy stosownym zachowaniem było przyjęcie tak drogiego prezentu, ale jak widzisz, postanowiłam zapomnieć o odpowiednim zachowaniu. Przynajmniej tego wieczoru.

– Cieszę się, że przyjąłeś sukienkę i to, co jej towarzyszyło. Przeprasiny.

Wyciągnął dłoń w rękawiczce i wziął mnie pod ramię. Ruszyliśmy przez złocone *lobby* hotelu St. Nicholas. Próbowałam sunąć przed siebie jak inne damy, ale wieczorowa suknia była znacznie węższa i sztywniejsza od tej, którą nosiłam na co dzień. Obawiałam się, że sprawiałam wrażenie osoby raczej sztywnej niż eleganckiej. Mimo to, gdy kroczyliśmy po marmurowej posadzce, tragarze kłaniali się nam, konsjerże pochylali głowy, a portierzy otwierali szeroko drzwi, czego nigdy nie zrobiliby dla niewidzialnej Clary Kelley. Czułam się tak, jakbym szła przez *lobby* pierwszy raz w życiu. Rozumiałam już, dlaczego wspinanie się po społecznej drabinie tak pociągało Andrew, choć nie zgadzałam się z jego ambicjami.

W powozie z Broadwayu na Union Square jechaliśmy, milcząc. Coś się zmieniło w naszych stosunkach – wisiała między nami nasza kłótnia w parku i moje zdanie na temat tego, czego pragnął i co to oznaczało dla mnie – i żadne z nas nie wiedziało, jak rozpocząć rozmowę. Gdy dotarliśmy do Academy of Music, postanowiłam grać nową rolę, choć przez ten jeden wieczór. Tak jak odgrywałam drugą Clary Kelley. A potem będę musiała przyjąć, co przyniesie los.

Uśmiechnęłam się do Andrew, gdy wysiadaliśmy z powozu, a do oświetlonego płomieniami świec *lobby* weszłam najnaturalniej w świecie. Bileter odprowadził nas na nasze miejsca w audytorium. Kiedy usiadłam w miękkim, pluszowym, aksamitnym fotelu, rozejrzałam się wokół. Wnętrze Academy, wyłożone czerwonym adamaszkiem, z pomalowaną na złoto sztukaterią, sielankowym malowidłem na ścianie i zwisającym z sufitu kryształowym żyrandolem wielkości powozu, było znacznie bardziej olśniewające, niż sądziłam, gdy siedziałam na mojej ławce na zewnątrz.

Spoglądając w górę, zobaczyłam pięć poziomów, wzbijających się ku wysokiej na dwadzieścia pięć metrów kopule. Musiała to być największa opera na świecie. Na poszczególnych piętrach znajdowały się ośmioosobowe łóża z połączonymi balkonami.

– O tych łóżach mówili służące – wyszeptałam do siebie.

– Mogłabyś powtórzyć, Claro? Nie usłyszałam.

Odezwałam się nieco głośniej.

– Prywatne łóża przypomniały mi zasłyszaną rozmowę między dwiema służącymi. Górne dziesięć tysięcy...

– Przepraszam, jakie dziesięć tysięcy?

– Tak nazywa samą siebie najściślejsza elita *Knickerbockers*. To oni zebrali pieniądze na Academy of Music i zarezerwowali łóża dla siebie i swoich przyjaciół. Zamożni outsiderzy, tacy jak Vanderbiltowie, przez lata na próżno starali się zyskać do nich dostęp. Od dawna krążą plotki, że jeśli bogatym handlarzom nie uda się zasiąść w łóżach, zbudują jeszcze wspanialszy budynek opery, czym doprowadzą do upadku Academy of Music.

– Interesujące – powiedział, a na jego twarzy pojawił się psotny uśmiech. – Ale mnie oczywiście nie obchodzą już towarzyskie machinacje nowojorczyków, chyba że mają wpływ na moje interesy.

Uśmiechnęłam się, zachwycona jego zmianą zdania. Mój uśmiech zbladł jednak, gdy zaczęłam zastanawiać się, czy naprawdę przeszedł tak radykalną

transformację, czy może ten komentarz miał po prostu sprawić mi przyjemność.

Światła przygasły, a smyczki ogłosiły początek *Traviaty*. Chociaż wysłuchałam dwóch oper i jednej symfonii, siedząc na zewnątrz, nie byłam przygotowana na spektakl, który towarzyszył muzyce. Szkarłatna kurtyna rozsunęła się, ukazując luksusowy paryski salon, w którym odbywało się przyjęcie, a wspaniałe postaci, śpiewając, snuły wzniosłą, tragiczną opowieść.

Urzeczona dramatyczną historią uczucia między Alfredem i Violetta, dałam się porwać tej historii o miłości bohaterów i o pragnieniu Alfreda, by odebrać dziewczynę baronowi. Chociaż pragnęłam, by Violetta uznała, że Alfredo jest jej przeznaczeniem, potrafiłam zrozumieć konflikt między kielkującym uczuciem do niego – *È strano... Ah, fors'è lui*^[15] – i jej pragnieniem wolności – *Sempre libera...*^[16]. Moje serce niemal też pękło, kiedy Violetta po przyjęciu Alfreda zgodziła się go porzucić na rozkaz jego ojca, który nie mógł znieść wpływu, jaki miał ich związek na reputację rodziny.

Ta część historii stała się dla mnie niezrozumiała.

– Dlaczego związek Alberta i Violetty miałby skompromitować jego rodzinę? – wyszeptałam do Andrew.

– Violetta jest kurtyzaną – odpowiedział.

Moje policzki zapłonęły. Wiedziałam, co to znaczy. Cieszyłam się, że w sali jest ciemno, bo byłam pewna, że zrobiłam się cała czerwona.

Podczas słodko-gorzkiej arii Violetty pod koniec drugiego aktu – *di questo core non puoi comprendere tutto l'amore*^[17] – niemal płakałam, musiałam więc się uspokoić, nim wyszliśmy do *lobby* na odświeżający koktajl. Spacerując wśród towarzystwa, któremu jeszcze kilka tygodni temu przyglądałam się z ławki dla służby, miałam poczucie nierealności. Wrażenie to stało się jeszcze silniejsze, kiedy tren mojej spódnicy otarł się o ławę, na której siedział rząd służących w ubraniach o monochromatycznych barwach.

Gdy kelner podał nam kryształowe kieliszki pełne bordoskiego wina, powiedziałam:

– Nie wiem, jak ci dziękować za ten wieczór, Andrew. Nie miałam pojęcia, że opera jest aż tak poruszająca.

– Cudowna, prawda? Przyznam, że przedstawienia, które widziałem podczas mojej europejskiej podróży, nie dorównują tutejszym.

– Masz jakąś ulubioną? – zapytałam.

– Do dzisiaj wskazywałem na opery Giuseppe Verdiego, które miałem szczęście oglądać w Europie. Przyznaję jednak, że teraz, gdy jestem z tobą, *Traviata* przemawia do mnie najbardziej. Być może ze względu na podobieństwo dylematu bohaterów do naszego. A przynajmniej do mojego.

Na mojej twarzy musiało pojawić się przerażenie, bo pospieszył z wyjaśnieniem.

– Oczywiście nie mówię o wątku kurtyzany! Chyba że oburzyłem cię samym porównaniem sytuacji Alfreda i Violetty do naszej.

Zdenerwowana jego uwagą o naszych uczuciach – kwestii, która wciąż była obecna, ale o której nie wspominaliśmy od miesiący – zachichotałam cicho.

– Nie, nie, zaskoczyło mnie jedynie porównanie do kurtyzany – odparłam.

Roześmialiśmy się. Nie wiedziałam, czy odczuwaliśmy ulgę, czy raczej lęk przed nadchodzącą rozmową. Na szczęście zadzwonił dzwonek, który wzywał z powrotem na widownię.

Pochłonął mnie ostatni akt opery, świat wykreowany na scenie, kiedy wszyscy udawali i nikt nie był tym, kim się wydawał. Podobnie jak państwo Carnegie. I podobnie jak ja.

[15] *È strano... Ah, fors'è lui* (wł.) – „To dziwne... ach, może to on”.

[16] *Sempre libera...* (wł.) – „Zawsze wolna...”.

[17] *Di questo core non puoi comprendere tutto l'amore* (wł.) – „nie pojdziesz całej miłości w tym sercu”.

Rozdział 41

8 grudnia 1866 r.

Nowy Jork, stan Nowy Jork

Rozmowa między nami była niczym trzecia osoba w powozie, której się baliśmy, ale którą też bardzo chcieliśmy poznać. Żadne z nas nie miało ochoty zacząć, ale żadne też nie chciało, by pewne słowa pozostały niewypowiedziane.

Pamiętałam, że na pokładzie Envoy obiecałam sobie, że nie będę dłużej czekać, aż moje życie się zacznie. Złamałam tę obietnicę wiele razy, ale nie zamierzałam robić tego po raz kolejny. Zanurkowałam w głębokie nieznane wody.

– W czasie antraktu wspomniałeś o podobieństwie naszej sytuacji do tej Alfreda i Violetty – powiedziałam, nie odrywając wzroku od swoich dłoni. Zebrać się na odwagę, by się odezwać to jedno, ale widzieć jego reakcję to zupełnie co innego.

– Tak – powiedział, przełykając ślinę. Nie byłam przyzwyczajona do jego wahania. – Jest między nami przepaść. Nie tak głęboka jak między nimi, ale jednak. To absurdalne, bo choć ty jesteś służącą, a ja twoim panem, tak naprawdę wiele nas łączy. Przyjechałem do tego kraju jako ubogi imigrant, z klasy niższej jeszcze niż twoja. – Wziął głęboki oddech i mówił dalej. – Mam jednak nadzieję, że nie mylę się, wierząc, że odwzajemniasz moje uczucia. Jak Violetta uczucia Alfreda.

Uniosłam wzrok i zobaczyłam jego twarz, pełną niepokoju i oczekiwania.

– Nie mylisz się.

Ścisnął moje dłonie w swoich i drżącym, pełnym niedowierzania głosem zapytał:

– Naprawdę?

– Naprawdę, chociaż wiem, że trudno w to uwierzyć, bo odepchnęłam cię w zeszłym roku.

Szeroko otworzył pełne nadziei oczy, a ja się zawahałam. Zmusiłam się, by powiedzieć, co należało. Głos mi się trząsał, bo bałam się jego reakcji i targały mną sprzeczne uczucia.

– A jednak moje uczucia nie są najważniejsze. Wiesz, że utrzymuję rodzinę dzięki pozycji służącej, i obawiam się, że twoje uczucie do mnie może skomplikować moją sytuację. Nigdy nie zostanę dopuszczona do elity, a ty twierdzisz, że chcesz być jej częścią. Jako że nie ma tam dla mnie miejsca, nie ma też dla mnie miejsca przy tobie. Nie ma dla nas przyszłości, nawet gdybyś jej pragnął. Wiem, że zuchwałością jest cię o to podejrzewać. Proszę, wiedz, że jestem ci wdzięczna za wszystko, czego mnie nauczyłeś, i za to, że podarowałeś mi akcje, które będą nieocenioną pomocą dla mojej rodziny, ale myślę, że musimy pogodzić się z tym, że nadszedł koniec naszej wspólnej drogi.

Patrzył na mnie w milczeniu. Bardzo mnie to zaskoczyło, bo Andrew nigdy nie milczał. Potem zrobił coś jeszcze bardziej nieoczekiwanego: roześmiał się.

– Och, Claro, to kolejny powód, dla którego cię kocham. Większość kobiet, rozpieszczonych operą, suknią i moimi słowami, uczepiłoby się wizji naszego związku. Ty jednak jesteś silna, szlachetna, lojalna i nade wszystko uczciwa. Masz w sobie wszystkie cechy, które podziwiam. To, że mnie odrzucasz, jeszcze bardziej utwierdza mnie w moim wyborze.

Zmarszczyłam brwi, zaskoczona, a moja mina musiała być dość komiczna, bo widząc ją, roześmiał się jeszcze głośniej.

– Twoje słowa sprawiają, że doceniam cię jeszcze bardziej, i utwierdzają mnie w przekonaniu, że uda nam się zakopać przepaść między nami i związać się na stałe. Claro, jeśli naprawdę podzielasz moje uczucia, chciałbym zakopać tę przepaść poprzez małżeństwo.

– Myślałam, że pragniesz wielkiej fortuny i miejsca wśród elit? – zapytałam drżącym głosem.

– Powiedziałaś, że powinienem odnaleźć inną drogę. Rodowód, ten przypadek, jakim są narodziny, nie daje człowiekowi prawa do powszechnego szacunku. Ten można zyskać dzięki swoim czynom. I dlatego górne dziesięć tysięcy, czy jak tam chcą się nazywać, nie mają znaczenia. Ty się liczysz – wyznał i mocniej ścisnął moje dłonie. – Czy chcesz przekroczyć ze mną ten most?

Co miałam powiedzieć? Tak długo starałam się uodpornić na jego urok i zapomnieć o swoich uczuciach do niego. Wiedziałam, że moja rodzina desperacko mnie potrzebuje i nie mogłam jej zawieść. Czy istniał jednak sposób, by mieć jedno i drugie – poprawę losu moich krewnych i Andrew u boku? Wyobrażałam sobie, co moglibyśmy razem osiągnąć, a jednocześnie wątpiłam, bym kiedykolwiek jeszcze miała szansę spotkać mężczyznę, który pozna się na moich możliwościach i zechce mieć przy sobie silną kobietę.

– Tak, Andrew.

Już wypowiadając te słowa, zastanawiałam się, czy dokonałam właściwego wyboru. Czy mogłam ufać, że nie zmieni zdania, że ponura maska znów nie przysłoni jego twarzy? I co będzie, kiedy odkryje, kim jestem naprawdę?

W powozie było ciemno, jeśli nie liczyć świateł mijanych latarni i tych z otwartych do późna pubów, słyszałam jednak i czułam, jak się do mnie przysuwa. Jego ciemnoniebieskie oczy błyszczały w półmroku, a ja poczułam jego oddech, gdy zbliżył swoje usta do moich.

– Znajdziemy jakiś sposób, Claro. Obiecuję ci to.

Gdy jego miękkie wargi dotknęły moich, zastanawiałam się, czy tym razem również uda mu się osiągnąć sukces jak zawsze. Czy mój los faktycznie

przypominać będzie ten bohaterki *Aurory Leigh*, która w końcu złączyła się z ukochanym, pokonawszy nieskończenie wiele przeszkód?

Rozdział 42

2 kwietnia 1867 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Skradzione chwile w parku. Muskanie dłoni na schodach. Gorące dyskusje biznesowe w holu dla służby. Szepty w ciemnym korytarzu, gdy pani Carnegie już spała. Mój czas w Nowym Jorku składał się z ulotnych, lecz cennych chwil. Rozmawialiśmy o naszej przyszłości w kontekście nadchodzących miesięcy, kiedy to mieliśmy przekonać matkę Andrew, by zaakceptowała nasz związek. Pozwalałam sobie na nadzieję, że spełnią się wszystkie moje marzenia – że uratuję swoją rodzinę, mając Andrew u boku.

Gdy jednak sezon się skończył, wróciliśmy do Pittsburgha i przekroczyliśmy próg Fairfield, który okazał się rezydencją zupełnie inną niż ta, którą opuściliśmy. Mieszkali tu teraz młodzi państwo Carnegie, którzy bardzo się w czasie naszej nieobecności zadomowili. Wizytówki zostawiano teraz dla nowej pani Carnegie, nie dla mojej pracodawczyni, ona też ustalała codzienne menu z gospodynią. Przyjaciele młodszego pana Carnegiego przychodzili grać w bilarda po obiedzie. Nowożeńcy często grywali razem na różnych instrumentach w salonie i czytali w bibliotece.

Tylko służba pozostała ta sama. Pan Ford wciąż tworzył wspaniałe dania, uśmiechając się przyjaźnie, jakby jego rodzina nie figurowała wśród zaginionych, a pan Holyrod, jego lokaje, pani Stewart, Hilda i stale zmieniające się pokojówki

nigdy nie ustawiali w wysiłkach, by ich pracodawcy byli zadowoleni. Niewzruszenie prowadząc dom, jakby nic się nie stało, oni najlepiej wiedzieli, jak bardzo zmieniło się Fairfield, odkąd miało nowego pana i panią.

Andrew musiał się wyprowadzić. W niedalekiej przyszłości czekało to też panią Carnegie. Co się z nami stanie?

Andrew powiedział, że przez kolejnych kilka tygodni, nim obmyślimy strategię, będzie mieszkał w Union Depot Hotel – eleganckiej budowli, która zajmowała teren przylegający do Union Station w centrum Pittsburgha. Lokalizacja ta była wygodna, bo miał stamtąd blisko do biura i stacji kolejowej, z której często podróżował na Środkowy Zachód, do Waszyngtonu i Nowego Jorku, niemniej jednak daleko do Fairfield.

Spotkania wymagały od nas kreatywności, większej nawet niż przy schadzkiach w zamkniętych murach St. Nicholas. Chodziłam na zakupy do kapelusznika i rękawicznika mojej pani okrężną drogą, obok biura Andrew przy Grant Street, gdzie w pustej herbaciarni mogliśmy spędzić razem kilka minut. Andrew zawsze przychodził na spotkania z matką – które wymagały teraz zapowiedzi – godzinę wcześniej, kiedy była jeszcze u kogoś z wizytą lub odpoczywała, tak byśmy mogli porozmawiać w cztery oczy w bibliotece.

Czasem, kiedy brałam udział w tych podchodach, przypominałam sobie rodziców. Co pomyśleliby o życiu, które prowadziłam? Kiedy tata zaczął planować rewoltę Fenian i wysłał mnie do Ameryki, wiedział, że ten kraj będzie wymagał, bym się zmieniła. Z pewnością jednak nie spodziewał się po mnie aż takiej dwulicowości. Czy by mnie skarcił, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że narażałam rodzinę na ryzyko? Zastanawiałam się, czy Bóg, do którego modliłam się kiedyś codziennie w bielonych kościołach w Galway, również surowo by mnie oceniał.

Pędząc do tylnych drzwi domu po jednej z moich tajnych wypraw – usprawiedliwiać mnie miały zakupy zrobione w aptece – weszłam do środka drzwiami dla służby i wpadłam wprost na panią Stewart.

– Bardzo przepraszam.

– Mam wrażenie, że po długim pobycie w Nowym Jorku zapomniałaś, jak poruszać się po Fairfield – powiedziała, poprawiając swój śnieżnobiały kołnier, jakbym co najmniej ją przewróciła, a nie tylko musnęła spódnicę. Wiedziałam, że służba uważała moją podróż za zwykłe wakacje, a to była po prostu kolejna subtelna reprimenda.

– Po prostu spieszę się, żeby zanieść mojej pani to, czego potrzebuje, pani Stewart.

– Idealna służąca, jak zwykle – prychnęła.

Postanowiłam udać, że jej złośliwy komentarz to komplement.

– Robię, co w mojej mocy.

Powiesiłam płaszcz na wieszaku, przeszłam przez kuchnię i ruszyłam na górę.

– Och, poczekaj – zawołała mnie pani Stewart. – Chyba mam coś dla ciebie.

Sięgnęła do kieszeni fartucha i wyciągnęła z niej list. Minęły prawie dwa miesiące, odkąd po raz ostatni otrzymałam wiadomość od rodziny, popędziłam więc przez kuchnię, by wziąć go jak najszybciej.

– Dziękuję, pani Stewart.

Wbiegłam do połowy schodów i usiadłam na stopniu. Wiedziałam, że tu nie zobaczy mnie ani kuchenna służba, ani nikt z rodziny Carnegiech. Rozerwałam kopertę.

Najdroższa Claro,

nie wiem, czy list ten zastanie Cię w Pittsburghu czy w Nowym Jorku, ani jak dużo czasu minie, nim do Ciebie dotrze. Mam nadzieję, że jego podróż przez Atlantyk będzie szybka, bo nie mogę znieść ciężaru tej wiadomości. Nie wiem, jak napisać to inaczej niż prosto, choć całe moje jestestwo buntuje się przed zapisaniem tych słów. Ich materializacja uczyni rzeczywistym to, co niewyobrażalne. Cecelia umarła.

Zaczęło się od kaszlu. Zwykłego kaszlu, jaki każda z nas miała kiedyś podczas długich, wilgotnych zim. Kiedy mieszkaliśmy jeszcze na farmie,

mama kładła nam na piersi gorące okłady, pamiętasz? Pachniały różnymi suszonymi ziołami, których specjalna mieszanka miała nas uleczyć. Teraz jednak nie mamy ziół. Nie mamy okładów. Tylko wilgotny, wspólny pokój na strychu domu ciotki Catherine, gdzie śpimy na stertach ubrań, a wiatr nocą rozwiewa nam włosy. Tata też wciąż kaszle, ale znacznie mniej, niż kaszłała Cecelia.

Odkładaliśmy pieniądze, które nam przesyłałaś na bilety do Ameryki. Chcieliśmy zrobić Ci niespodziankę. I dobrze, bo mieliśmy pieniądze, by wezwać lekarza, kiedy stan Cecelii się pogorszył. Resztę wydaliśmy na przepisane przez niego lekarstwa i dzięki nim przez kilka tygodni czuła się lepiej. To jednak nie wystarczało. Było już za późno.

Nasza mała Cecelia odeszła. Serca nam pękły, a teraz na pewno pękło i Twoje. Tata mówi, że czuje się nieźle, ale módl się za niego, bo praca go wyczerpuje. Trwamy dzięki szyciu, ale w ciągłym smutku.

Twoja kochająca siostra Eliza

Zasłoniłam usta dłonią, by powstrzymać szloch. Nie mogłam pozwolić, by podobny los spotkał pozostałych członków mojej rodziny. Wiedziałam, co muszę zrobić, by ich uratować.

Rozdział 43

3 kwietnia 1867 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Ponad filiżanką unosiła się para. Opuściłam głowę, pozwalając, by ogrzała mi policzki. Był już kwiecień, ale wiosna wciąż nie zawitała do Pittsburgha.

– Czy mam poprosić o chłodną wodę do herbaty, Claro? – spytał Andrew, delikatnie dotykając mojej dłoni palcem w rękawiczce. Była to już druga para tego dnia – pierwsze ubrudziły się w centrum Pittsburgha tak bardzo, że musiał je wyrzucić.

Spojrzałam w jego ciemnoniebieskie, inteligentne oczy, jedyne, które potrafiły zajrzeć w głąb Clary Kelley, którą się stałam, i zobaczyć tę, którą byłam naprawdę, choć nie wiedział przecież, że musiałby zerwać zewnętrzne warstwy, by dotrzeć do mojego wnętrza.

– Nie, Andrew, dziękuję. Ciepło jest przyjemne – powiedziałam cicho.

Choć para zmniejszyła ból moich policzków, nic nie potrafiło złagodzić bólu mojego serca. Biedna, kochana Cecelia. Nigdy nie miałam zobaczyć, jak dorasta i staje się kobietą. Nie byłam sobie w stanie nawet wyobrazić, jak bardzo cierpieli rodzice i Eliza, patrząc, jak powoli ulatuje z niej życie. Bezradności, którą oni czuli wtedy, ja doświadczałam teraz. Chciałam wsiąść na statek i zabrać ze sobą tyle pieniędzy, by własnoręcznie wyciągnąć ich z rudery w Galway City i przywieźć tutaj. Nie mogłam jednak rozmawiać o tym z Andrew. Nie mogłam podzielić się

z nim rozpaczą po śmierci siostry, powiedzieć mu o tragicznej sytuacji mojej rodziny ani o tym, kim była Clara Kelley, która przyłączyła się do Filadelfii. Jak jednak mogłam uratować rodzinę i jednocześnie zachowywać te pozory? Jak zareaguje, gdy dowie się, że nie ma we mnie śladu uczciwości, którą tak cenił, i że okłamywałam jego i jego ukochaną matkę przez lata? Co by powiedział, gdyby dowiedział się, że jestem tylko córką biednego rolnika, której rodzina umiera w slumsach Galway City, i że to dlatego potrzebuję tych obiecanych pieniędzy? A jednak nie wiedziałam, jak zdobyć te pieniądze, nie wyznając mu prawdy. Przygotowywałam się na nieuchronne.

– Nie mogę się doczekać wiosny. Claro, pomyśl tylko, że kiedy zimno ustąpi, będziemy mogli spotykać się w parkach, nie w herbaciarniach i korytarzach Fairfield.

Mówił o wiosnie, ale ja nie potrafiłam wyobrazić sobie nawet tego, co wydarzy się po tej mojej spowiedzi. Było mi słabo na myśl o tym, co muszę zrobić. Fundamentem całego mojego amerykańskiego życia było kłamstwo, które opowiedziałam na samym początku. Teraz jednak nie widziałam innego sposobu na uratowanie swojej rodziny niż przyznanie się do tych kłamstw. A wraz z tym także poświęcenie mojej przyszłości u boku Andrew.

Andrew wyciągnął dwie koperty z wewnętrznej kieszeni płaszcza i położył je na stoliku pomiędzy nami. Kiedy po nie nie sięgnęłam, zapytał:

– Nie jesteś ciekawa, co w nich jest?

Bałam się kopert, odkąd otworzyłam tę od Elizy. Zdawały się zapowiedzią tragicznych wiadomości, nie dobrych. Nie miałam ochoty czytać posłania.

– Podejrzewam, że to jakieś dokumenty, które mam przejrzeć. Może propozycja od inwestora mostu na rzece Missouri? Wiem, że od dawna pracujesz nad jego sfinansowaniem – spróbowałam zgadnąć.

– Te dokumenty dotyczą sprawy, nad którą pracowałem znacznie ciężiej niż nad mostem na rzece Missouri. Sprawy, o której myślałem już wiele lat przed tym, gdy prezydent Johnson zamówił te siedem mostów.

– Cóż może być ważniejszego od mostu na rzece Missouri? – zażartowałam, choć w moim sercu nie było wesołości.

– Proszę, Claro. – Podniósł mniejszą kopertę i podał mi ją. – Chcę zobaczyć twoją minę, kiedy ją otworzysz.

Sięgnęłam po leżący na stole nożyk i rozciąłam kopertę. W środku była złożona karteczka. Wyciągnęłam ją i przeczytałam.

W depozycie Bank of Pittsburgh na koncie numer 24976 znajduje się 1250 dolarów do odbioru przez pannę Clarę Kelley.

– Och, Andrew – szepnęłam z niedowierzaniem. Pieniądze, których potrzebowałam, były teraz w moich rękach. Nie musiałam zatem niczego mu wyznać.

– To suma, którą otrzymałaś dzięki sprzedaży twoich udziałów w Keystone Telegraph – przedsiębiorstwie, które właściwie założyłaś dzięki genialnemu pomysłowi na poprowadzenie publicznych linii telegraficznych wzdłuż torów – firmie Pacific and Atlantic Telegraph. – Uśmiechnął się. – A teraz otwórz drugą kopertę, proszę. To zadośćuczynienie za twoją pomoc i pomysły dotyczące branży kolejowej, którymi się ze mną podzieliłaś.

O czym on mówił? Nie rozmawialiśmy o Pullmanie i Woodruffie od dnia, kiedy jechaliśmy do Nowego Jorku w wagonie Woodruff Silver Palace.

Drżącymi dłońmi otworzyłam większą kopertę. Na stół wypadł grubszy kawałek papieru. Miał charakterystyczny wygląd certyfikatu akcyjnego. Odczytałam na głos:

Niechaj będzie wiadomo, że Clara Kelley jest właścicielką 100 udziałów Woodruff Railcar Company, których wypłaty dokonać można jedynie osobiście w siedzibie tej firmy, zdając certyfikat akcyjny.

– Nie musisz już pracować jako służąca mojej matki, Claro. Jesteś teraz kobietą niezależną, równie niezależną jak ja.

Po moich policzkach popłynęły łzy. Nie byłam w stanie wypowiedzieć słów wdzięczności i czułości, które mnie wypełniały. Czy to możliwe, że udało się uratować zarówno moją rodzinę, jak i związek?

Andrew uniósł dłoń i wytarł moje łzy.

– To nie czas na łzy, najdroższa Claro. Nadeszła pora, by powiedzieć o wszystkim mojej matce.

Rozdział 44

6 kwietnia 1867 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Błoto i odpadki wciąż zalegały ulice Slab Town. Brudne sieroty nadal nimi rządziły, a bezrobotni mężczyźni uprawiali hazard na skrzyżowaniach. Ogień ciągle płonął w fabrykach i odlewniach, niebezpiecznie blisko pospiesznie skleconych chat przy Rebecca Street. Smród gnijącego jedzenia i ludzkich odpadów stale wypełniał powietrze. Dziś jednak Slab Town mnie nie przygnębiało. Ustaliliśmy z Andrew, że w najbliższym tygodniu porozmawiam z matką, a ja napisałam do swojej rodziny z wiadomością, że niedługo wyślę im bilety na statek. W ciągu tygodnia moje życie się zmieni.

Czy to moja ostatnia wizyta u kuzynostwa w roli służącej Carnegieh? Zastanawiałam się nad tym, omijając sterty końskiego łajna i sznury rozwieszonego prania. Rozważałam różne możliwości wyciągnięcia Lambów z tego piekła przy wykorzystaniu środków, w których posiadaniu był Andrew. Wciąż nie zdecydowałam, co zrobię, kiedy moja rodzina przyjedzie. Czy wyznam mu prawdę o moim pochodzeniu, czy może wplączę się w kolejne kłamstwo? Uznałam, że to most – by użyć jednego z ulubionych porównań Andrew – który przekroczę, kiedy moi krewni już tutaj przybędą i będą bezpieczni. Oni byli dla mnie najważniejsi.

Obeszłam domy stojące frontem do Rebecca Street i znalazłam się w tylnej uliczce, przed domem kuzynostwa. Cienkie drzwiczki zaskrzypiały, kiedy

zapukałam. Nikt nie odpowiadał, nawet gdy powtórzyłam pukanie.

Gdzie oni się podziali?

Ku mojemu zaskoczeniu Patrick wyłonił się zza zakrętu.

– Miałem nadzieję, że cię tu znajdę, Claro.

– Czyżbym przyszła o niewłaściwej porze? – spytałam skonfundowana. – Czy pomyliłam dzień?

– Nie, przyszłaś w samą porę.

– No to gdzie są wszyscy?

– Chodzi o to, że... – zająknął się, spojrzał w ziemię i kopnął leżący na niej kamień – my już tu nie mieszkamy.

Chciałam zapytać, co się stało, ale przypomniałam sobie, że nie wolno mi urazić jego dumy jako ojca samodzielnie utrzymującego rodzinę, przynoszącego jedzenie i buty o twardych podeszwach. Wyraźnie czuł się niezręcznie, a moje dopytywanie mogłoby sprawić mu dodatkową przykrość.

– Gdzie teraz mieszkacie? – zapytałam.

– Chodź za mną. Zabiorę cię tam. Maeve i dzieci czekają.

Przeszliśmy na drugą stronę Rebecca Street, a gdy minęliśmy pięć przecznic, znaleźliśmy się w równoległej alejce. Stały tam trzy biedne chatynki, nieróżniące się szczególnie od poprzedniego domu Lambów.

– Jesteśmy na miejscu. – Patrick wskazał najbardziej oddaloną z nich.

Gdy pokonywaliśmy drogę do chatki, zastanawiałam się, dlaczego Patrick przeprowadził się z rodziną z poprzedniej chatki do kolejnej, położonej po przeciwnej stronie ulicy. Otworzył drewniane drzwi, za którymi spodziewałam się zobaczyć Maeve i dzieci. Tymczasem zastaliśmy tam szatynkę z trojgiem słomkowłosych latorośli, biegnących wokół jej nóg. Na parterze tego domu mieszkała całkiem inna rodzina.

Nasze kroki odbijały się echem, gdy wchodziliśmy po drewnianych schodach na górę. Kiedy się tam znaleźliśmy, Maeve otworzyła drzwi i jak zwykle objęła mnie z życzliwością.

– Witaj, Claro.

Dzieci zebrały się wokół moich nóg, potykając się o siebie. Ukłoniłam się, żeby odwzajemnić ich uścisk, i wyciągnęłam z kieszeni torebkę ciastek, które pan Ford wręczył mi przed wyjściem. Gdy dzieci walczyły o największe z nich, wstałam i podałam Maeve kosz pełen bochenków chleba, solonej szynki, ziemniaków, wołowiny, szparagów i jabłek. Maeve zajrzała pod serwetkę, która chroniła jedzenie przed kurzem i brudem, atakującymi wszystko podczas każdej podróży do Allegheny City, i pisnęła:

– Claro, nie powinnaś była tego wszystkiego przynosić! To wystarczy na tydzień. Okradłaś Carnegiech czy co?

– Znowu się rumieni, Maeve – wtrącił się Patrick. – Spójrz tylko. Czy nie ostrzegaliśmy jej, by nie ulegała urokowi swojego pracodawcy?

Choć wiedziałam, że żartują, byłam wyjątkowo wrażliwa na komentarze o Carnegiech, wręcz ich ochraniałam.

– To nie tak. Pan Ford, kucharz Carnegiech, wiedział, że idę was odwiedzić, więc wypełnił kosz jedzeniem.

Maeve wyczuła mój niepokój i powiedziała:

– Oczywiście, rozumiemy. Proszę, podziękuj panu Fordowi w naszym imieniu.

Kiedy Patrick wziął mój płaszcz i położył go na odwróconym kartonie udającym stół – jedynej powierzchni, która nie była zavalona schnącymi ubraniami i robótkami Maeve – a Maeve wróciła do gotowania, rozejrzałam się po ich nowej, jednoizbowej siedzibie. Łóżka polowe ustawione były jedno na drugim w kącie, jak w najniższej klasie na statku przez Atlantyk, a w pokoju nie było innych mebli prócz pudełka i krzesła, które zajmował Patrick. Pozbawiony okien pokój cuchnął niemytymi ciałami, ogniem, odpadkami i spalonym jedzeniem, gdyż nie było tam ani kominka, ani wentylacji. Maeve gotowała na małej fajercie na środku pokoju, ignorując niebezpieczeństwo pożaru. Kufry zawierające resztę ich rzeczy wciśnięte zostały w inny kąt, ale sądząc po tym, jak wyglądały ubrania Patricka, Maeve

i dzieci, nie otwierali ich, odkąd się tu wprowadzili. Tłusta warstwa czarnej sadzy pokrywała ich wszystkich i wszystkie powierzchnie.

Nie miałam słów. Tak żyła moja rodzina? Widząc moje zmieszanie, Maeve zmieniła temat.

– Cieszę się, że wróciłaś z Nowego Jorku. Nie możemy się doczekać, kiedy opowiesz nam o tym mieście. Potrzebujemy tu rozrywki, Claro.

Chcąc uniknąć oczywistego pytania, Maeve i Patrick zajęli się gotowaniem i dziećmi, a ja opowiadałam o Nowym Jorku. Kiedy nie mogłam już dłużej znieść tej sytuacji, zapytałam:

– Powiecie mi wreszcie, co się dzieje?

Patrick nie chciał – może nie mógł – nawet na mnie spojrzeć. Maeve odpowiedziała za niego:

– Patrick stracił pracę w fabryce.

– Co? – Byłam zszokowana. – Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, musiałeś pracować na dwie zmiany. Co się stało?

Skierowałam pytanie do Patricka, ale Maeve znów odpowiedziała za niego.

– Wiesz, że Patrick pracował jako odlewnik żeliwa w Iron City Forge? – spytała.

Chociaż znałam nazwę jego stanowiska, nie miałam pojęcia, że pracuje dla Iron City Forge, jednej z firm, z którymi interesy robił kiedyś Andrew i jego młodszy brat. Uznałam, że to mało istotny szczegół i po prostu pokiwałam głową.

– Jakiś rok temu Iron City Forge połączyło się z konkurencyjną firmą, Cyclops Iron, tworząc nowe przedsiębiorstwo, Union Iron. Fuzja ta nastąpiła pod koniec wojny, kiedy zapotrzebowanie na żelazo zmalało – wyjaśniała dalej Maeve.

Zaczęłam zastanawiać się, w jaki sposób te zabiegi – fuzja, którą znałam i którą zaplanował Andrew – wpłynęły na losy Patricka.

– Z początku wydawało nam się, że zmienia się tylko nazwa – ciągnęła Maeve. – Fabryka nadal pracowała na pełnych obrotach, do czego zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Potem jednak, gdy ceny żelaza spadły, Union Iron zdecydowało, że

należy fizycznie połączyć dwie części, Iron City i Cyclops. Spowodowało to, że mieli zbyt wielu ludzi wykonujących tę samą pracę. Niektórzy z odlewników zostali zwolnieni, a Patrick jest jednym z nich.

Może utrata pracy była tylko tymczasowa? Zastanawiałam się nad tą możliwością.

– Na pewno nie można znaleźć pracy w innej odlewni? – zapytałam.

Maeve odpowiedziała jak zwykle rzeczowo.

– Nie ma pracy dla odlewników w całym Pittsburghu. Konsolidacja sprawiła, że mnóstwo ludzi pracujących z żelazem straciło pracę. Żyjemy na razie z oszczędności i moich robótek ręcznych. Musieliśmy opuścić nasz dom i wprowadzić się do Connorów, którzy są w takiej samej sytuacji. Nie wiem, jak damy sobie radę, jeśli Patrick nie znajdzie pracy.

Było mi słabo z niepokoju i poczucia winy.

– A może wróćcie do domu? – Chwytałam się dostępnych możliwości.

Patrick wreszcie włączył się w rozmowę, a w jego głosie była złość.

– Do domu? Jaka praca czeka na mnie w Galway, Claro? Rolnictwo? Mój ojciec stracił swoją ziemię w czasie głodu, a bracia ledwie wiążą koniec z końcem. W Irlandii nie ma pracy, dobrze o tym wiesz.

– A w innych miastach?

– Nawet gdybym miał zagwarantowane stanowisko, nie stać nas na bilety. Claro, muszę znaleźć pracę w Pittsburghu, inaczej będziemy straceni.

Rozdział 45

6 kwietnia 1867 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Moje kroki odbijały się echem, gdy zdeterminowana szłam z holu dla służby do biblioteki. Obojętne mi było, czy usłyszą mnie inni służący, nowi państwo Carnegie, moja pani czy Andrew. Nie zamierzałam już czaić się po kątach i czekać.

Miałam dość bycia niewidzialną. Miałam dość bierności. Byłam wściekła.

Otworzyłam drzwi biblioteki i zobaczyłam Andrew, który siedział w jednym ze skórzanych foteli, palił cygaro i czytał swojego ulubionego Burnsa. Uśmiechnął się do mnie i wskazał fotel obok swojego.

– Usiądź ze mną. Matka wróci dopiero za godzinę. Mamy czas.

– Postoję.

– Co się dzieje, Claro.

– Spędziłam dzisiejszy dzień na Rebecca Street u mojego dalekiego krewnego...

– Tam właśnie mieszkaliśmy, kiedy przyjechaliśmy do Pittsburgha – przerwał mi Andrew.

Nie mogłam pozwolić, by ta niewyobrazalna dla mnie wizja Andrew mieszkającego z rodziną w slumsach Rebecca Street odwróciła moją uwagę. Wracając do tematu, powiedziałam:

– Mój kuzyn pracował tam jako odlewnik żeliwa. Znasz ten zawód?

– Oczywiście. Odlewnik żeliwa pracuje na stopionych metalach żelazowych i nadzoruje innych pracowników. To jedno z najwyższych stanowisk w odlewni.

– Mój kuzyn Patrick pracował na tym stanowisku w Iron City Forge – doprecyzowałam.

– Ach, w firmie, którą prowadził kiedyś Tom.

– Tak, Tom prowadził Iron City, zanim połączyła się z Cyclops, przedsiębiorstwem, które ty założyłeś, by konkurowało z Iron Forge, dając w konsekwencji Union Iron Company. Rozumiem, że to ty stałeś za tą fuzją?

– Owszem. Masz świetną pamięć, Claro – powiedział z uznaniem. – Choć niestety, poznałaś ten plan, będąc świadkiem nieprzyjemnej rozmowy z moim bratem.

– Tak, wszystko to jest dość nieprzyjemne – stwierdziłam, nie ukrywając irytacji. – Wiesz, że fuzja, która doprowadziła do powstania Union Iron, sprawiła, że setki ludzi zostały bez pracy?

Zaciągnął się tytoniem, najwyraźniej nieprzejęty moją złością. Czy nie dość wyraźnie ją pokazywałam? Może lata spędzone w roli łagodnej służącej odebrały mi zdolność wyrażania emocji? Moja wściekłość rosła, gdy nie dostrzegałam na jego twarzy śladu niepokoju.

– W zasadzie Union Iron Mills przeszło niedawno reorganizację i zmieniło się w przedsiębiorstwo Carnegie, Kloman & Co., kiedy jeden z naszych partnerów, Tom Miller, nie zdołał osiągnąć porozumienia z pozostałymi wspólnikami. Miałem ci o tym powiedzieć, żebyś mogła zaktualizować swoją tabelę. Odpowiadając więc na twoje pytanie, owszem, firma Carnegie, Kloman & Co. rzeczywiście zwolniła setki pracowników. Po dokonaniu fuzji wiele stanowisk się dublowało, co wymusiło redukcje – odparł rzeczowo.

Jego spokój jeszcze bardziej mnie zdenerwował.

– Zdajesz sobie sprawę, że te redukcje niszczą życie setkom rodzin? Prowadzą do bezdomności i głodowej śmierci ich dzieci. Myślałem, że jesteś zwolennikiem

równości i zwiększania szans dla wszystkich ludzi, które to idee pomogły i tobie, kiedy przybyłeś do tego kraju.

– Czy trochę nie dramatyzujesz, Claro?

– Czyż nie jest dramatem widok członków twojej rodziny, którzy martwią się o to, co stanie się za cztery tygodnie, kiedy nie będzie ich już stać na jeden pokój na drugim piętrze rozpadającej się chaty? Czy dramatyzuję, myśląc, co stanie się z nimi za sześć tygodni, kiedy wydadzą wszystkie pieniądze i wciąż nie znajdą pracy, bo nie mają dostępu do bibliotek i edukacji, które pomogłyby im zdobyć inne zajęcie?

– Nigdy dotąd nie opowiadałaś o krewnych mieszkających w Pittsburghu. Kim są? Dlaczego dotąd o nich nie wspominałaś? Chciałbym ich poznać. – Celowo zmieniał temat.

Omam nie wykrzyczałam całej prawdy: „ukrywałam nie tylko swoich krewnych, ale też swoją prawdziwą tożsamość!”. Postanowiłam jednak grać według jego zasad i zignorowałam próbę odejścia od tematu.

– Czy nie niepokoi cię fakt, że podczas wszystkich tych machinacji, dzięki którym zwiększasz swoje dochody i kontrolę, niszczysz życie ludziom? Imigrantom, takim, jak ty kiedyś byłeś. Wydawało mi się, że pochodzisz z rodziny czartystów, którym zależało na równości i którzy rozumieli, w jaki sposób ludzie władzy, politycznej czy biznesowej, szkodzą biednym, mimowolnie zmieniając świat wokół nich.

– Claro, w interesach trzeba niekiedy podejmować trudne decyzje. Dobrze o tym wiesz. Niestety, czasami inni ludzie ponoszą konsekwencje tych decyzji. Ponadto wiesz także, że mogę pomóc twojemu kuzynowi. Nie mogę pozwolić, by rodzina cierpiała.

Miał nadzieję, że uspokoi mnie propozycją pomocy. Kiedyś uradowałoby mnie, że mówi o mojej rodzinie niczym o własnej. Ale nie dzisiaj.

– Gdzie jest twoja empatia, Andrew? Wyrzuty sumienia? Nie tylko z powodu losu mojego kuzyna, ale też innych, których dotknęły zwolnienia w Carnegie,

Kloman & Co., wszystkich tych, których skrzywdziłeś swoimi machinacjami w Keystone Telegraph, Keystone Bridge, Coleman Oil, Piper and Schiffler, Woodruff Sleeping Car Company? Mogłabym wymieniać bez końca. Nie chcesz wiedzieć, co dzieje się z ludźmi, którzy ponieśli konsekwencje twoich decyzji? Zaoferować im pomocy, jedzenia, kwaterunku, szkolenia, czegokolwiek? Nie chcesz wiedzieć, jak radzi sobie ten biedny irlandzki imigrant, który za kilkaset dolarów zgodził się zająć twoje miejsce na wojnie? Czy w ogóle przeżył? Jestem pewna, że ten Andrew, który przyjechał Ameryki, byłby tym wszystkim zainteresowany. Czasem wydaje mi się, że zapomniałeś, że to też ludzie, tacy jak ty. – Przerwałam na chwilę. – Pamiętasz jeszcze, kim jesteś?

Staliśmy naprzeciw siebie. Sytuacja podobna była do jego kłótni o Cyclops Iron i Iron City Forge z młodszym bratem. Twarz Andrew zrobiła się wściekle fioletowa. Zacisnął pięści, otworzył usta i zmrużył oczy, zanim jednak zdążył się odezwać, z przedpokoju dobiegł głos jego matki.

– Andra, czy to ty?

Zamarliśmy w pół gestu, w pół słowa. Kroki mojej pani stawały się coraz głośniejsze. Zanim ktokolwiek z nas przemówił, odwróciłam się i ruszyłam ku zamkniętym drzwiom. Otworzyłam je i wpadłam na panią Carnegie. Zamiast pokłonić się z szacunkiem czy przeprosić, minęłam ją i poszłam po schodach prosto do mojej maleńkiej sypialni.

Rozdział 46

7 kwietnia 1867 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Pewnie powinnam była cieszyć się z chwili wytchnienia. Pani Carnegie opuściła Fairfield zaraz po śniadaniu, które zjadła w towarzystwie nowych państwa Carnegieh, dając mi czas na drobne czynności, takie jak szycie i cerowanie. Nie byłam jednak zadowolona. Martwiłam się.

Moja pani była wyjątkowo milcząca i wycofana podczas wieczornych rytuałów i porannych przygotowań. Nie wiedziałam, w jaki sposób Andrew wyjaśnił jej moją obecność w bibliotece i moje wyraźne zdenerwowanie. Nie widziałam go od tamtej pory. Nie miałam pojęcia, co jej powiedział ani co może się teraz stać, więc również milczałam, wypełniając swoje obowiązki.

Już ta cisza była powodem do niepokoju, ale nagłe wyjście mojej pani z domu, o czym mnie nie poinformowała, naprawdę mnie zmartwiło. Zawsze znałam jej plan dnia, tak bym mogła dopasować do niego swój, i towarzyszyłam jej podczas większości składanych wizyt. Dokąd ona poszła?

Spędziłam niespokojną godzinę w jej pokojach, porządkując suknie, zbierając rzeczy do cerowania i szukając wskazówek dotyczących jej wyjścia, a potem poszłam do kuchni. Wszyscy byli zajęci przygotowywaniem obiadu dla nowej pani Carnegie, która zaprosiła młodsze damy z Homewood. Zastanawiałam się, czy to

mogło być powodem wyjścia mojej pani. Może nie miało ono nic wspólnego ze mną i Andrew?

– Czy moja pani wróci na obiad? – spytałam pana Forda, gdy układał kanapeczki na srebrnym półmisku.

Hilda zachichotała, a pan Ford odparł:

– Nic ci nie powiedziała?

Teatralnym szeptem, udając, że zwraca się do nowej pomywaczki, Anne, Hilda spytała:

– Czy osobista służąca nie powinna znać planu dnia swojej pani?

– Nie – odpowiedziałam panu Fordowi. – Minęłyśmy się rano i nie zdążyłyśmy omówić kalendarza.

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że mówiła młodszemu panu Carnegiemu, że jest umówiona na mieście.

Umówiona na mieście? Nic mi o tym spotkaniu nie mówiła, a przecież zazwyczaj jej towarzyszyłam. Z jednej strony chciałam wysłać wiadomość do Andrew i zapytać go o jego matkę i o nas, z drugiej – jednak się bałam. Co się działo, na Boga? Co mogło się zdarzyć teraz, po mojej kłótni z Andrew? Czy naraziłam swoją rodzinę na szwank?

Na szczęście w salonie gospodyni było pusto, gdyż pani Stewart zajęta była sporządzaniem inwentarza pościeli. Gdy nie niosły się jej złośliwe plotki, mogłam lepiej słyszeć, co dzieje się w domu. Słyszałam, jak Hilda i Anne odkurzają, pan Ford nuci pod nosem, krojąc warzywa na zupę, pan Holyrod instruuje Jamesa, jak należy polerować srebra, a młodzi państwo Carnegie dają sobie buziaka za drzwiami pokoju śniadaniowego.

Słyszałam wszystko prócz mojej pani.

Wreszcie o czwartej, po sześciu godzinach nieobecności, w przedpokoju dało się słyszeć jej charakterystyczne kroki. Odłożyłam robótkę i popędziłam tylnymi drzwiami na górę, żeby spotkać ją przed drzwiami sypialni. Niezależnie od tego, co

wydarzyło się wczoraj między mną a Andrew i co powiedział pani Carnegie, musiałam wiedzieć, na czym stoję.

Przyjmując pozę służącej, przywitałam ją.

– Mam nadzieję, że pani spotkanie było satysfakcjonujące.

Uśmiechnęła się. Nie przyjaźnie, ciepło, ale złośliwie. Gdyby kąci jej ust się nie uniosły, jej twarz wyrażałaby raczej niezadowolenie.

– Claro, właśnie ciebie chciałam zobaczyć.

Obróciła się na pięcie i weszła do sypialni.

– Czy pomóc pani przygotować się do kolacji?

Na jej twarzy malowały się jednocześnie obrzydzenie, triumf i przebiegłość. Okrutny uśmiech zniknął.

– Jesteś taką dobrą służącą, Claro. Zawsze wiesz, czego mi trzeba. Tak dobrze radzisz sobie ze szczotką, z igłą, z pilniczkiem.

– Staram się, jak mogę – odparłam po chwili wahania. Jej słowa nie brzmiały jak komplement, tym bardziej że te mówiła rzadko. W jej głosie było coś nieprzyjemnego.

– Potrafisz doradzać w kwestiach sukni, manier, języka. A wszystko to dzięki twojemu doświadczeniu w europejskich rezydencjach, nieprawdaż?

– Tak, proszę pani.

– Tyle tylko, że tu po raz pierwszy objęłaś stanowisko osobistej służącej, prawda, Claro? – Serce zaczęło mi mocno walić, straciłam oddech. Ona wiedziała.

– Wiesz, z kim się dzisiaj spotkałam?

Pokręciłam głową, bo nie byłam w stanie wypowiedzieć słowa.

Pani Carnegie zaczęła przechadzać się po pokoju.

– Spotkałam się z panią Seeley. Pamiętasz ją, prawda? Kobieta, która zapłaciła za twój bilet do Pittsburgha? Która znalazła ci to stanowisko?

– Tak, proszę pani.

– Poprosiłam ją o małe śledztwo. Miałam pewne podejrzenia, od wielu miesięcy obserwując ciebie i Andra. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu odkryła, że

Clara Kelley, którą chciała zatrudnić, umarła podczas podróży przez Atlantyki. Okazało się, że zostawiła w Dublinie chłopca o imieniu Thomas, z którym była już niemal zaręczona. Chłopak pragnął się z nią skontaktować. Na moją prośbę pani Seeley napisała do tego Thomasa, jako że Clara nie miała innej rodziny, a sprawdzwszy dokumenty ze statku Envoy, na który dziewczyna wsiadła, połączyła fakty. W jakiś sposób tobie, kimkolwiek jesteś, udało się zająć miejsce prawdziwej Clary Kelley. – Podniosła głos, a z jej ust pociekła ślina. – Kiedy pomyślę, jakim obdarzyłam cię zaufaniem...

Cofnęłam się o krok.

– Natychmiast opuść Fairfield, proszę pani.

– Nie tylko opuścisz Fairfield. Opuścisz też miasto. – Zbliżyła się do mnie. – Na zawsze zerwiesz wszelkie kontakty z moim synem. To wrażenie, że rodzi się między wami związek, nakłoniło mnie do przeprowadzenia śledztwa. Nigdy nie pozwoliłabym mojemu kochanemu Andra poślubić służącej, ale umarłabym, patrząc, jak wiąże się z oszustką. – Odsunęła się ode mnie, odetchnęła głęboko, wygładziła włosy i mówiła dalej. – Jeśli spróbujesz skontaktować się z Andra w jakikolwiek sposób, poinformuję go, że jesteś wstrętną kłamczuchą. Osobą, która ukradła tożsamość zmarłej dziewczyny dla własnych korzyści. Jeśli jednak odejdziesz stąd natychmiast i nie odezwiesz się do niego ani słowem, pozwolę mu wierzyć, że powodem twojego zniknięcia była kłótnia kochanków. – Ponownie przysunęła się do mnie i wbiła mi paznokieć w środek klatki piersiowej. – Nie myśl sobie, że robię to dla ciebie z litości. Robię to dla mojego syna. Dzięki temu będzie mógł podążać ku swojemu przeznaczeniu, nie cierpiąc upokorzenia z powodu twojego oszustwa.

Jaki pozostawiała mi wybór? Jaki wybór sama sobie pozostawiłam? Bo przecież gdyby Andrew dowiedział się, kim jestem, gdyby dowiedział się, że okłamuję go od lat, też by mnie opuścił. Nie wspominając już o tym, że gdyby dowiedział się o moim oszustwie, mógłby chcieć zemścić się na mnie, a pośrednio i na mojej rodzinie. Czy nie poszedłby do banku, żeby zablokować wypłatę pieniędzy, których tak bardzo potrzebowałam? Widziałam już ciemną stronę

Andrew i nie mogłam narażać swojej rodziny na niebezpieczeństwo. Nawet jeśli istniała maleńka szansa, że by mi wybaczył i mnie poślubił, to i tak ryzyko było zbyt wielkie. Andrew nie mógł dowiedzieć się, kim jestem. Zniknięcie było jedynym możliwym wyjściem.

– Do widzenia, pani Carnegie – powiedziałam łagodnie, zamykając drzwi za sobą i żegnając się z moją przyszłością u boku Andrew.

Łkałam cicho, kiedy szłam po schodach na piętro służących, ale próbowałam się pocieszać. Jeśli Andrew nie przestanie wierzyć, że byłam angloirlandzką córką handlarza – kobietą, która inspirowała go do działań w biznesie i w życiu i która rzuciła mu wyzwanie, aby podążał inną, lepszą drogą od tej rządzonej jedynie przez chciwość – być może pozostanie pod moim wpływem. Nawet gdy mnie już nie będzie.

Rozdział 47

11 kwietnia 1867 r.

Pittsburgh, Pensylwania

S pakowanie mojej małej podróźnej torby zajęło tylko chwilę. Ocierając łzy, przebrałam się w używaną sukienkę, którą przed ponad dwu laty kupiłam od pani Seeley, i zostawiłam w pokoju swoje służebne mundurki i błękitną suknię, którą włożyłam na przedstawienie do Academy of Music. Wiedziałam, że tam, dokąd się wybierałam, nie będę ich potrzebować. Przybyłam do świata fałszywej Clary Kelley bez bagażu i bez bagażu zamierzałam go opuścić.

Miały ze mną podróżować tylko egzemplarz *Aurory Leigh* i koperty, które dostałam od Andrew z certyfikatami zakupu akcji i informacjami o kontaktach bankowych. Były to symbole minionej miłości i nadzieja na nową przyszłość mojej rodziny.

Przemknęłam przez korytarz służby i weszłam po tylnych schodach do kuchni. Nie chciałam zwracać uwagi na moje odejście i planowałam dostać się do drzwi tak dyskretnie, jak to tylko było możliwe. Pan Ford nie zamierzał jednak na to pozwolić.

Zobaczył mnie, gdy stanęłam na ostatnim schodku, wciągnął do spiżarni i zamknął za nami drzwi, wyraźnie chcąc uchronić mnie przed ciekawskimi spojrzeniami Hildy i Anne, które pracowały w kuchni.

– Gdzie się pani wybiera z tą torbą podróźną, panno Kelley? – wyszeptał.

– Miał pan rację, panie Ford. Dla służących to zawsze kończy się źle.

Ścisnął moje dłonie i westchnął.

– Nasi panowie są wszyscy tacy sami.

– Nie winię pana Carnegiego. Jestem jego dłużniczką. Sama jestem sobie winna, udawałam, że jestem kimś innym.

– Gdyby była to zbrodnia, wszyscy siedzielibyśmy w więzieniu, panno Kelley. Wszyscy udajemy, w taki czy inny sposób.

Z kuchni doszedł nas głuchy odgłos. Podejrzewając, że to Anne czy Hilda upuściły na podłogę miskę czy talerz, przestaliśmy rozmawiać. Pragnęłam, by mój oddech się uspokoił.

– Jest w kuchni, matko? – Usłyszeliśmy męski głos.

To nie pokojówki narobiły tyle hałasu, tylko Andrew.

Dało się słyszeć łatwy do rozpoznania krok pani Carnegie po sosnowych deskach. Szła za synem do kuchni.

– Andra, mówiłam ci już, że odeszła. Możesz sprawdzać w kuchni, w pokojach służby, w bibliotece, w każdym zakamarku, ale jej nie znajdziesz. Złożyła wymówienie i odeszła. – Pani Carnegie starała się brzmieć obojętnie, ale nie potrafiła ukryć zadowolenia.

– Clara nie odeszłaby tak po prostu, matko.

– Może nie znasz jej tak dobrze, jak ci się wydaje – zadrwiła.

Czy zamierzała wyjawić mu mój sekret? Modliłam się, by tego nie zrobiła, póki nie wypłacę pieniędzy z banku. Moje serce zaczęło bić mocniej, kręciło mi się w głowie. Zaczęłam odmawiać w myślach *Zdrowaś, Mario* w intencji dotrzymania przez panią Carnegie obietnicy, że jeśli odejdę, nie uprzedzając o tym Andrew, nie wyjawię mu prawdy o mnie.

– To ty nie znasz Clary. Nie odeszłaby bez pożegnania. W ogóle by nie odeszła.

– Usłyszałam trzy ciężkie kroki, domyśliłam się, że zbliżył się do matki. – Co jej zrobiłaś?

– Dlaczego miałabym cokolwiek jej robić, Andra? Była tylko służącą. Bez trudu mogę ją zastąpić kimś innym. I ty też. – Sprytna pani Carnegie podpowiadała Andrew drogę wyjścia, przypominając mu o mojej pozycji. Był to argument, który miał pozwolić mu zapomnieć o mnie, nie tracąc honoru. – Zresztą dlaczego tak cię to obchodzi?

– Clara bardzo wiele dla mnie znaczy, matko, czy ci się to podoba, czy nie. Mieliśmy wspólne plany.

Słyszając, jak Andrew wypowiada te słowa, jak przeciwstawia się swojej matce, broniąc mnie, miałam ochotę wyjść ze spiżarni i mu się pokazać. Co jednak zostałoby z jego uczuć, gdyby pani Carnegie zdradziła mu moją prawdziwą tożsamość? Jaka czekałaby mnie kara? Choć istniała maleńka szansa, że wciąż by mnie kochał, nie mogłam ryzykować, że zaszkodzi mojej rodzinie. Musiałam go opuścić.

Andrew zrobił kolejny krok i jeszcze głośniejszym głosem powiedział:

– Przeszukam każdy kąt tego domu, przepytam wszystkich służących, odwiedzę jej rodzinę, pójdę na każdą stację kolejową, byle ją odnaleźć. Bądź pewna, matko, że ją odnajdę.

W spiżarni, w której się skryliśmy, było słychać ich kroki. Rozpłakałam się, a pan Ford przytulił mnie mocno. Wtuliłam się w jego duże, ciepłe ciało i przez chwilę poczułam się lepiej.

– Był pan dla mnie dobrym przyjacielem, panie Ford. Jedynym w tym domu – wyszeptałam, połykając łzy.

– Pani dla mnie również była dobrą przyjaciółką. Jedyną, która chroniła mnie przed gniewem naszych państwa. Jedyną, która pomogła mi w poszukiwaniach rodziny – wyszeptałam.

– Życzę panu szczęścia. Generał Howard wciąż ich szuka.

Zauważyłam wiszący na ścianie inwentarz spiżarni sporządzony przez panią Stewart i rysik na półce. Pospiesznie oderwałam skrawek papieru i zapisałam adres Lambów. Podałam go panu Fordowi.

– To tylko do pana wiadomości. Proszę dać mi znać, kiedy znajdzie pan swoją rodzinę.

– Dziękuję. Ale teraz proszę już iść, bo panią znajdą.

Wysunęłam się z jego objęć, a on wyszedł ze spiżarni, by sprawdzić, czy nikogo nie ma w holu. Znów usłyszałam głosy Hildy i Anne, które ucichły tylko na czas konfrontacji Andrew z matką. Modliłam się, by były zajęte rozmową choć jeszcze przez chwilę, tak bym mogła wyjść niezauważona.

Pan Ford zajrzał do spiżarni.

– Droga wolna – powiedział.

Po raz ostatni uścisnęłam jego dłoń i wyszłam na zewnątrz przez drzwi dla służby. Księżyc błyszczał na niebie, oświetlając drogę ku Reynolds Street. Chłodne i ostre powietrze było odświeżające. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio oddychałam tak głęboko.

Odkąd przybyłam do Ameryki odgrywałam tyle ról, że zgubiłam siebie. Poświęcałam się tak różnym sprawom – amerykańskim i irlandzkim, handlowym i altruistycznym, feniańskim, czartystycznym i demokratycznym, należącym do Andrew i tylko do mnie, nowym i starym – że nie wiedziałam już, co myśleć. Miałam dość.

Wkroczyłam w noc, na moją nową drogę.

Epilog

14 października 1900 r.

Pittsburgh, Pensylwania

Otworzyłam list i rozłożyłam go na orzechowym blacie biurka. Papier, na którym został napisany, miał ponad trzydzieści lat i był już tak wytarty, że niemal przezroczysty. Czytałam te słowa tyle razy, że znałam je na pamięć, wciąż jednak nosiłam je przy sobie. Stał się dla mnie czymś na kształt talizmanu, przypomnieniem, że wybrałam słuszną drogę. Czułam, że muszę przeczytać go jeszcze raz, nim przekroczę próg jego budynku.

Charakter pisma na pierwszej z kartek należał do nieznanego, który napisał ten list w imieniu kogoś, kogo kiedyś dobrze znałam. Pochodził ze stycznia 1869 roku.

Droga Claro,

nie wiem, co się z Tobą stało, odkąd przekroczyłaś próg Fairfield w 1867 roku, mam jednak nadzieję, że list ten do Ciebie dotrze i zastanie Cię w dobrym zdrowiu. Wiem, jak trudno było Ci dokonać wyboru tamtego kwietniowego dnia, i chcę, byś wiedziała, że Twoja decyzja nie poszła na marne. Zrobiłaś to, co należało. Zrozumiesz to, gdy odczytasz słowa zapisane na świstku, który znalazłem w gabinecie pana.

Za każdym razem, gdy patrzę w oczy Ruth i Mable, widzę Ciebie. To Tobie zawdzięczam odnalezienie swojej rodziny.

John Ford

Odsunęłam list pana Forda na prawo i spojrzałam na drugą kartkę, pozbawioną daty. Dobrze znałam charakter pisma, którym była zapisana, nie tylko dlatego, że czytałam te słowa wiele razy. Był mi bliski już wcześniej. Należał do Andrew.

Najdroższa Claro,

odnalazłaś mnie w ostatniej chwili, gdy pozostała jeszcze dla mnie resztką nadziei. Twoje moralne zasady, przekonania i Twoja szczerść zawróciły mnie znad krawędzi, skierowały daleko od uwielbienia pieniędzy i samego siebie. Przypomniałaś mi, kim jestem naprawdę, kim powinienem być i komu mogę pomóc. Będę Ci wdzięczny na zawsze.

Nie wiem, dlaczego mnie opuściłaś. Znając dobroć Twego serca, mogę jedynie podejrzewać, że miałaś bardzo ważne powody. Pozostawiłaś mnie załamane, ale i odmienione. I choć Ci wybaczam, nigdy Cię nie zapomnę.

Szukałem Cię przez ponad rok. Zatrudniłem detektywów i łowców nagród, wysłałem na poszukiwania moich własnych ochroniarzy. Szukali Cię w Pittsburghu, Filadelfii, Nowym Jorku, Bostonie i wszędzie wokół. Nawet najbardziej sumienni prywatni detektywi nie potrafili znaleźć żadnego śladu, odkąd wyszłaś z banku w Pittsburghu. Jakbyś nigdy nie istniała. A przecież istniałaś, Claro. Pozostawiłaś we mnie swój ślad, a ja pozostawię swój ślad w świecie, by dowieść Twego istnienia i zawsze pamiętać o właściwej drodze. Jak sobie życzyłaś, zgromadzona przeze mnie fortuna posłuży polepszeniu sytuacji ludzi, zwłaszcza poprzez edukację i tworzenie otwartych bibliotek dla ubogich imigrantów. Chciałbym tylko...

Zawsze zastanawiałam się, jak planował zakończyć list. Kiedy gładziłam kartkę leżącą na biurku – po tylu latach wciąż była pognieciona – do gabinetu weszła mała dziewczynka.

– Jesteś gotowa, ciociu? – Maeve nazywała mnie ciocią ze względu na mój wiek, choć w zasadzie byłam jej kuzynką. Była małą wnuczką moich ukochanych kuzynów Patricka i Maeve, po której odziedziczyła imię.

Czy byłam gotowa, by zobaczyć to, czego byłam przyczyną? Pokiwałam głową, włożyliśmy płaszcze i wyszliśmy z domu Lambów.

Po męczącej podróży powozem po nierównym bruku Forbes Avenue, zatrzymałyśmy się z Maeve, by przyjrzeć się budynkowi Andrew. Wzięła mnie za rękę, gdy wchodziłyśmy po stromych schodach ku trojgu drzwiom z brązu. Kilka razy zatrzymywałyśmy się, chichotałyśmy i głęboko oddychałyśmy. Wspinaczka była dla nas obu wyzwaniem, chociaż byliśmy zdeterminowane, by dotrzeć na górę.

Zastanawiałam się, co pomyśleliby obecni w budynku ludzie, gdyby zobaczyli nas przez okno. Czy zastanowiliby się nad tym, jaka relacja łączy kasztanowłosą dziewczynką z drobną, siwą starszą panią, która trzymała ją za rękę? Czy założyliby po prostu, że jestem jej babcią, czy może odgadliby, że nasz związek jest bardziej skomplikowany?

Na pierwszym podejściu Maeve spojrzała na litery wyryte w granitowej fasadzie ponad drzwiami.

– Co tu jest napisane, ciociu?

– Biblioteka publiczna – odpowiedziałam z zaśpiewem, którego nie potrafiłam się pozbyć przez trzydzieści lat pobytu w Ameryce. Zbyt wielu Irlandczyków otaczało mnie w Bostonie – mieście, do którego uciekłam z Pittsburgha – bym mogła pozbyć się akcentu, zwłaszcza że pacjenci, którymi zajmowałam się jako pielęgniarka, często pochodzili z Irlandii. Nie wspominając o tym, że dzięki funduszom od Andrew udało mi się sprowadzić do Bostonu rodzinę, tak więc melodyjny zaśpiew charakterystyczny dla Galway rozbrzmiewał wokół mnie niemal codziennie.

– Co to znaczy? – spytała Maeve.

– To oznacza, że z tej biblioteki, pełnej książek i innych skarbów, korzystać mogą wszyscy. To wspaniały dar, który pozwala ludziom uczyć się, nawet jeśli nie stać ich na pójście do szkoły.

– Ty, ciociu, musiałaś chodzić do szkoły, bo jesteś pielęgniarką.

Uśmiechnęłam się, słysząc dumę w jej głosie, gdy wypowiadała słowo „pielęgniarka”. Może pewnego dnia zainspiruję ją do znalezienia dla siebie zawodu. Mój niemalże zadośćuczynił mi za to, że poświęciłam dla niego posiadanie własnej rodziny, chcąc kroczyć własną, niezależną drogą. Kobiety, które dopiero od niedawna miały możliwość podwyższania swojej pozycji społecznej, nie mogły mieć jednego i drugiego. Zresztą nie chciałam ślubu ani dzieci z kimś innym niż Andrew. Podejrzewałam, że on czuł podobnie, gdyż ożenił się dopiero dwadzieścia lat po moim odejściu.

Weszliśmy po schodach na drugi, ostatni podest. Wyciągnęłam rękę ku drzwiom, jednak zanim je otworzyłam, Maeve powiedziała:

– Tu jest więcej liter, ciociu. – Wskazała na granitowy pas w górze, ponad kolumnami.

– Co tu jest napisane?

– Biblioteka Carnegiego.

– Co to jest „karnegi”?

Roześmiałam się. Odkąd go opuściłam, Andrew zyskał tak wielką sławę, że trudno mi było uwierzyć, by ktokolwiek, nawet tak mały jak Maeve, nigdy o nim nie słyszał.

– Carnegie to ktoś, nie coś. Chodzi o Andrew Carnegiego, człowieka, który za własne pieniądze zbudował tę publiczną bibliotekę i tysiące innych. Człowieka, który podarował książki i możliwość edukacji wszystkim, niezależnie od ich statusu. – Uśmiechnęłam się lekko, myśląc o roli, jaką odegrałam, inspirując Andrew do stworzenia tych bibliotek i do wielu innych form dobroczynności.

– Dał ludziom jeszcze jakieś inne prezenty?

Widząc błysk w oczach Maeve, domyślałam się, że wyobraża sobie takie prezenty, jakie znajdowała pod choinką – porcelanowe lalki czy słodczyce.

– O tak, Maeve. Pan Carnegie nie tylko założył tysiące bibliotek na całym świecie, ale też inne instytucje kształceniowe, muzea i sale koncertowe, a podobno zamierza otworzyć również instytuty zajmujące się sprawami pokoju, nauki i pamięci o bohaterach.

Maeve otworzyła szeroko oczy.

– Musi mieć mnóstwo pieniędzy – powiedziała.

– O tak, jest najbogatszym człowiekiem na świecie. Bogatszym od tych wszystkich, którzy żyli wcześniej, a pewnie i od tych, którzy przyjdą po nim. – Znałam intelekt i naturę Andrew, nie dziwiła mnie więc jego pozycja, tak jak nie dziwiła mnie jego bezwzględność, którą się wykazał, zajmując twarde stanowisko wobec pracowników podczas Homestead Strike, usprawiedliwiając je z pewnością tym, że jest środkiem do szczytnych celów. Rzadko żałowałam, że nie było mnie z nim podczas tej wędrówki na szczyt, że poświęciłam swoją miłość dla dobra rodziny. Pocieszałam się rolą, którą odegrałam, inspirując go do podejmowania przedsięwzięć charytatywnych, pomagających tysiącom, jeśli nie milionom, ludzi. Kto wie, czy odniosłabym podobny sukces, gdybym została u jego boku. Być może jego pamięć o mnie była moją najważniejszą spuścizną. – A podobno zamierza wszystkie pieniądze rozdać.

– Poznałaś go kiedyś, ciociu Claro? Dużo o nim wiesz.

Znów się roześmiałam.

– Tak, poznałam go, moja Maeve. Dobrze go znałam. Dawno temu, kiedy przyjechałam do Pittsburgha, byłam jego służącą.

Od autorki

Historia opowiedziana w *Pokojówce miliardera*, powieści o pomyślnych losach imigrantów i genezie filantropii, liczy sobie ponad sto lat. W odróżnieniu od moich pozostałych książek, za którymi stoją konkretne dokumenty historyczne lub relikty, które dały początek historii, *Pokojówka miliardera* nie wywodzi się z jednego konkretnego artefaktu czy dzieła sztuki. Źródłem pomysłu była historia mojej własnej rodziny: ponad sto lat temu moi irlandzcy przodkowie, pozbawieni możliwości nauki, korzystali z pierwszej biblioteki Carnegiego w Pittsburghu, by kształcić siebie i swoje rodziny. Korzystając z materiałów znajdujących się w bibliotekach – bogatych zbiorów książek, ale też z zajęć – przeobrazili się z ubogich robotników w świetnie wykształconych prawników, lekarzy i profesorów, a niektórzy z nich studiowali nawet w uczelniach należących do Ligi Bluszczowej. Andrew Carnegie od pokoleń odgrywał ważną rolę w opowieściach mojej rodziny, a ja zawsze zastanawiałam się, co spowodowało, że ten potentat, o którego bezdusznosci często plotkowano, stał się pierwszym prawdziwym filantropem.

Kiedy dowiedziałam się, że jego działalność charytatywna nie rozpoczęła się pod koniec życia, gdy cieszył się już pozycją najbogatszego człowieka na świecie, ale w grudniu 1868 roku, gdy w wieku trzydziestu trzech lat napisał do siebie list, przysięgając, że skupi się na edukacji i poprawie sytuacji biedniejszych klas społecznych, bardzo zainteresowała mnie ta przemiana skupionego na sukcesie przemysłowca. Koniec końców doprowadziła ona bezpośrednio do przemian w mojej rodzinie. Gdy odkryłam, że historycy od dawna zastanawiają się nad

genezą transformacji Carnegiego i tajemniczym listem, który nosił przy sobie przez resztę życia, rozpoczęłam dochodzenie, starając się odpowiedzieć na pytania od dawna nurtujące historyków opowieścią fikcyjną, ale opartą na badaniach. Podążałam za nim po Stanach Zjednoczonych, łącznie z rodzącym się Nowym Jorkiem i po Europie podczas jego „Grand Tour”, próbując zrozumieć, co spowodowało zmianę w człowieku, który miał zostać autorem *Ewangelii bogactwa* – książki popularyzującej filantropię na szeroką skalę – i który rozdał ogromną część swojej fortuny.

Jako że niektórzy historycy stawiali hipotezę, iż Carnegiego mogła odmienić osobista relacja – ale nie mieli na to ostatecznych dowodów – zaczęłam wypełniać puste miejsca historiami swoich przodków. Kobiety z mojej rodziny służyły w rezydencjach dziewiętnastowiecznych przemysłowców. Czy podobna do nich imigrantka z Irlandii, inteligentna, choć niewykształcona, mogła zainspirować Andrew Carnegiego do czynów wpływających na życie tysięcy ludzi poprzez stworzenie pierwszych ogólnie dostępnych bibliotek i innych organizacji edukacyjnych? Sam Andrew Carnegie zaczynał przecież jako ubogi emigrant – błyskotliwy, ale niemający dostępu do formalnego wykształcenia. Chcąc upamiętnić swoich przodków, stworzyłam więc Clarę Kelley i umieściłam ją w historycznej opowieści o Andrew Carnegiem. Chciałam oddać głos pozbawionym go zazwyczaj tysiącom imigrantów, którzy budowali nasz kraj. Wtedy i dzisiaj.

Podziękowania

Jak mogłabym wymienić wszystkich, u których zaciągnęłam dług, pisząc *Pokojówkę miliardera*, skoro znajdują się wśród nich moi przodkowie, którzy przetrwali podróż do Ameryki i zdołali zapewnić taki status społeczny mojej rodzinie, że mogłam odebrać wykształcenie konieczne, by napisać tę książkę? Nie uda mi się to, jako że niektóre z tych nazwisk zatarł czas, muszę więc po prostu wyrazić swoją bezgraniczną wdzięczność za wszystkie ich niewyobrażalne poświęcenia.

Jeśli zaś chodzi o tych, których imiona mogę wymienić, jak zawsze muszę rozpocząć od mojej mistrzyni – wspaniałej agentki Laury Dail – która prowadzi mnie i wspiera na wiele sposobów. Jestem szczęściarą, mając za sobą entuzjizm i wsparcie fenomenalnej ekipy z Sourcebooks, zwłaszcza mojej znakomitej, utalentowanej redaktorki Shany Drehs, wspaniałej Dominique Raccah, nie wspominając o fantastycznych: Valerie Pierce, Heidi Weiland, Heather Moore, Lathei Williams, Heather Hall, Stephanie Graham, Margaret Coffee, Seanie Murrayu, Beth Oleniczak, Tiffany Schultz, Adrienne Krogh, Heather Morris, Danielle McNaughton i Travisie Hasenourze. Ogromnie doceniam także pomoc wszystkich nadzwyczajnych księgarzy i bibliotekarzy, którzy wspierali mnie i moją pracę, w tym pracowników bibliotek Carnegiego w Pittsburghu i Frick Pittsburgh, których wiedza i orientacja w zbiorach były niezastąpione podczas mojej pracy nad *Pokojówką miliardera*.

Moja rodzina i przyjaciele byli kluczowym elementem tego procesu, zwłaszcza moja ekipa z Sewickley, Illana Raia, Kelly Close i Ponny Conomos Jahn. Jednak to moim chłopcom – Jimowi, Jackowi i Benowi – należą się największe podziękowania, gdyż to oni nadają wszystkiemu sens.

Tytuł oryginału
Carnegie's Maid

Copyright © 2018 by Marie Benedict

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce
coka/shutterstock

Opieka redakcyjna
Natalia Gawron-Hońca

Adiustacja
Bogusława Wójcikowska

Korekta
Alicja Bojko

Copyright © for this edition by SIW Znak Sp. z o.o.
© Copyright for the translation by Natalia Mętrak-Ruda

ISBN 978-83-240-4257-9

znak

Znak Horyzont

www.znakhoryzont.pl

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek